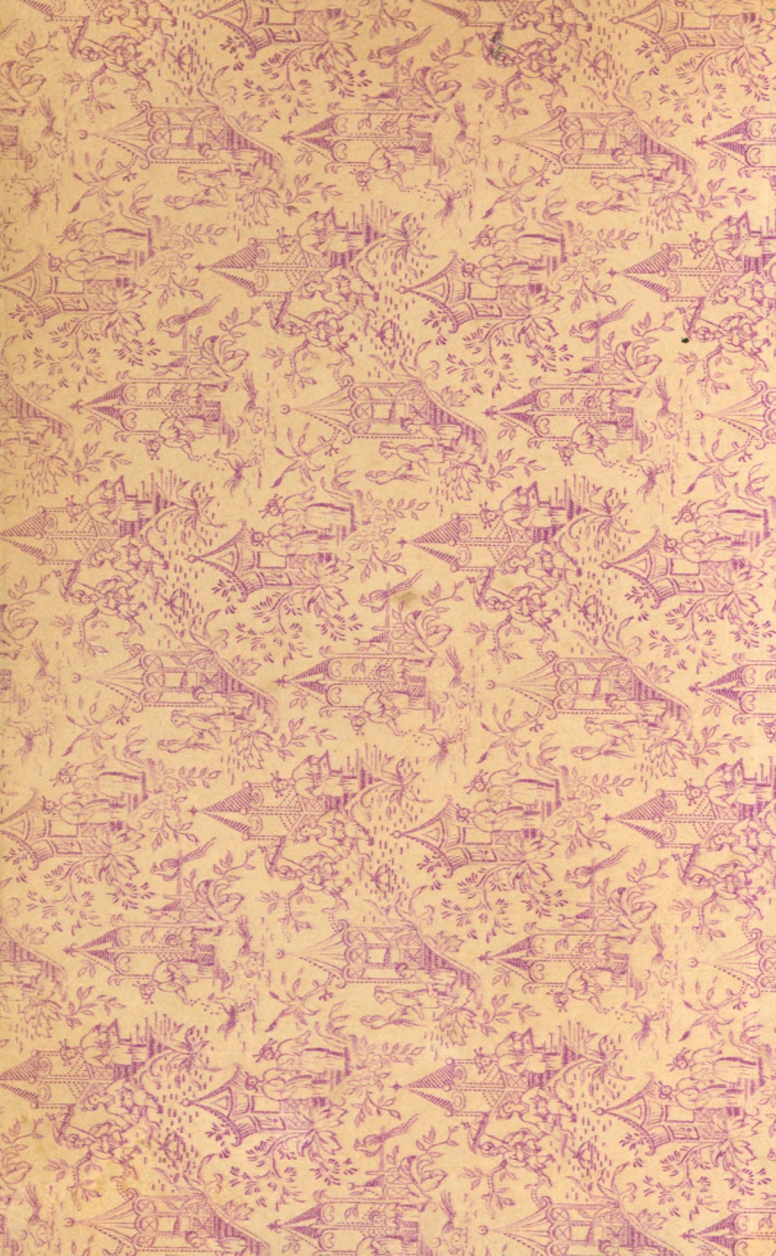










ROZRYWKI
DLA MŁODOCIANEGO WIEKU.

ROZRYWKI

DLA

MŁODOCIANEGO WIEKU

DZIEŁO ZBIOROWE W 4-eh TOMACH

OBEJMUJĄCE

POWIEŚCI, POEZYJE, PODRÓŻE

LITERATURĘ I ROZMAITOŚCI

przez

Sew. z Żochowskich Pruszkową

(Duchińską).

Wydane staraniem Redakcyi Bluszczu.

TOM IV.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

1884.



115998

Дозволено Цензурою.

Варшава, дня 9 Августа 1884 года.

SIEROTA.

U zielonych niw rozstaju
Gdzie się cztery łączą drogi,
Nad pagórkiem przy ruczaju.
Owinięty w dzikie głogi,
Polne róże i powoje,
Krzyż z modrzewia wyciosany,
Wzniósł ku niebu ramion dwoje
Błogosławiąc kwietne łąny.
A u krzyża modrzewiego
Widać Pana w ciężkiej męce,
Krwia ofiarną zbroczonego;
Jak przebite mając ręce
Oстрыm cierniem uwieńczony,
Dla ludzkości odkupienia
Znieważony i wzgardzony
Kona, z słowem przebaczenia.

Uroczyste w krąg zacisze...
Tylko zbiegły od błękitu
Wiatr krzewiną zakołysze,
Cicho spływa mgła przedświt,
Błyszczą rosy krople drżące
Nad powitą mrokiem ziemią,
Zioła, kwiaty woniejące
Na murawnym puchu drzemią.
I pomału pierzchły chmury
Dźwiękło ptastwo w srebrne pienia,
Ziemie oblał brzask purpury,
Błysła chwila przebudzenia;
Zaszemrały cicho krzewy,
Jak za tknięciem ludzkiej ręki,
I wysmukła postać dziewy
Przystanęła u stóp męki.
Czarna szata żałobliwa
Jej udatną kibić kryje,
Włos jak jedwab lśniący spływa
Na łabędzią dziewy szyję;
A młodzieńcze jej oblicze
Tak głębokie łzawią bóle,
Takie troski tajemnicze,
Taka rzewność i niedole,
Iż się niby widzieć zdaje
Jak w jej tęsknej duszy gości
Łza, co licu tak przystaje,
Owa wieczna łza żałości.
Znać nie rozkosz, nie nadzieje,
Lecz łzy ciche jej siostrami
Bo gdy dziewa się zaśmieje
To jej uśmiech ómiony łzami.

I uniosła modre oczy
W Chrystusową twarz cierpiącą,
Po jagodzie łza się toczy
I dziewczoja dłonią drżącą
Przystroiwszy mękę w wieńce,
Chyli głowę ciemno płową,
Do modlitwy składa ręce
I wyszepnie ciche słowo:
„Biedna, tęskna jam nieboga,
„Bo mi ciebie matko droga
 „W ranku moich lat
„Z własnej strzechy wczas zabrano,
„I w głęboki dół schowano
 „Jak uwiedły kwiat.
„A dziecina smutna, biedna,
„Opuszczona, sama jedna,
 „Próżno patrzy w krąg;
„Każdy słowo szepnie z cicha,
„Nad jej smutną dolą wzdycha,
 „A nie poda rąk.
„Przecież dobry Bóg na niebie
„Zesłał w ciężkiej mi potrzebie
 „Opiekuńczą dłoń;
„Co z serdeczną wraz pomocą
„Pośpieszyła — i sierocą
 „Otuliła skroń.
„Ale komu po nad głową
„W lat poranku — pogrzebowo
 „Zatętnieje dzwon;
„Ten wesoło nie zaśpiewa
„Bo mu w duszy wciąż wybrzmiewa
 „Martwy dzwonu ton.

„To najmiłszą mi pociechą,
„Gdy mrok padnie po nad strzechą,
„Biedz do krzyża stóp;
„A gdy kurchan gdzie zobaczę
„To przyklękne i zapłaczę,
„Pomnąc matki grób.
„O! i teraz — matko z góry
„Przez te smętne ku mnie chmury
„Z nieba wyrzeć chciej;
„Wskaż dziecięciu która droga
„Do dobrego wiedzie Boga,
„Tęskność z duszy zwiej.“

I dziewoja u podnóży
Z głębi serca prosi łzawie,
Chyli głowę — oczy mruży
I zdrzemnęła na murawie.
A nad sennem dziewy czołem,
Zawisł promień jasnej zorzy,
Wieniec światła spłynął kołem,
I Posłannik anioł Boży
Złotowłosa a skrzydlaty,
Owian zorzą purpurową;
Stanął między dwoma światy
A z ust jego płynie słowo:
Nie sierotą ten o dziecie,
Kto samotnie żyjąc w świecie
Dozna tęsknych chwil boleści;
Nie sierotą, kto obwieści
Panu łzawe skargi swoje;
Nie sierotą ten kto znoje
Umie znosić bez szemrania,
Kto ramiona pod krzyż skłania,

Kto dźwignąwszy mąk ciężary
Nie zatracił w sercu wiary;
Temu siostrą jasna cnota,
Ten o dziecię — nie sierota!
Lecz kto w kręte wpadł bezdroże
Kto pokalał piętno Boże,
Kto na zgubę czycha brata,
Komu bóstwem pycha świata,
Kto w spodlenia żyje brudzie,
Kim Bóg wzgardził — świat i ludzie,
Kto zmarł w sercach za żywota,
O! prawdziwy ten sierota!
Więc wstań dziewczę — wstań ochoczo
Niech twych oczu łzy nie mroczą;
Pokrzep serce w ojców wierze,
Braci ludzi kochaj szczerze,
Kochaj troski, kochaj bole,
I siorocą twą niedolę.
A dnie twoje zbiegną ptakiem.
I promiennym w niebo szlakiem
Na jedynej matki łono
Poniosę cię nieskażoną!
I uleciał anioł biały
Chyżo w górę zbiegł obłokiem;
Tylko skrzydła zaszumiały.
Próżno dziewa goni okiem,
Próżno śledzi posłannika.
Tylko znojem lśni dąbrowa,
Tylko jak pieśń, jak muzyka,
Brzmią w powietrzu święte słowa.
I u krzyża kornie klęka,
Ale płaczem nie zawodzi,

Z ust jej szczerą płynie dzięka,
Zwolna wstaje i odchodzi
O powszednim myśleć chlebie,
Znaczyć życie pracą, cnotą,
Bo anioła kto ma w niebie
Ten na ziemi nie sierotą!

Władysława.

KLEMENTYNA Z TAŃSKICH HOFMANOWA.

(*Dokończenie*).

L I S T Y.

Zarzuci mnie kto może zbyt dużą śmiałość, że się poważam ogłaszać listy pisane w zaufaniu, nie przeznaczone bynajmniej do druku. Usprawiedliwiając się z tego, powtarzam słowa pełnej zasługi i światła Eleonory Ziemięckiej, która tak chlubnie oddała zmarłej pisarce naszej świadectwo, tak serdecznie oceniła jej pracę, tak wdzięcznie określiła jej literackie i religijne stanowisko. W ogóle — mówi pani E. Z. — listy malują daleko lepiej człowieka niż dzieła, bo tu on jest zupełnie sobą, bez obawy, bez względu na poklask i wrażenia drugich. Lecz może nie ma istoty, która by na tej znajomości bardziej zyskiwała jak autorka nasza. W listach to prywatnych jaśniej ona tem czuciem, tą rzewną smętnością, tą niezmienną przyjaźnią, tem żelaznem poświęceniem dla przedmiotów, które raz ukochała.

„Jakażby to korzyść była dla ogółu, gdyby przyjaciele jej poskładali te skarby i ogłosili drukiem. Względem każdego innego byłaby to śmiałość uchybiająca cieniem zmarłego: ale ta czysta istota, tak żyła i tak czuła, iż w niej nigdy nie pojawiła się taka myśl, coby głośno całemu światu wypowiedzianą być nie mogła. A jakizby to obraz harmonijny utworzył się z tej zgody listów poufnych z zasadami dzieł jej; jak rzadki, nieporównany wizerunek na tle polskiego piśmiennictwa, które jedno może takie skarby posiada, taką zgodą istoty wewnętrznej swych najpierwszych wieszczów i pisarzy się szczyci. Listy naszej autorki, to najmiłsza, najśladza rozmowa przezroczystego serca i umysłu będącego samą prawością i prostotą. Nie wiem czy posiadacze tych skarbów podzielią moje zdanie, ale to wiem, iż w wieku naszym tak mało obfitującym w podobne przykłady, wolno nam poświęcić względy osobiste ważniejszym celom, w których dobro ogółu korzyść prawdziwą znaleźć może!“

Niech mi tu wolno będzie złożyć serdeczne podziękowanie szanownej przyjaciółce zmarłej Hofmanowej, pani Katarzynie L....., imieniem polskiej młodzieży, iż tak łaskawie udzieliła mi tych kilkunastu listów, poniżej zamieszczonych, dzięki jej, młodzież usłyszy raz jeszcze z poza grobu, uroczne słowa tej, która wypiaستowała w duchu całe obecne pokolenie kobiet polskich.

List I.

Dnia 10-go Listopada 1835 roku.

Czy wybaczy mi kochana K... że ja tak długo na jej liścik tyle miły i interesujący nie odpisałam, było to przez brak sposobności, ale wcale nie przez obojętność ani lenistwo. Pisujemy do siebie rzadko, ale jednak pisujemy! To taka ulga i potrzeba dla serca, w tyle tęsknem i długiem oddaleniu. Ten liścik zielony, tak malujący twoją duszę, czytany był i odczytywany; szczegóły o dzieciach twoich i o tobie z wdzięcznością przyjęte. Udziel mi znowu jak najprędzej podobnych i wszelkich, jakie w mały liścik umieścić się dadzą. Ja nawzajem, dziękując ci za przysłaną karteczkę, udzielię ci cośkolwiek o nas. Zdrowiśmy zupełnie i w uczuciach zawsze niezmiennemi; w domu nam najlepiej, powodzi nam się jako tako. Blisko dwa miesiące tego lata spędziliśmy na wsi, w miłym sąsiedztwie L. P., których znasz jak przyjemni i wylani. Od sześciu tygodni, z powrotem do miasta, rozpoczęliśmy życie czynne, a jak to zwykle w zimie bywa, nierównie pracowitsze jak w lecie. Ja teraz nad gruntownem nauczeniem się rzeczy naszych dawnych siedzę, wieczory najczęściej z mężem w domu trawię przy kominku, nad robotą, wśród książek. Tutejszym językiem nic nie czytam prócz dzienników, bo moja polszczyzna zaczynała wracać do dawnych nałogów, nim to jak wiesz i pamiętasz rok ośmnasty nastał i Zdzisława uczyć się zaczęło ¹⁾. Tutejszych dam

¹⁾ Jest to zastosowanie do siebie, wystawione w korespondencji Zdzisława w „Rozręwkach“, iż dopiero w ośmnastym roku życia polskiej mowy z gruntu uczyć się zaczęła.

i mężczyzn mądrych prawie nic nie znam, wszelkie podobne znajomości na koszt powozów i ubioru narażają i niewczasów są przyczyną, bo tu o dziesiątej wieczory i wizyty się rozpoczynają, a ja o dziesiątej już do spania zabierać się lubię i ani grosza na próżne wydatki nie mam. Jedyną damą uczoną którą widuję, to pani de Bradi, mało znaną ale nieoszacowaną kobietę, ona z pióra swojego żyje, córkę utrzymuje i wnuków. Julian U. N. zawsze ten sam. Niezbyt dawno wrócił ze wsi, rano pracuje jeszcze, a w wieczór koniecznie bawić się musi. Przyjaciół jego K... w tych dniach dopiero wraca, nie uwierzysz jak pięknie tym starcom na wsi, w której na lato mieszkają. W mieście, a jeszcze tak wielkiem, wszystko ginie, nie idealnego być nie może.

Święta Katarzyna blizka, i sobie i imienniczce powiedz tysiąc czułych rzeczy, oświadczyć najszczerze życzenia. Pocziwie jesteście, że nie zapominacie o mnie. Jaka nieodżałowana szkoda Kazimierza (Brodzińskiego), mego ulubionego nad wszystkich; bo nie wiem czybym go nie przełożyła nad Adama. dobrze wszystko zważywszy. Serdecznie płakałam dowiedziawszy się o jego śmierci. Donieś mi co o żonie jego i dzieciach.

II.

Dnia 6-go Listopada 1836 roku.

Nie wiem czy list ten dojdzie rąk twoich, kochana przyjaciółko, tak jak doszedł przeszłoroczny na dzień twe-

go święta, ale powierzam mu zawsze najszczerze życzenia dla ciebie i dla wszystkiego co kochasz, a wiem, że zawsze w porę przyjdą i zawsze się zdadzą. Jakże mi był miły list twój ostatni, lubo mnie doszedł we cztery miesiące po napisaniu! Jakże nieocenione szczegóły o tobie samej, dzieciach twoich i przyjaciółach! Niech ci Bóg nagradza każdą literę chwilą pociechy! Do miłosiernych uczynków wartoby policzyć: napisać do oddalonych, napisać jak ty piszesz. Nieodżałowana, nienagrodzona szkoda naszego Kazimierza (Brodzińskiego), tego malarza, któremu tak mało podobnych! ta rzewność, ta prostota, nie każdemu dana, bo nie każdy w takim źródle jak on szuka barw do obrazów. Kiedy też i tej zacnej Ludwikowej (Łempickiej) opuścić przyszło tyle dziełek! Pocziwa, jakby na pożegnanie napisała do mnie. Ona tam zapewne wszystko dobre uprosi u Boga dla tych dziecin swoich. Jak to już wiele osób od czasu mego wyjazdu dobrze mi znajomych, wyniosło się w tę daleką podróż! Ale te same smutne zdarzenia, utwierdzają mnie jeszcze, jeśli to być mogło, w wierze w nieśmiertelność duszy. Zupełnie się mieszają w umyśle moim umarli z żyjącymi i jakieś mam przekonanie, że tamtych jeszcze pierwszej od was zobaczę. A porzucmy te myśli, muszę donieść ci co o sobie. Wiadomo ci zapewne, że od wiosny opuściliśmy zupełnie miasto i siedzimy sobie jakby na wsi, straciliśmy na towarzystwie, bo tu żadnego nie mamy, aleśmy zyskali na spokojności. Tętność większa wyżyć łatwiej pozwala, a czasu więcej oddać możemy pracy nam obojgu najmilszej. Schodzą nam też dnie cicho, jednostajnie, ale miło, bo użytecznie; jeszcze nam żaden wieczór nie był długi; kominek, książki, pióra, robota jak dla mnie, ołówki dla męża, godziny jedne po drugich zajmują. Póki był piękny czas, używaliśmy

przechadzek bardzo przyjemnych, bo to miejsce jest śliczne, las mamy o kilkadziesiąt kroków, mieszałyśmy też czasem i gości, słowem ani w lecie, ani nawet teraz nie tęskno mi za miastem, i prawie z żalem myślę o tem, że nam się tam jednak w ciągu zimy dla interesów wybrać na jakiś czas wypadnie.

Często tu o tobie mówimy, żałując zawsze, żeś nie między nami, ale to więcej dla nas, jak dla Ciebie, bo tam najlepiej jesteś, gdzie jesteś. O twoich dzieciach zawsze myślę, gdyż mam modlitewkę ze słów Skargi, za wszystkie dzieci które kocham, i codziennie ją mówię. Przypomnij mi pamięci męża, uściśnij dzieci, sobie powiedz, że cię coraz więcej kocha i szanuje twoja

K.....

III.

Dnia 6-go Listopada 1840 roku.

Dzień świętej Katarzyny się zbliża. mam sposobność pisać do ciebie, czemużbym odmówić sobie miała, tak dawno używanej uciechy? Ty mnie tak rozumiesz, twój list każdy takim jest balsamem dla mego serca, tak mi zawsze powiesz to, com najwięcej wiedzieć była rada, tak przedziwnie mówisz do mnie, ze mną! My już w mieście od dwóch tygodni, „Krystyna“ w Lipsku pod prasą, nowa robota wejdzie w poniedziałek da Bóg na warsztat, zdrowie nam wcale służy, i tak się urządziliśmy, że możemy na każdy moment przyjąć dwie albo trzy wychowanki, ale

z różnych przyczyn w tej chwili opóźniło się spełnienie naszych zamiarów. Matka odebrała nam wychowankę którąśmy mieli, a nowych obietnice dalekie; nadzieja jednak w Bogu! Jam się przekonała przez te pół roku, że zabezpieczony mając los pewny, najlepiej byłoby i najmilej dla mnie, nic nie robić tylko pisać; ale kiedy tak nie jest, nie ma znowu stosowniejszego zatrudnienia, jak poświęcić się praktycznemu wychowaniu i czasem sobie mówię, że to może Opatrzność tak rzeczy urządziła, żebym ja lepiej i wierniej zawodu mego dokończyć mogła. Ale dosyć o tem, zapominam, że to miał być list z powinszowaniem imienin. O! raczej niech ci poniesie szczere życzenia, które ja przed Bogiem wynurzę a które ty odgadniesz, między niemi dopatrzysz zapewne i tego, żebyśmy się też kiedy na tym świecie obaczyły, uściskały, żebym ja poznała twoje dzieci, które już tak prędko przestają być dziećmi, nad czem ja się nigdy dosyć wydziwić nie mogę. Nie wiem za co tych dziewięciu lat co minęły, za nic nie rachuję i nie mogę nigdy pojąć jakim one sposobem mogły dzieci pozamieniać na ludzi. Donoś mi o twoich zatrudnieniach, znajomościach, czytaniach, o nowych dziełach co wychodzą, o tych jakieby potrzebne były; ja szczerze powiedzieć mogę, że jedynie przez ciebie trzymam się dawnego mego życia, i gdyby nie ty, nieraz bym myślała żem nieboszczka. Dla tego to ja nic nie śmiem pisać obecnie, ale wszystko o rzeczach minionych; w nowej pracy do której się zabieram, cofnę się jeszcze bardziej, a nie wiem wcale jak mi się to uda, przynajmniej jeśli nikogo nie nauczę, to i nie obrażę, jak to dziać się zwykło pisząc w terażniejszości. Jakże mi tu ciebie brakuje. Kiedy mi się zdarzy widzieć razem Adama i Stefana! a i Bogdan ma wnet do nich przybyć, to rzadka trójca przyjaciół! Takich

trzech dusz wzniosłych, takich serc kochających i związanych ze sobą, sam Bóg nie często stwarzać sobie pozwala, nie żeby go nie stało, ale znać nie chce aby spowszedniały.

Bywaj mi zdrowa, kochana sestro serca, niech Bóg będzie z tobą, i z temi wszystkimi co kochasz, a westchnij tam czasem do Niego i za nas.

VI.

Dnia 10-go Marca 1841 roku.

Zdarza mi się sposobność pisania do ciebie kochana przyjaciółko, chwytam ją z radością. Już dawnośmy nie rozmawiały prawdziwie ze sobą, a jakimże skarbem był dla mnie list twój ostatni i jest nim jeszcze, bo go często na pociechę odczytuję. Nie przestanę ci tego powtarzać, że przez ciebie najwięcej trzymam się dawnego mego życia, życia autorskiego, życia wyższego, jak my je rozumiemy, co to przechodzi za sferę domową, rodzinną. Ty jedna mi mówisz jakie wrażenie robią moje pisma; ty jedna zachęcasz, pomagasz. a ja bym nie mogła pisać jedynie dla pieniędzy; potrzebuję wiedzieć koniecznie, że praca moja i słęczenie, na coś więcej się przydadzą, jak na ten kawałek chleba co go jem, „bo nie samym chlebem człowiek żyje,“ powiedział Zbawiciel. Gdyby nie ty, anibyś wiedziała, że w domowniku umieszczone artykuły dobre są, że je czytałaś z korzyścią, wraz z twoją córką, a tak to mnie już bierze ochota dokończenia tego kursu i wydania

całego osobno. Zmiarkuj po drugich, czyby to pora była do tego i przyszliz uwag kilka w co teraz bić najwięcej, bo ty wiesz, że kobiety mają zawsze jakieś swoje manje, gusta, a te się zmieniają. Już dziesięć lat dobiega, jak wyjechałam od was, uważ jaki to przeciąg czasu. Trzeba takich osób jak ty, jak pani G..., żeby te dziesięć lat w niczem was nie zmieniły. Mój Kochanowski postępuje, ale zwolna; nie uwierzysz co to za robota przenieść się w wiek daleki. Wszystko, co w „Karolinie,“ w „Krystynie,“ przychodziło mi najłatwiej, barwa, ubiory, drobne szczegóły, bom to wszystko znała i widziała, tego wszystkiego szukać muszę po starych, ogromnych, często nudnych księgach, a przeczytawszy z mozołem, ledwie parę rzeczy stosownych znajdę. Nie mając jeszcze tych dzieł na własność, muszę wypisy robić, a z tych wypisów, nie raz dwudziestej części nie użyję. Jak skończę, nie będzie pewno znać tej pracy, i nawet radabym żeby tak było, bo chcę żeby Kochanowski nie był wcale mniej lekki od dwóch poprzednich powieści. Przypisów żałować nie będę, bo kiedy dla mnie, która od dwudziestu przeszło lat nad polskimi rzeczami siedzę, wiele w nich jest rzeczy nowych, cóż dopiero dla innych. Ale jak w tej chwili, Kochanowski i co napisać podobnego bym jeszcze mogła, nie jest najważniejszym przedmiotem moich myśli. Mój *dom wychowania*, oto co mnie najwięcej zajmuje. Nauczycielki w mojem ręku przez lat kilka, a do tego wyuczone dobrej francuszczyzny i czystego akcenty (tej jedynej zalety sprowadzanych do was cudzoziemek), możeby się lepiej uzdatniły do wychowania dzieci waszych, od francuzie i szwajcarek. Długo biedziliśmy sobie głowę nad sposobem wykonania tej myśli, nareszcie przyszło nam na myśl otworzyć dom dla angielek, wysoką cenę naznaczyć i przy tych bogatych, brać i utrzy-

mywać ubogie. Nie wiedzie się to jakoś, mamy nadzieję na jedną francuzkę, ale cóż jedna! Wiesz, że my w naszej chudobie, bierzemy jedną za dni kilkanaście do siebie, ma lat czternaście niespełna, imię jej Irena, ma rodzeństwa sześcioro, rodziców niegdyś majątnych, dziś zupełnie ubogich, lecz najzacniejszych, ufamy, że nam Bóg pobłogosławi, że ona szczęśliwy zrobi początek. Oczywiście rodzice z największą przyjemnością mnie ją dają i pozwalają kształcić na guwernantkę, choć w ich rodzie nie było tego przykładu. Ty droga, poczeiwa, kochana, ty pojmujesz, co by to była dla mnie za rozkosz otoczyć się taką gromadką! Bezdzienna, wystawić kilkanaście pożytecznych kobiet społeczeństwu; żadnej godziny, żadnej minuty w dniu nie marnować, bo mając przy sobie młode istoty, jest się ciągle, zawsze użyteczną. Dziś nie mogę zawsze dzień cały czytać, pisać, nie mogę zawsze być z mężem, gdyż on ma zatrudnienie za domem. Mam więc chwile, kiedy siedzę samotnie nad robotą i smutnie bez użytku dumam. Wreszcie w moim wieku, jest już trochę potrzeby jakich starań, jakichś attencyj, które tylko dziewczę mieć może dla matki, albo dla opiekunki; w mojem położeniu zaś, jest pragnienie jakiegoś macierzyństwa. Zawsze jednakowo, może nawet coraz więcej, kocham męża, ale tej co miała niegdyś tyle osób do kochania, to jeszcze brak czegoś; powtarzam więc, i dla dobra drugich i dla własnej przyjemności, i wreszcie dla spełnienia w przyszłości owego wielkiego dzieła o którym marzę, *kursu nauk dla panien*, i dla tego, żeby nie mieć owego musu napisania koniecznie co rok czegoś, który nie uwierzysz jak jest czasem przykry, pragnęłabym koniecznie żeby się mój dom wychowania udał.

Wiesz komu się dostał *Pierwiosnek* ¹⁾ coś mi przysłała? Królowej francuzkiej. Ona tak dobra matka! osądziłam, że miło jej będzie, że polki umięją cenić pamięć córki, której ona odżałować nie może. Tom drugi „Barbary“ doszedł mnie przed dwoma tygodniami, możeby mógł być więcej zabawny, ale zawsze szacowna to praca.

Ja „Krystyny“ jeszcze nie mam; donieś mi wiernie i prawdziwie jak siostry powinnoś każe, jak ją znajdziesz i co o niej mówić będą. Stefan W., zdrowszy i raźniejszy w tym roku, przychodzi do nas czasem wieczorem, jemu jednemu z obcych czytam moje prace, już zaproszony na pierwsze rozdziały Kochanowskiego. Jakie przedziwne to powiedzenie Jadwisi! ²⁾). Sędziwy Juljan ucieszył się niem bardzo. Ściskam cię z całej duszy z kochanemi twemi dziećmi.

¹⁾ „Pierwiosnek,“ pismo zbiorowe, zawierające utwory wierszem i prozą samych kobiet, i wychodziło w Warszawie przez lata 1840, 1841 i 1842 pod redakcyą pani Kraków. W roku 1841 było wspomnienie księżnej Wirtemberskiej Maryi wślawionej talentem do rzeźbiarstwa, córki króla Filipa i królowej Amelji.

²⁾ Jadwiga z Niemcewiczów Szwejkowska, która zgasła przed dwoma laty, rozpoczynszy z powodzeniem zawód literacki, będąc małą, słuchała razu jednego rozmawiających z sobą kilku pań w wieku. „Jakże one — rzekła — szczęśliwe były w dzieciństwie, musiały tylko *baraszkować*, bo one dziś nawet tego nie umięją, czego nam koniecznie uczyć się potrzeba

V.

Dnia 5 go Października 1841 roku.

Zdarza mi się dobra sposobność pisania do ciebie kochana Katarzyno. Korzystam z niej skwapliwie i zaczynam jeszcze od podziękowania ci raz jeszcze za wszystkie twoje listy, przesyłki, książki, wypisy, szczegóły; nigdy dość ci za nie podziękować nie potrafię, bo nie jestem w stanie wyrazić jakim one są skarbem, jaką pociechą dla mnie. Nie przestanę ci tego powtarzać „przez ciebie trzymam się najwięcej mego dawnego a tak miłego i chlubnego życia“ i jeżeli co jeszcze w tym zawo-dzie zrobiłam od lat dziesięciu i nadal zrobię dobrego, użytecznego, tobie po części przypisać trzeba będzie. O zdrowiu mojem już ci nawet długo pisać nie będę, zupełnie dobre Bogu dzięki i ta cała przeprawa więcej może miłych, niż przykrych wspomnień mi zostawiła; rękę jeszcze mam nie zupełnie swoją, pisać długo nie mogę, podnieść w górę ani na żart, ale mnie pocieszają, że i to z czasem minie, a przynajmniej zwolnieje. Marzę ciągle o moim zakładzie wychowania. O! gdybyś ty wiedziała, jaka to byłaby rozkosz dla mnie czuć się jeszcze swoim pożyteczną, spełnić ów marzony od pierwszej młodości plan przyłożenia się nietylko piórem, ale czynem do ulepszenia edukacyi kobiet u nas. Ale jak ci powiedziałam nie chcę o tem myśleć, niebezpieczna byłoby dla mnie oddać się tym widokom, jak młodej pannie zająć się kawalerem niepewnym. Ale dosyć już o sobie, czas

o czem innem. Pani E. Z. bardzo i mnie zajęła ¹⁾, powiesz jej, niech się nademną nie dziwuje, bo ja nigdy nie dążyłam tak wysoko jak ona i byłam sobie prostomyślną i tyle szczęśliwą, że jeżeli doznawałam kiedy jakich zawodów w życiu, to na okolicznościach, nigdy na ludziach; ludzie dali mi i dają więcej niż spodziewać się miałam prawo; z zawodami zaś na okolicznościach, łatwo się zgodzić. Trzeba na to jedynie trochę rezygnacyi czyli pobożnego rozsądku; powiedz jej tedy i powtórz, że jeżeli w młodości utrzymywałam, że szczęście jest w nas, jest powinnością naszą, jeżeli wtedy mówiłam to z *instynktu*, dziś już dojrzała, utrzymuję to i utrzymywać będę z *przekonania*. Mimo tylu zmian losu, jestem i byłam zawsze w sobie szczęśliwa, a jeżeli kiedy na chwilę postradała to szczęście, było to zawsze z mojej własnej winy i uważałam to sobie za grzech. Może wyższe umysły, takie, z jakich liczby i ona jest, uległe są większym burzom, nawałnicom i walkom, równie jak ocean czego innego doznaje, od cichego, skromnego strumyka, lubo oba są jednym żywiołem, oba też siebie zrozumieć nie mogą. Napisz mi także szczerze, jakie wrażenie zrobiła „Krystyna.“ Jeżeli ją czytała, zgadłaś zapewne, że nie daleko szukałam moich wzorów i że Krystyna, to jestem *ja*, ale *ja* taka, jaką być zamierzałam w pierwszej młodości, gdyby mi los nie był podał autorstwa, a później męża i innych kolei. Mimo chluby i szczęścia, doświadczenia jakich w tych kolejach losu do-

¹⁾ Ustęp ten jest odpowiedzią na zapytanie pani E. Z. uczynione Hofmanowej przez panią K. z L. L., dla czego wszystkie jej pisma nakłaniają do szukania szczęścia, iż to dowodzi że sama nie przechodziła przez żadne zawody i t. p.

znałam i doznaję, zdarzały się chwile, kiedy widząc że wcale nie doszła stopnia doskonałości o jakiej niegdyś marzyłam, żałowałam prawie, że się moje dawne widoki nie ziściły, zapragnęłam tedy choć na piśmie zostawić ślad tego czem być chciałam, czem być mogłam i wyznam ci, że żadnego dzieła mojego nie pisałam z takim polubieniem, z taką łatwością. Wszystko czerpałam z pamięci i choć zapewne miarkujesz, iż dla uklecenia jakiej takiej powieści, trzeba było odmian, skrótów, każde tam przecie słowo, każde zdarzenie, każda osoba jest prawdą; a pani Rawiczowa, to moja nieporównana matka, żywcem oddana, lubo może ujęłam jej wiele zasług, bo nie było podobną rzeczą wszystkiego powiedzieć. Ale już nie miałam mówić o sobie; wolę ci napisać ile miałam przyjemności w rozmawianiu o tobie z grzeczną panią Izabellą. Powiadała mi, że ty jesteś jednym z filarów pocziwej i miłej Warszawy. Tem mnie tylko zasmuciła, że mi mówiła, iż nie dbasz o twoje zdrowie; to źle Kasiu, popraw się; powinnością ważną mieć staranie o zdrowiu; tak mało możemy kiedyśmy zdrowi, cóż dopiero kiedy chorzy, a jeszcze dzieci mając. Ja tylko mam męża, a radabym owinać się w bawełnę, żeby jego niepokojności nie nabawić, gdybym miała dzieci dwoje tak jak ty, potroiłabym tych starań. Na młodzieży zdaje mi się, że już widzę zbawienny wpływ „Krystyny.“ Co ty teraz tam piszesz, donoś proszę. Powiedz mi prawdę o Orł... co to skrytykowała charakterystykę kobiet i jeżeli możesz, przyszliz mnie te wszystkie rozprawy. Powiedz mi także o p. Ninie Ł. Ja lubię ten popęd kobiet naszych do rzeczy cokolwiek wyższych. Moim Kochanowskim radabym je zwrócić także do badania naszych rodzinnych skarbów; boję się żeby to dzieło nie straciło

wiele zupełną przerwą, jaką Bóg zesłał w tej mojej ostatniej chorobie. Całe miałam w głowie, połowa napisana druga w myśli. Kiedy przyszło koniecznie odbyć operacyę, cierpienie, strata wielka krwi, niesienność blisko dwumiesięczna, wszystko to sprawiło, że nie mogę dotąd uchwycić dawnego wątku. Co robić? jak będzie tak będzie, pocieszyć się trzeba, kiedy to z ręki Boga. Nie umiem skończyć, kiedy już raz do ciebie pisać zacznę, a w dowód ile cię kocham, zawsze wracam nieznacznie do siebie, wiesz że to u mnie wielki dowód przywiązania, kiedy ja mówię tak szczerze i otwarcie o sobie. Pisz i ty tak do mnie, bardzo cię proszę. Powiedz twojej córce, że zaraz po Kochanowskim zajmę się pierwszymi rozdziałami moralności i że będzie miała tych nauk duże dwa tomy. *Niezabudki*, wyznaję, nie koniecznie mi się podobały, dla czego takie romansowe piszą powieści, co to im trudno naznaczyć czasu, miejsca, a bohaterów nie widziało się takich nigdzie? Cemu nie brać naszych dworaków, naszych zaścianków, naszych pałaców, wypadków i ludzi naszych? Ale już raz skończyć tę ramotę trzeba, bądź zdrowa, kochana, szczęśliwa, a pamiętaj o mnie przed Bogiem, ja codziennie za was wszystkich czworo się modłę.

VI.

Dnia 24-go Grudnia 1841 roku.

Piszę do ciebie kochana Kasiu w wigilję, a zatem nie mogę zacząć od czego innego, jak od najszczerzych

życzeń i od podzielenia się z tobą choć w myśli poświęconym opłatkiem. Pożywam nawet w tej chwili kawałek, a drugi ci posyłam w dowód, że i my tu zachowujemy narodowe nasze zwyczaje. Rosłam z radości, czytając co piszesz o „Krystynie;“ krytyk bardzo mało a pochwał tak wiele i takich miłych, serdecznych. Kochanowski od czwartego tego miesiąca skończony i po Nowym-Roku ma wyjść zaraz niezawodnie. Co do Celiny ¹⁾, to jest obraz wzięty z natury, tak zupełnie były wychowane dwie panny, które znałam od dzieciństwa, jako z nami spowinowaczone. Obrazu więcej szczegółowego roku 1820 trudno było dać dla tego, że to rzeczy zbyt świeże. W liście Krystyny o *Antosiu* nie napisałam tego co byś mogła tam znaleźć, z bardzo naturalnej przyczyny, bo ja dzisiejszej Warszawy, dzisiejszych waszych potrzeb nic nie znam, wy byście tam mogli pisać. Helenka, w której „Krystyna“ autorkę zapowiada, niestety jest ideałem! Chciałam tylko nasunąć tę myśl, że chcąc się kształcić na autorkę u nas, trzeba koniecznie znać język dobrze i historję swoją, trzeba jakieś poprzednie odbyć nauki. Otóż wszystkie moje odpowiedzi na „Krystynę,“ teraz pozwól, że cię uściskam wraz z twoją Helenką za to, że w niej smakujecie. Kto ją lubi to i mnie lubi, bo w żadnem mojem dziele prócz może *Pamiętki*, nie ma tyle *mnie*. Wszystkie twoje listy i karteczki odebrałam i z każdym się pieszczę. Teraz zabieram się do mego dzieła o moralności, i bardzo się gniewam, że kupują ten urywek wydrukowany bez mego przyzwolenia przez Czecha i że go mają za całość. Mów wszystkim,

¹⁾ Postać z powieści „Krystyna.“

że to tylko urywek. Za książki jakie mi przysyłasz, serdecznie dziękuję, dzielę się z niemi drugimi jak chlebem. „Biblioteki Warszawskiej“ tu jeszcze pragnę bardzo, a nikt jej nie ma.

Żegnam cię droga przyjaciółko i kochana siostró; pisuj do mnie jak najczęściej, a po swojemu; nie uwierzysz co to za skarb dla nas list twój; spodziewam się, że już główka przyszła do siebie, a dobra główka, serce tylko co jeszcze lepsze od niej.

VII.

Wrocław, dnia 2-go Czerwca 1842 roku.

Zdarza mi się sposobność pewna pisania do ciebie kochana przyjaciółko, pisania z miejsca tak blizkiego Warszawy, szkoda tylko, że nie mogę długo pisać, bo to już dzień ostatni widzenia się mego z siostrą, szkoda jeszcze większa, że zamiast pisać, uściskać cię nie mogę. Zrobiono nam nadzieję, że ty może tu zjedziesz i ja się tak nią ucieszyłam... Wystaw sobie, że tu bawić będę do 10-go lipca, jeśli co nie przeszkodzi, a w poznańskim także miesiąc. Czy twoje serce nie wynajdzie sposobu żebyśmy się choć dzień jeden widziały? Tobie podobno wody potrzebne szlążkie.... a więcej jeszcze rozrywka po nieszczęściu. Moja droga, ileż cierpiałam nad tobą! już nawet nie śmiem

zwać cię tem imieniem co dawniej ¹⁾, chociaż Bóg widzi, zdaje mi się, że jeszcze mocniej w ten sposób cię kocham od wiadomości o stracie twojej.

VIII.

Dnia 8-go Czerwca 1842 roku, Wrocław.

Grzeczny oddawca drogiego twego listu, miłego pierścionka i jednego zajmującego numeru „Pielgrzyma,” pozwala mi, żebym w jego ręce złożyła te liter kilka do ciebie. O moja jedyna, jakże mnie do żywego przejęła sama data twego listu! *drugiego*, a ja czytałam go już *czwartego*! Czemuż to człowiek tak się przemknąć nie może jak papier i tam polecieć gdzieby i jak serce by chciało? Pisałam już ztąd do ciebie, tu się dowiedziałam o stracie twojej i wśród całej radości mojej zapłakałam gorzko nad tobą, może i dla tego rzewniejsze były łzy moje, żem właśnie wtenczas cieszyła się siostrą. O! pozwól że mi teraz więcej jeszcze niż kiedy nazywać cię siostrą, mniej mnie za siostrę... Jakżebym szczęśliwą była, gdybym cię kiedy o to ustnie prosić mogła. Mówisz, że w sierpniu możebyś przyjechała tu zdołała. Ja tu zabawię tylko miesiąc, a potem kilka tygodni w poznańskim, jeżeli Bóg do-

¹⁾ Nazywała zwykle panią K. z L. L. siostrą serca swego, a list ten jest pierwszy po dowiedzeniu się o bolesnej stracie, jaką pani L. poniosła, przez śmierć siostry swojej Seweryny L...

bry użyczy mężowi memu opuszczonemu zdrowia; bo poj-
mujesz, że gdybym jaką niepomyślną wiadomość miała,
wszystkoby ustąpić musiało i poleciałabym do Paryża.
I o twojem zdrowiu, o którym nie nie piszesz, tak by mi
błogo przekonać się naocznie. Oczekuję niecierpliwie two-
ich notatek nad Kochanowskim; to co mi o nim piszesz,
przejęło mnie słodką, pozwołoną dumą. Z tego co E. Z.
napisała o mnie, bardzo jestem rada; zdaje mi się, że nie
ma ani słowa zanadto, ani za mało, cały artykuł bardzo
mi się podobał. Twój miły pierścioneczek już nie zejdzie
nigdy z drugiego palca u lewej ręki, ta litera K., jeszcze
mi go droższym czyni. Bądź zdrowa moja droga i jedyna,
pilnuj zdrowia twego i powiedz sobie, że masz we mnie
przyjaciółkę, siostrę, wielbicielek, że cię kocham i cenić
umiem całym sercem. Pamiętaj o mnie przed Bogiem. ja
codzień za siebie i za twoich się modłę.

IX.

Dnia 14-go Sierpnia 1842 roku, w Oporowie.

Z jakimże rozrzewnieniem czytałam, odczytywałam
list twój kochana Kasiu, zdało mi się, że znowu cię widzę,
rozmawiam z tobą, wycytuję z oczu twoich piękność du-
szy, tkliwość serca twego. Bardzo cię ukochałam za to
żeś już dążyła do Salzbrun i że przecie zaczynasz myśleć
trochę o zdrowiu twojem; gdybyś wiedziała ile je cenię,
przez szacunek dla mnie ceniłabyś je też i ochraniała
wielce. Jutro wieczorem ruszam ztąd do Poznania, tam ba-

wię tydzień i lecę do pocziwego męża, który już kardzo mnie woła do siebie. Dwa listy miałam od niego po twoim wyjeździe, zawsze o tobie podobne wspomnienia temu, które ci czytałam. Cóż to będzie dopiero jak mu opowiem nowe powody do uwielbienia i do wdzięczności? Cieszę się niezmiernie, że zobaczę doktora Marcinkowskiego; szkoda żeś ty radzić go się nie mogła. Bywaj zdrowa ukochana moja, zdrowa i swobodna, niech ci wody posłużą, niech cię Bóg szczęśliwie do domu odprowadzi, moja myśl często z wielką lubością zwracać się będzie ku tobie i modlić się będę za twoje szczęście. Pan T. podobno się namyślił dać mi córkę do Paryża na wychowanie.

X.

Paryż, dnia 15-go Marca 1843 roku.

Parę dni temu, jak mnie doszła druga połowa rozbioru, a raczej pochwały talentu i pism moich przez panią E. Z. Pamiętasz kochana przyjaciołko, że przeczytawszy pierwszą połowę jeszcze przeszłego roku w sierpniu, powiedziałam zaraz, że skoro dokończenie mieć będę, muszę odpowiedzieć, dziś więc dotrzymuję słowa, a nie śmiejąc odpisać wprost pani E. Z., dla tej samej zapewne przyczyny, dla której młode dziewczęta nie śmieją patrzeć w oczy tym, co chwałą je w oczy, tobie przesyłam tę odpowiedź.

I nie dotknie ona bynajmniej, jak łatwo zgadniesz, ani talentu, ani pism moich; żadnej potrzeby nie czuję stawiania we własnej obronie, zaprzeczenia czegoś bądź równie

życzliwej, jak wymownej autorce tego artykułu. Pani E. Z. postąpiła sobie ze mną jak biegły i prawdziwy malarz i przypatrzwszy mi się i z uczuciem, uchwyciła najkorzystniejszą stronę, postawiła mnie w najlepszym świetle i ze wzoru dosyć sobie pospolitego, zrobiła portret poetyczny, ujmujący a przecież podobny. Mnie zatem nie nie pozostaje, jak wyrazić jej serdeczne podziękowanie; ani jednym słówkiem mnie nie rozgniewała, a tysiącem rozrzewniała, ujęła, podniosła nawet we własnej opinii. Cała więc moja odpowiedź dzisiejsza dotyczyć się będzie mego wychowania i osób, którym winnam to czem dziś jestem i radam rzetelnie tej sposobności powiedzenia raz prawdy w tej mierze. bo dotąd ktokolwiek raczył o mnie mówić, nigdy dobrze obznajmionym, a zatem sprawiedliwym nie był.

Wielu mnie zwało „Puławianką,“ a ja dzieckiem będąc byłam raz w Puławach, przez dzień jeden; potem w szesnastym roku mego życia, bawiłam kilka miesięcy przy ciotce rodzonej, a to już nie tyle w Puławach, co w Sieniawie. Od tej zaś pory nie widziałam Puław na oczy, aż w roku 1824, kiedym je opisała w „Rozrywkach.“ Pani E. Z. powiedziała pierwsza, że moja siostra, nie ja, wychowała się w Puławach, umieściła wiele prawdziwych szczegółów o mojem wychowaniu i pierwszym autorstwie, przecież jeszcze w jej artykule nie ma zupełnej prawdy; sprawiedliwość nie jest oddana komu należy, bo nie ma ani słowa o mojej matce. To zapomnienie czy opuszczenie (pewno mimowolne), z ręki pani E. Z., najwięcej mnie obeszło, gdyż życząc sobie mocno zostać w pamięci polek. tak jak ona mnie nakreśliła, pragnę jeszcze goręcej, żeby o matce mojej wiedziały. I dla tego nie mogłam już dłużej myśleć i postanowiłam ten jeden i pierwszy raz prze-

mówić otwarcie o mojej matce, choć oczywiście będę musiała przy tym mówić więcej jeszcze o sobie. Tem przemówieniem nie chciałabym bynajmniej ubliżyć *„czutej przyjaciółce, a raczej przyjaciółkom moich rodziców,”* bo sam Bóg widzi, jak je tkliwie kochałam i kocham; wcale nawet tego nie zaprzeczam, żem wiele, bardzo wiele im winna, a naprzód ową *prostomyślną wiarę*, skarb nieoceniony, którą zaszczerpiły we mnie tak głęboko; ale to, czem dziś jestem, winnam zupełnie mojej matce, a nie mówię tu jedynie o zawodzie autorskim, ale i o tem *skierowaniu całej zdolności kochania na prawą drogę, o tej harmonji pragnień i nadziei z powinnościami i ze zwyczajną rzeczywistością*, tak pięknie zdefiniowanych przez panią E. Z., a z których wypłynął ów zapas szczęścia wewnętrznego i pokoju duszy, który może wyczerpnie się albo zachwieje nim śmierć przyjdzie; bo któż za przyszłość i za siebie ręczyć potrafi? ale który dotąd trwa jeszcze. Lecz najlepiej to wszystko się wykryje kiedy tu z porządku moje dzieciństwo i pierwszą młodość opiszę.

(Tu następuje obszerny opis domu pani starościny Wyszogrodzkiej i sposobu wychowania naszej autorki, pod wyłącznym wpływem francuzczyzny, który to wpływ zrównoważył powiew szczeropolski, panujący w domu dobrej matki. Pomijam tę część listu, z niego bowiem brałam szczegóły dla udokładnienia pierwszej części życiorysu).

Jakże więc serce córki, wreszcie rzetelność moja, cierpieć nie ma srogo, kiedy we wszystkich wzmiankach o mnie, w najpochlebniejszych pochwałach mojego talentu i pism, w wyliczaniu łaskawem zalet i zasług, nie ma wspomnienia o tej, której one głównie się należą. Niechże więc ta moja dzisiejsza odpowiedź sprostuje tę omyłkę, nagrodzi tę niesprawiedliwość choć w oczach waszych; bo

przesławszy ją oczywiście pani Ziemięckiej, dla której szczególnie ją napisałam, nie będę się bardzo gniewać na ciebie kochana przyjaciółko, jeżeli pod wielkim sekretem udzielisz jej parze takich osób, których wiesz że zdanie cenię; ale większej jawności, takiej na przykład jak dwa przeszłoroczne listy, zaklinam cię, niech to pisemko nie ma. Niech zostanie w rękach twoich i dopiero po mojej śmierci niech posłuży tobie albo komu do napisania rzetelnej mojej biografji, a nadewszystko do oddania sprawiedliwości mojej matce; w tym jedynie celu mogłam się odważyć na przemówienie tak otwarte o osobach i rzeczach, które zbyt blisko serca mego dotyczą. zbyt są ściśle, aby je odkrywać komubądź bez wielkiej potrzeby.

Bywaj zdrowa kochana przyjaciółko, o ile można szczęśliwa, wesola, a dla mnie zawsze jednaka.

XI.

Dnia 4-go Kwietnia 1843 roku.

Na dwa listy prawie razem odebrane, dziś ci odpisuję, ale tylko nawiasem, bo zastrzegam sobie dłuższą odpowiedź przy sposobności, a naprzód tysiącne dzięki tobie za wszystko, nawet za słówko każde, bo każde jest dla mnie skarbem najdroższym. Polepszenie twego zdrowia nad wszelki wyraz mnie cieszy, a wszystkie szczegóły literackie, nietylko mnie, ale i naszych wspólnych znajomych zajmują i radują. Książki o wychowaniu E. Z. i co przy niej było, jeszcze nie odebrała, ale dzieło same już czy-

tałam i czytałam z uwielbieniem. Cóż to za urok w stylu! Jeszcze u nas z nowoczesnych nikt tak nie pisał, nikt tak myśli swoich pięknie ubrać nie umiał. Są miejsca, które mnie aż rozrzewniały wymową i pięknością swoją. Odebrałam przecie dokończenie rozbioru w „Pielgrzymie,“ już zabrałam się właśnie do kilku słów odpowiedzi, o których za przeczytaniem pierwszego artykułu już ci wspominałam, ale choroba Z..., mojej wychowanki, przerwała mi moje myśli i nie wiem kiedy mi znowu wypadnie zabrać się do tej roboty. Nastąpi to jednak, bo sama tego pragnę i tymczasem podziękuj pani E. Z. za ten cały rozbiór i powiedz jej, że się nigdzie i nigdy tak nadobną nie widziałam, jak pod jej piórem. Zachęcaj ją także bardzo do pisania obszernych dzieł, bo ona jest z liczby tych autorów, co im na większą stopę tworzyć będą, tym się lepiej wydadzą. Jej by to wypadało napisać dzieło o kobietach, od początku wydać wpływ chrześcijaństwa na ich los i cnoty, różne przemiany w ich charakterze i wychowaniu i tak dojść do dzisiejszych i do swego obecnego dziełka, które ma tę wadę, że zbyt krótkie i nie dosyć rozwinięte, a teraz wzywam i ją i ciebie, żebyście mi w jednej rzeczy pomogły, mam zamiar napisania, a raczej ułożenia kursu nauk dla dziewcząt naszych; ten kurs podzieliłabym na dwie części, w pierwszej byłyby nauki (które nim lepszy przymiotnik wynajdę, nazwę dziś *płynące*, w drugiej *stojące*. Pod *płynącymi* naukami te rozumiem, w których wstęgą czy potokiem jest czas, to jest: dzieje religji, dzieje wszystkich ludów, historję literatury, sztuk pięknych, wynalazków i t. p., pod *stojącymi* astronomję, fizykę, chemję, arytmetykę, gramatykę i t. p., a zowie je stojącymi, nie dla tego, żeby postępować nie miały, ale, że tak jakoś je widzę w głowie mojej. Otóż do napisania tego kursu trzeba mi

polskich książek. Sama pani E. Z. mówi, że wielu rzeczy dobrze uczą po warszawskich pensjach, chciejcież pozbiierać wszystkie dzieła, które są w tych naukowych przedmiotach, jakich używacie dla dzieci waszych i przyszlizie na mój koszt, jakim najprędszym, najpewniejszym, a przecież nie najdrożym sposobem. Mój mąż rozpoczął już z dwoma naszymi panienkami kurs jeografji i historyi, który jak najpomyślniej się udaje, bo przedziwnie im się w główkach układa; przyrzekł on mi pomoc swoją, praca więc, choć na pierwszy rzut oka olbrzymia, może da Bóg dojdzie do skutku, a wreszcie, ponieważ w pierwszej części wiekami postępować będziemy, co się robi, to się robi, zawsze dobrze będzie przy pomocy Bożkiej. Taki sobie kurs nauk przysposobiwszy i parę guwernantek wykształciwszy, może będzie i łatwiej, jeżeli Bóg zdrowia użyczy, pomyśleć o większym zakładzie wychowania.

Na zakupienie książek o które proszę, możebym ci przysłała później fundusz. Mój mąż kazał zrobić przez najslawniejszego rysownika mój portret i tak się udał, że aż się boję być z nim w jednym pokoju, bo mi się zdaje, że jest nas dwie, i teraz drugi sławny go litografuje.

Posyłam ci na żądanie twoje urywek, który Józef Morawski zapisał w książce mojej do nabożeństwa.

„Dwojaka jest prostota ducha, jedna gdy zachowujemy stan pierwiastkowej niewinności, a przynajmniej swobodę niczem nienaruszonej wiary; druga jest skutkiem przepracowania się przez świat myślą i sercem i wdarcia się na umysłową gwiazdnicę ku ciągłemu wpatrywaniu się w Boską mądrość i nieodłączną od niej świętość.

„Nie zazdrośmy tym, których mimowolna dręcząca tęsknota wiedzie do powtórnego zerwania pokarmu z drzewa umiejętności; wskazani oni są przez bóle i męczarnie

tworzenia swych umysłowych płodów, przejednać dla rodzaju ludzkiego niebiosy i zkać przyszło zgorszenie, ztąd musi przyjść i odkupienie. Bóg tworząc świat, z gruba go tylko okrzesał i powierzył go człowiekowi do wykonczenia. Zwierzchność nawet Boska nie chciała się obejść bez podobnego sobie wolnością współpracownika, któremu otworzyła pole do zasługi, bo wszystko złe i mylne ma być w pocie czoła rodzaju ludzkiego przewyciężonem. Nie potępiamy zbyt skoro tych, którzy w tej zuchwałej walce może za zuchwale, lecz pierwsi rzucają się w niebezpieczeństwo.“

W sprawie tyczącej się najpierwszych życia zagadek względem których nie wolno nikomu być obojętnym, unikajmy rozdrażnień, wywołując przeciwne jednostronności, które w ostatecznej konsekwencyi, odjęłyby mężkie cnoty narodowi.

Józef Morawski, referendarz, zapisał
w książce mojej do nabożeństwa ¹⁾
w Oporowie, dnia 15-go Sierpnia 1842 roku.

Posyłam ci więc te słowa, dziękując Bogu, że należę do liczby tych, którzy zachowali *swobodę niczem nie naruszonej wiary*; bo przyznam ci się, że ja nigdy nie pojmem, jakim sposobem *wiara* może być *zrozumianą*. Ja myślę, że to co człowiek zrozumie, to już nie jest *wiarą*, i gdybym *moją wiarę* na *rozumie moim* gruntować chciała, wnetbym ją utraciła. *Potrzebę wiary* to rozumiem i bardzo dobrze!

¹⁾ Pani K. z L. L. usłyszawszy z ust Morawskiego, że napisał swoje wyznanie wiary w księdze pani Hofmanowej, zdjęta ciekawością, prosiła jej o przysłanie tego wyznania.

XII.

Dnia 12-go Maja 1843 roku.

Posyłam ci tedy moja Kasiu przez nieoszacowaną moją ciotkę, ową odpowiedź pani E. Z., napisaną już od dawna, ciekawam jak ją znajdziesz? Ja musiałam raz na to się zdobyć, bo nie mogłam ścierpieć dłużej krzywdy wyrządzanej mimowoli mojej matce. Zaklinam cię jednak tu jeszcze, żeby nie miała takiego rozgłosu jak owe dwa listy, i dla siebie tego nie chcę, a więcej jeszcze dla pani G. ¹⁾. Mnieby się bardzo chciało, żeby ona najpierwsza to pisemko przeczytać mogła, bo zawsze wolę szczerość w takim razie od pokątnych szeptów, ale nie wiem jak zrobić i tobie to zostawiam. Ja serdecznie ją kocham i wdzięczna jestem temu domowi za dziesięcioletni przytułek i wiele innych rzeczy, ale przecież zdało mi się obrażać przeciw czwartemu przykazaniu dłuższe milczenie z mojej strony i nieoddanie czci należnej kochanej i tak dobrej matce.

Jakie nazwisko owego malarza, co Zamojskiego w Czarnolesie wystawił? ²⁾, miło mi było to czytać. Dziękuję ci za to i za wszystko, niech ci Bóg nagrodzi, bo ja nie potrafię.

¹⁾ Córka pani starościny Wyszogrodzkiej, która pod wyłączną opiekę wzięła kiedyś małą Klementynę.

²⁾ Pani K. L. donosiła w liście o obrazie pana Smokowskiego, który z takim upodobaniem oglądano na wystawie 1842 roku.

XIII.

Dnia 2-go Stycznia 1844 roku.

Moja Kasiu kochana, niechże ja ci prześlę moje serdeczne na ten rok życzenia, dla ciebie i dla twoich. Już bardzo dawno nie miałam od ciebie pocziwego listu. Obiecany list Eleonory i z „Pielgrzymem,” ani mnie doszedł, a ostatnia twoja karteczka zmartwiła mnie mocno, bośmy tu nie nie wiedzieli o słabości twego kochanego męża. Niechże Bóg oddali od was gorszą biedę, z serca się o to modlić będę. Napisz mi także i o twojem zdrowiu, które zawsze w ostatnim masz rzedzie, a my tu owszem kładziemy je na pierwszym, Stefan W., wybiera się zawsze do Greffenberga na wiosnę i ze świętą cierpliwością trzyma się kuracyi zimną wodą, chociaż mu niewiele ulgi przynosi. Prawda, że nie jest gorzej, chodzi dobrze, ale cierpi często po całych dniach i nocach. Bardzo teraz daleko od nas mieszka i widzujemy się nierównie rzadziej; ja niezmiernie bym rada, żeby on się odświeżył, ozdrowił widzeniem swoich; tu choć przy wielkiej pobożności jakoś więdnieje i jakoś robi się nadto suchy, że nie powiem surowy. Darmo, póki żyjemy na tym świecie, trzeba nam ludzkich uczuć i porozumienia z ludźmi. Okrutnego zawodu doznał nasz A. M., który z nim zerwał zupełnie i od tychezas jest w nim zaród mizantropji, którą on osłania przed samym sobą. świętą gorliwością, świętym guiewem, ale która przecież go trawi i odmienia. Nie mów o tem nikomu, ale jeśli mu dobrze życzysz, zrób to, żeby on się mógł widzieć ze swojemi tej wiosny. My oboje wcale

zdrowi, Bogu dzięki, po swojemu zajęci; przyszłość zostawiamy Opatrzności, a tymczasem pracujemy ile sił starczy. Z mojej wychowanki dosyć jestem kontenta, mam przynajmniej to przekonanie, że robię co mogę, i że o ile to w moich jest siłach, mówię jej jaką być trzeba i jaką ona jeszcze być może. Przywiązała się do mnie, ale to jeden z tych charakterów, które więcej bojaźnią niż miłością prowadzić się daje; pieścić nie można, imponować koniecznie należy. Dziwne też to stworzenia te młode osoby dzisiejsze! już muszę się starzeć, bo mi się zdaje, że za moich czasów inne były zupełnie. Mają znowu wiele przymiotów, których my nie miały, i nierównie prędzej żyją i do życia przychodzą, ale nie wiem, czy tak będą wewnątrz szczęśliwe. Bądź zdrowa moja Kasiu! A kiedyż wznowią się dni, któreśmy niedawno strawiły z sobą w P.....

XIV.

*Dnia 14-go Października 1844 roku.—Florencya
w trzynastą rocznicę mego wyjazdu z Warszawy.*

Nie wiem zawsze co to znaczy, kochana zawsze, ale nie dobra Kasiu, już więcej niż rok jak ani słówka nie miałam od ciebie, a pisałam bardzo wiele razy. Widziałam przez ten czas osoby które ciebie widziały, mówią mi żeś zdrowa i ze swojemi. Przyzwyczaiłaś mi się, zepsułaś raczej, bo dawniej, niewiedzieć z kąd, z nieba prawdziwie spadały mi listy twoje, takie kochane, takie zajmujące, zupełnie mi do nich tęskno. Popraw się luba i kochana i te-

raz oto napisz do mnie z Rzymu. My tam za dwa miesiące da Bóg doczekać będziemy. Pojmujesz jak się cieszę; chociaż wiele krajów zwiedziłam i Włoch już część poznałam, przecież zdaje mi się, że póki Rzymu nie znam, nie nie znam. Co dalej z sobą zrobimy, jeszcze nam niewiadomo. Koniecznie przed wiosną wiedzieć musimy, czy puszczać się ku Poznaniowi, czy też wracać do Paryża. Już czas upatrzeć kątek spokojny, osiąść na ostatnie lata i oddać się zupełnie wykończeniu prac rozpoczętych. O mojej podróży nic ci nie piszę, tylko żem szczęśliwa, że zebraliśmy się na nią, ale jeszcze będę szczęśliwsza, jak już gdzie osiadziemy. Winszuję, ale nie zazdroszczę tym, co podróżują całe życie i którym serce nie schnie wśród obcych. Wszystko to jest dla mnie bardzo dobre, ale nie na długo. Zdrowie Bogu dzięki służy nam obojgu i nasza panienka zdrowsza od wyjazdu z Paryża. Nie mogąc zachować sama dla siebie tego co widzę, podobno opiszę choć bardzo naprędce naszą podróż, jeśli to zrobię, to niedługo, bo takie pisma, to jak panna, póki młoda, choć nie piękna to i ujdzie, ale w latka się zapędziwszy, trudniejsza sprawa! Co porabia Eleonora? co wy tam porabiacie wszyscy? „Pielgrzyma“ od wieków już nie widziałam, ostatni numer był z zaczęłą powieścią, której nie pamiętam tytułu, ale zaczynała się: „Piasku, piasku,“ i taki wyborny ten cały początek, nawet imienia autorki nie wiem. Bywaj mi zdrowa, do pocziwości dawnej wróć i pisz. Wszystkim twoim pozdrowienie.

Chcesz listku z bukietu który stoi na moim stoliku, oto masz, niech ci pachnie tak, jak mnie.

XV.

Dnia 22-go Maja 1845 roku. — Paryż.

Chociaż nie odebrałam żadnego listu od ciebie i blisko od roku jedną tylko dostałam karteczkę, przecież tak pewna jestem twojej przyjaźni, droga Kasiu, że pragnę powierzyć ci obecne moje kłopoty, będąc pewna twego współczucia. Źle jest kochana Kasiu ze zdrowiem mojem, nie żeby niebezpieczeństwem życia groziło, ale długą, bolesną słabością. Zupełnie się nam nie powiodła podróż do Włoch; może być, że ta choroba byłaby przyszła i na miejscu, ale zapewne w takim razie nie byłaby ani tyle cierpienia, ani tyle kosztów za sobą pociągnęła. Połączyło się wiele rzeczy i ułomność moja i sposób życia jaki prowadziłam, to jest kilkonasto-godzinne siedzenie nad pracą, które nagle przerwałam męczącą podróżą, żeby mnie nabawić jakiegoś licha w boku lewym i w krzyżach. Jest to cierpienie tak przykre, te bóle i drętwienia tak nieznośne, że nie mogę ani chodzić, ani nawet prosto siedzieć; niemal ciągle leżę, i tylko się przechodzę z łóżka na kanapę, i to tak już od sześciu miesięcy. Gdybyś ty wiedziała, jakie to są niezmęczone starania mego męża koło mnie, gdybyś ty wiedziała jak to on wszystko obmyślił w tej tak wielkiej podróży, żebym jaknajmniej miała fatygi, jak mnie (dosłownie) na rękach nosił, jak tu przyjechawszy zwołał najlepszych doktorów, naradę zrobił, mieszkanie opatrzył, wyporządził, a teraz sam mnie pilnuje, tobyś prawdziwie jeszcze mocniej go zakochała i zaszanowała, i pojęłabyś łatwo co się dzieje w mojem sercu jak sobie pomyślę, że do tych

wszystkich jego zachodów i trosków, jeszcze wnet przybędzie i ten, że się będzie turbował i w głowę zachodził, jakim sposobem i mnie utrzymać i wystarczyć na te nieprzeliczone potrzeby i wydatki około chorej osoby, zwłaszcza, że i on mnie pilnując. mniej niż dawniej zarabiać może, a ja już od roku nie nie przysporzyłam, i Bóg wie jeszcze jak długo do żadnej poważnej pracy wziąć się nie będę w stanie. Poznańskie widoki zupełnie przepadły; zdaje się, że już w Paryżu nas Pan Bóg mieć chce. Ja zapewne już inaczej jak piórkiem rodakom się nie przydam, ale żebym jeszcze była kiedy w stanie pracowania piórkiem, potrzebuję ozdowieć, a do tego najlepiej by mi posłużyła myśl swobodniejsza; żebym nie miała tej srogiej myśli niedostatku przed sobą, a co gorsza cierpienia i trosków męża z tego powodu. Nie uwierzysz, jak gdziekolwiek się obrócę, ile doznaję dowodów uwielbienia i szacunku, jak z serca dziękują mi, mówią, piszą, ale oczywiście nikt z prywatnym zasiłkiem przyjść nie śmie, i trudno by też było przyjąć co w taki sposób. Ale dosyć już o tem.... Czy też cię doszedł wizerunek Ojca Świętego. Żegnam cię kochana i pocziwa, polecam się pamięci twojej, o wdzięczności nie wspominam, bo już masz serce moje na zawsze.

PAMIĘTNIK RODZINNY.

Dokończenie.

ROZDZIAŁ IX.

Dawna sługa. — Dobre chęci. — Gościnne przyjęcie. — Brak woli. — Wypadek Stasia. — Na co się przyda choroba ukochanych. — Powolny postęp. — Przybycie Karolów. — Joasia i ciotka.

Wiele znów upłynęło czasu, a nie nie zmąciło wewnętrznej naszej swobody. Widok rozwijających się dzieci był naszą najżywszą pociechą, bez żalu więc ścigaliśmy myślą ubiegające życie, odrodzeni powtórnie w niewinnych istotach, które Bóg nam powierzył. Jadwisia codziennie nabierała nowych powabów. Był to wdzięczny powój, naginający się za każdym powiewem, niemniej przecież pojętny i miły. Staś przeciwnie, podobny był do młodego

dębu, dusza jego stawiała się coraz bardziej silną i nieugiętą. Przemysłaliśmy oboje z Władysławem jak uchronić w dalszem życiu, jedno od słoty i chłodu, jak zasłonić drugie przed burzą i gromem.

Opatrzność wspierając moje usiłowania, zsyłała raz po raz zewnętrzne wypadki, których wpływ działał przeważnie na dzieci, wzmacniając ich ducha i wyrabiając samoistnie ich wolę.

Jadwisia kończyła piętnasty rok życia, nadszedł właśnie dzień imienin. Chcąc jej w dniu tym sprawić przyjemność, ułożyliśmy oboje z mężem, że pójdziemy wszyscy razem odwiedzić dobrą Katarzynę, niegdyś jej piastunkę, która mieszkała o milę od Warszawy za Wisłą. Mąż Katarzyny był młynarzem, do tego miał kilka morgów ziemi z której opłacał czynsze. Z początku po ich pobraniu szło im pomyślnie, dobytek wzrastał corocznie, w chacie było wszystkiego dostatkiem, a liczna dziatwa ożywiała szczęściem domowe ich progi. Od roku jednak zmieniły się rzeczy. Choroba nawiedziła chatę, grady wybiły plony, młynek nie miał co mleć z powodu powszechnego nieurodzaju, słowem nędza zakołatała do ich niskich progów. Katarzyna przychodziła niekiedy do Warszawy, a my oboje z Władysławem pamiętni na jej wierne, długoletnie zasługi, dopomagaliśmy jej chętnie, ile było w naszej mocy.

W dzień urodzin Jadwisi, umyśliliśmy zawieść ją do Katarzyny, chcąc dać uczuć dziewczecze wewnętrzzną pociechę, jakiej doznaje się zwykle, po spełnieniu dobrego czynu. Jadwisia dostała na imieniny od dziadka i ciotki pieniężną sumkę, która dla niej była znaczną. Nie natrąciłam jej bynajmniej mego zdania co do użycia pieniędzy, ale sama dowiedziawszy się, że mamy jechać do jej pocziwej piastunki, przybiegła do mnie z radością.

— Mamo! mamo! jakżem szczęśliwa, zawołała z uniesieniem. Co to będzie za pomoc dla Kasi, jak jej dam moje sto złotych! kupi sobie krowę i będzie miała czem żywić biedne dzieciны.

Pocałowałam ją tklіwie, niezachęcając żadnem słowem do dobrego czynu. Chciałam bowiem, żeby sama zbierała z niego owoce.

Mieliśmy już wyjeżdżać, gdy chmury zbierać się poczęły na niebie, deszcz rozpadał się na cały dzień, trzeba było zostawić przejażdżkę do następnej niedzieli.

W ciągu tygodnia wyszłam kilkakrotnie na miasto po sprawunki, brałam ze sobą z umysłu Jadwisie, chcąc doświadczyć stałości jej woli.

Pierwszego dnia, dziewczynka zobaczyła w magazynie ładny różowy kapelusik, podczas gdy m załatwiała moje interesa, prosiła żeby go jej podano, przyglądała mu się ciekawie, przymierzyła go w zwierciadle.

— Mamo! — rzekła do mnie nieśmiało — jabym miała ochotę na ten kapelusz, on taki ładny, tak mi w nim do twarzy.

— Masz pieniądze moje dziecię — odpowiedziałam łagodnie — wolno ci niemi rozporządzić.

— Ależ ja chciałam je dać biednej Kasi — rzekła ciszej nieco. I tak przecie zostanie mi siedmdziesiąt złotych, dodała po chwili, mogę więc śmiało kupić sobie kapelusz.

Na drugi dzień potem podobał się Jadwisi modny kołnierzyk, na trzeci dzień chusteczka, prowadziłam ją codzien do sklepów, lubo sama nie miałam koniecznej potrzeby, chcąc rzeczy doprowadzić do ostateczności i dać jej zbawienną naukę.

W wigilję zamierzonego wyjazdu w woreczku Jadwisi, zostało wszystkiego około dziesięciu złotych. Na jej obronę dodać trzeba, że wydała znaczną część swojej sumki na biednych, nie ominęła żadnego kaleki, żadnego dziecka, bez poratowania jakimkolwiek datkiem.

W niedzielę dzień był prześliczny, nie nie przeszkadzało do spełnienia naszego zamiaru; zamówiona dorożka zaszła od rana, zabraliśmy się z pośpiechem w drogę radzi i weseli. Jadwisia tylko smutna była i pomieszana.

Minęliśmy most na Wiśle i Pragę, wjechaliśmy w niewielki las; woń żywiczna sośniny, rzeźwiła powietrze, ptastwo świegotało wśród drzew, olchy szumiały poruszane letnim wiatrem, ślicznie było na Bożym świecie. Staś odebrał lejce od dorożkarza i wesoło potrzaskiwał biczem, Władysław śpiewał znaną piosnkę, której odgłos rozchodził się z majową rosą. Nic jednak nie zdołało rozzerwać smutku Jadwisi. Około godziny dziesiątej z rana stanęliśmy przed młynem. Trudno opisać radość Katarzyny. Co tylko chata miała najlepszego, wszystko to wystawionem było na nasze przyjęcie. Raczylśmy się hojnie miodem, śmietaną, serem i innemi wiejskimi przysmakami.

Katarzyna dziwiła się niepomąłu zmianą humoru Jadwisi, lękała się o nią czy nie chora.

— Mój Boże! — mówiła w prostocie ducha — a to tak niebożętko posmutniało, jakby jej się życie dało już we znaki! Dawniej skakało to istnie jak ptaszyna, śpiewało i szczebiotało wesoło, teraz zupełnie co innego.

Szczerze przywiązanie sługi, przejęło mnie do głębi duszy.

— Ileż to serca pod prostą powłoką! — rzekłam do Władysława — chodząc z nim po małym ogródku, podczas

gdy Katarzyna oprowadzała dzieci po gospodarstwie. O! gdybyśmy tylko chcieli i umieli patrzeć, ileżbyśmy odkryli szczerego złota, tam, gdzie się go częstokroć nie domyślamy.

— Prawda — odparł Władysław — narzekamy nie raz na nieprzychylność służących, ale czyż w tem nie nasza wina, jeżeli nas kochać nie mogą? Wymagamy od nich zbyt wiele, nie umiemy przebaczyć najmniejszej słabości, najdrobniejszego uchybienia. Zdaje nam się, że za pieniądze mamy prawo wszystkiego od nich wymagać.

— Tak, wszystkiego — rzekłam — oprócz serca, oprócz uczucia, bo to wszystko sercem i pobłażaniem zjednać sobie można, to się zapłacić nie da pieniędzmi.

Staś, który przybiegł w tej chwili, przerwał nam dalszą rozmowę.

— Mamol — wołał zdaleka — żebyś też wiedziała jaką śliczną czubatą kurkę dostała Jadwisia od Kasi, a ja jakiego ładnego baranka! a do tego co orzechów, co miodu!

Poszliśmy zwolna za chłopcem, Katarzyna posypywała właśnie poślad kurczątkom, Jadwisia stała przy niej zamyślona, trzymając w ręku swą kurkę, starszy synek młynarki piastował w ręku baranka, którego tylko co przyniósł z pola, mała jego siostrzyczka wiązała mu na szyi czerwoną tasiemkę.

Podziękowałam szczerze Katarzynie za jej pamięć i dobre serce.

Młynarz powrócił w tej chwili z miasteczka, Katarzyna zakrzatnęła się około obiadu i nie długo podała na stół kurczęta, kartofle i czerninę z kaczki. Po obiedzie trzeba było myśleć o odjeździe.

Dorożka zaszła na podwórko, pożegnaliśmy pocztowych młynarzów. Jadwisia z nieśmiałością uprowadziła na bok Katarzynę i wsunęła jej w rękę woreczek z resztą pieniędzy.

— O moja jagódko, czemu ja sobie zasłużyłam na tyle dobroci? — rzekła kobieta ze łzami.

Jadwisia rozplakała się rzewnie. Ja tymczasem skinełam na młynarkę, wyszłam z nią do ogrodu, opowiedziałam wszystko i wynagodziłam potajemnie nieogłędność dziewczynki. Wieczorem po powrocie do domu Jadwisia ze łzami padła w moje objęcia.

— Mamol — zawołała łkając — już odtąd będę wszelką siłą pracowała nad wyrobieniem w sobie stałej woli. Już nigdy nie narażę się na tyle upokorzenia.

— Dobrze, mój aniołku — odpowiedziałam — wierzę ci, pewna jestem że mówisz szczerze, pamiętaj tylko, że niczego na świecie nie dokonasz bez poświęcenia. Zapominając o sobie, możemy tylko być miłymi i pożytecznymi dla drugich.

Odtąd spostrzegłam wielką zmianę w Jadwisi; wpadała wprawdzie w dawne błędy, przecież większa rozważa przewodziła jej czynom.

Staś tymczasem, coraz bardziej stawał się samowolnym, coraz niechętniej przyznawał się do błędu. Zaczęło nas to jeszcze niepokoić z Władysławem. Staraliśmy się o ile można było nie spuszczać go z oka, przecież ilekroć na chwilę pozbawiony był czujnej opieki, tyle razy popełnił jaką niedorzeczność. Dnia jednego, było to w jesieni, siedziałam po obiedzie w pokoju ojca, który trochę był słaby; Władysław czytał głośno gazetę. Wtem usłyszeliśmy jakiś hałas, wybiegłam spiesźnie, Jadwisia spotkała mnie we drzwiach.

— Mamo! mamó! zobacz co się stało — rzekła dziewczynka — Staś oto wracając ze szkoły, pobiegł z kolegami nad Wisłę, wsiedli w jakąś łódkę uwiązaną u brzegu, przewrócili ją i powpadali w wodę.

W mgnieniu oka byłam już przy Stasiu. Stał w progu blady i drżący od chłodu i przestachu, przemokły, powalany błotem.

Nie szczędziłam cierpkich wymówek, a nie poprzestawszy na nich, pobiegłam po Władysława, podczas gdy chłopiec zmieniał przemokłą odzież.

Władysław wpadł w gniew, chciał natychmiast pobiedz do Stasia i ukarać go za popełnioną psotę.

— Zatrzymaj się chwilkę mój kochany — rzekł ojciec — jeżeli chcesz zachować ojcowską powagę, nie karz nigdy dzieci, dopóki nie ochłoniesz z gniewu. Zimną krwią mój kochany, najwięcej człowiek dokaże tak z dziećmi, jak i z dorosłymi ludźmi.

— Co to z niego będzie! — zawołałam załamując ręce — co dzień niesforniejszy, co dzień gorszy! Ojciec skinął głową.

— Zwyczajnie — rzekł — młode piwo, szumi, szumi dopóki nie wyszumi. Wiercie mi moi mili, z takich najlepszych wyrastają ludzie. Stokroć szkodliwsza w dziecku skłonność do egoizmu, aniżeli zbyteczna swawola. Trudnoż od dziecka wymagać rozumu i zastanowienia, bo te zdobywają się tylko doświadczeniem. Pobiegłam do Stasia, zaprowadziłam go na górę, gdzie miał pod strychem mały własny pokój. Przekręciłam klucz w zamku i wróciłam do ojca. Władysław czytał dalej przerwana chwilowo gazetę.

Nowy hałas, głośniejszy niż poprzednio, dał się słyszeć na podwórzu, wybiegliśmy z Władysławem przeraże-

ni. Staś leżał na bruku blady i zakrwawiony, nie okazując śladu życia.

Władysław pobiegł po doktora. Ja z Jadwisią trzeźwiłyśmy chłopca wodą i octem; otworzył oczy, ale zamknął je znów po chwili, przeniosłyśmy go przy pomocy stróża, rozebrałyśmy i położyły na łóżku.

W kilkanaście minut przybył doktor, upuścił krwi, obstawił głowę pijawkami.

Wieczorem Staś dostał mocnej gorączki. mówił od rzeczy; zapalenie mózgu objawiło się skutkiem upadku i potłuczenia.

Trzeciego dnia choroba doszła do tego stopnia, że doktorzy, których sprowadziłyśmy kilku, nie śmieli czynić najmniejszej nadziei. Oczekiwali co chwila przesilenia choroby.

Nie zapomnę nigdy owych nocy bez końca, strawionych przy łóżku Stasia! Leżał na pół martwy, z przymkniętymi oczyma; silne rumieńce i przyśpieszony oddech, świadczyły tylko o życiu. Z jaką boleścią przykładalam usta do pałającego jego czoła i śledziłam puls, czy bić nie przestaje! Z jakim niepokojem badałam okiem każde poruszenie lekarza, wyprowadzając ze wszystkiego najsmutniejsze wnioski! O! czemuż w zwyczajnych życia przykrościach, gdzie niespokojna myśl taką wagę nadaje dręczącym nas drobnostkom, nie przypominamy sobie owych chwil, gdy życie najdroższych nam istot wisiało na włosku, gdyśmy ze drżeniem przewidywali ostatnią ich godzinę!

Wieczorem trzeciego dnia, zapalenie wzmogło się do najwyższego stopnia, doktorzy rozeszli się wieczorem, zapewniając, że tej nocy nastąpi przesilenie.

Oczekując okropnej chwili, która miała stanowić o życiu lub śmierci, siedzieliśmy oboje z mężem i Jadwią przy łóżku chorego, ojciec i ciotka byli także z nami.

Godzina dwunasta wybiła, zbliżyłam się do Stasia, głowa jego silniej płonęła niż zwykle, rumieńce były jaśkrawiej wypieczone.

Upadłam na krzesło i z boleścią zacisnęłam obie ręce.

— O mój Boże! — zawołałam — jakżem ci często była niewdzięczną za twoje łaski. Niedawno wszystko koło mnie kwitnęło zdrowiem, szczęściem, a ja niebaczna, śmiałam jeszcze narzekać!... O Panie! karz mnie, doświadczej jak chcesz, wszystko zniosę, powróć mi tylko dziecię!

— Bodajbyś pamiętała o tem na przyszłość — rzekł ojciec łagodnie.

— Na przyszłość! — powtórzyłam z boleścią — jakby lękając się tego słowa i spojrzałam na biednego Stasia.

— O! to moja wina, moja własna wina! — zawołałam padając na kolana. Chciałam go widzieć zanadto doskonałym, wymagałam zbyt wiele. Panie! oddaj mi go takim jakim był. Odtąd w niczem sprzeciwiać mu się nie chcę, byleby żył tylko, bylem go widziała zdrowym i wesółym.

— Bóg nie wysłucha takiej proźby — rzekł ojciec poważnie. Nie na świecie moja Zosiu, nawet nieszczęście nie uwalnia nas z jarzma powinności! Nie na to Pan Bóg dał ci syna, abyś go kochała i psuła pieczęcią, ale po to, żebyś go nauczyła jak ma być człowiekiem!... Nie należy lekceważyć praw, jakie Bóg składa w nasze ręce. Ukórz się moja córko, złóż twą boleść u stóp krzyża, otrzyj łzy daremne, pokrzep serce, a może Bóg zesze ci pociechę, widząc twe ciche poddanie Jego woli.

Głos jego był wolny, przekonujący; podał mi rękę, wsparta na niej powstałam, pochyliłam się nad wezgłowiem Stasia. Otworzył biedny oczy, z twarzy jego znikł rumieniec, uśmiechnął się nieznacznie.

Krzyknęłam z nagłej radości, pocałowałam w czoło Stasia, czoło było chłodne i wilgotne, chłopiec wyciągnął do mnie ręce.

— Nie płacz matko — rzekł z cicha — obejmując mnie za szyję — nie mi już nie będzie, odtąd będę już posłusznym.

Przesilenie nastąpiło przed chwilą. Staś odzyskał przytomność, słyszał nasze słowa. Po raz pierwszy w życiu przyznał się zupełnie do winy i przyrzekł poprawę z głębi duszy.

Zdrowie powróciło niezwłocznie, odtąd Staś, stanowczo się poprawił, stał się bardziej niż kiedy tklwym, kochającym i posłusznym naszej woli.

Dziękowałam Bogu szczerze za zesłaną na nas próbę; nieszczęście nie darmo przeszło nam po nad głową; po burzy tym pożądańszą wydała nam się pogoda!

Złe jednak nie pierchło od razu jakby za dotknięciem czarodziejskiej laski. Powracały jeszcze niekiedy dawne błędy Stasia; jednak dobra strona przeważać wyraźnie zaczęła. W wychowaniu dzieci, nic się nie dzieje nagle. Trzeba powoli wypleniać chwasty, oczyszczać rolę, aby ziarno zagłuszyło zieleń i rozrosło się w końcu w bujne plony.

Znów w życiu naszym długa nastąpiła cisza. Przerwało ją przybycie Karolów. Przyjechali z umysłu dla nas do Warszawy. Kilkoletnie niewidzenie nie przyniosło uszczerbku w wzajemnej naszej przyjaźni. Jakkolwiek oddaleni, dążyliśmy przecie stale do jednego celu podobnemi

drogami, myśli nasze były wspólne, uczucie nie mogło więc wygasnąć.

Joasia przybyła z rodzicami. Na pierwszy rzut oka wydawała mi się prawie brzydką. Śniada, mizerna, chuda, niepozorna, a nadewszystko nieśmiała, nie mogła się z razu podobać, ale za bliższem poznaniem miała szczególny dar przywiązania do siebie wszystkich co ją otaczali. Wpływ jej na drugich, był niejako magnetyczny. Zwykle cicha była i milcząca, a jednak gdy ją ożywił zajmujący przedmiot rozmowy, słowa z ust jej płynęły jak czyste perły. Oko ożywiało się nagle, twarz nabierała wyrazu, na czole błyszczało natchnienie i Joasia piękną była, owym niezrównanym wdziękiem pięknej duszy, wylewającej się na zewnątrz, budzącej mimowolne współczucie. Kilka dni upłynęło zanim mogliśmy poznać i ocenić skromną i nieśmiałą dziewczeczkę; zwolna jednak odkryliśmy znakomite jej zdolności. Grała prześlicznie, głos jej czysty był i dźwięczny; pisała poezye pełne głębokiego uczucia, myśli świeżych i zdrowych jak majowe kwiaty; umysł jej wysoko był ukształcony, żadna nauka nie była jej obcą, posiadała dokładnie kilka języków, a co więcej nad wszystko, dobra była, cicha, łagodna i kochająca.

Ciotce jednak niepotrzebnem się wydawało wykształcenie Joasi. Skłaniała głowę ze znaczeniem, słysząc jak powszechnie chwalono.

— Na co się to wszystko zdało? — rzekła raz do mnie gdyśmy były same. Nigdy uczona kobieta nie pogodzi się z rzeczywistem życiem. Co z tego przyjdzie mężowi, że mu żona zapisze na dzień z pół libry papieru, że będzie paplotać kilkoma językami, kiedy nieborak będzie głodny, a dzieciśka bose? Za dawnych czasów nie było uczonych kobiet i świat nie zginał zaprawdę, a że więcej

było domowego szczęścia niż teraz, to jasne jak słońce na niebie!

Joasia udawała, że nie spostrzega przymówek, których jej ciotka nie szczędziła. Uprzedzała jej myśli, wyręczała ją we wszystkim, śmiała się pierwsza z żartobliwych jej przycinków, słowem, rozbroiła ją zupełnie słodyczą i cierpliwością.

— Dobra z niej dziewczyna — mówiła ciotka — po bliższem poznaniu Joasi. Alboż to jej wina, że ją nauczono gramatyki, a nie pokazano jak się chleb piecze i kluski zagniatają. Ha! cóż robić! każdy ma swoje ale, tak też Karolowie, zacni i poczeiwi ludzie, a jednak chybili w tem, że przeuczylili dziewczynę.

Na kilka dni przed odjazdem Karolów, ciotka zaprosiła wszystkich na obiad. Joasia, która co dzień więcej jednała sobie jej łaski, poszła do niej od rana, chcąc dopomódz w przygotowaniach na przyjęcie gości. Ciotka uśmiechała się nieznacznie; rada jednak była, że ma pole popisać się ze znajomością swojej sztuki w obec uczonej dziewczyny. Obiad miał być obfity i okazały, na ostatnie zaś danie ciotka miała wystąpić z ciastkami, których przepis dostała niedawno, a które się już kilka razy wybornie udały.

Wszystko już było gotowe, ciastka dopiekały się w piecu, gdy zaproszeni goście schodzić się zaczęli. Ciotka w wybornym humorze, krzątała się jakby jej ubyło z jakie dziesięć lat życia. Wkrótce jednak niespodziewany wypadek zasmucił ją nagle. Służąca wyjęła z pieca ciastka; pokazało się, że były spalone.

Ciotka chciała posłać do cukierni, aby powetować wydarzoną szkodę, nie tyle jednak szło jej o stratę, jak ra-

czej o sławę doskonałej gospodyni, o którą się gorliwie przez całe życie ubiegała.

Joasia tymczasem, zakrzętała się żywo i w miejsce ciastek przyrządziła doskonały budyń z szodnem i konfiturami.

— Jakto! i ty się znasz na takich rzeczach? — rzekła ciotka, przyglądając się ze zdumieniem wybornej leguminie. Proszę! proszę! kto by się tego po tobie spodziewał?

Po obiedzie, Joasia dała nowy powód do zdziwienia dobrej ciotce. Druty wysunęły się przypadkiem z pończochy, podczas gdy ją położyła na chwilę; oczy pospadały, kilka z nich nawet uciekło daleko. Ciotka poszła do drugiego pokoju poszukać okularów, Joasia tymczasem ponaciągała oczy, nasunęła druty i gdy ciotka wróciła, zastała już pończochę w należytych porządku.

— No proszę! ona i to potrafi! — rzekła z uśmiechem całując w czoło Joasię. Nie ma co mówić, moi kochani, wybornieście ją wychowali — dodała zwracając się do rodziców — i do Boga i do ludzi dziewczyna!

Jakoż w samej rzeczy, dzięki staraniom rodziców odebrała ona wyborne wykształcenie. Obok wysokich nauk, jakich udzielał jej od dzieciństwa ojciec, matka wyuczyła ją wszystkiego, co kobieta umieć powinna. Joasia postępuje ku światłu i udoskonaleniu, cicho, powoli, jak idą na święte miejsca pobożni pielgrzymi, pieszo, z pokorą, w niewinności i prostocie serca. Jest to niewątpliwie wzór kobiety, kobiety, jaką pokolenie nasze winno wykształcić dla następnych pokoleń. Gotowa przyjąć na barki ciężar żywota; z wiarą pogląda w górę, wzrokiem sięga po za chmury, a jednak nie spuszcza go z ziemi. Potrafi kiedyś być światłem i radą małżonkowi; mimo to cicha

i potulna, nie przekroczy nigdy granicy, jaką Bóg zakreślił niewieście. Dumną byłabym z takiej córki; gdy jednak podobało się Bogu, innych obdarzyć nią rodziców, szczęśliwa jestem, że ów udział przypadł droгим naszym przyjaciółom.

Po dwutygodniowym pobycie opuścili nas Karolowie, zostawiwszy po sobie żal i tęsknotę, obok miłego wspomnienia chwil wspólnie przepędzonych.

ROZDZIAŁ X.

**Powolny upadek sił ojca. — Ostatnie chwile śmierci. —
Osamotnienie domowych progów. — Testament.**

Od niejakiego czasu dostrzegliśmy wszyscy nagłą zmianę w naszym ojcu. Rysy jego zapadły i zaostrzyły się, twarz zbladła, pożółkła, oko przygasło, głowa i ręce trzęsły się widocznie, postawa pochyliła się ku ziemi. Uśmiech jego jednak łagodniejszym był niż kiedy, wzrok jeżeli postradał dawny ogień, nabrał za to niepojętej słodyczy, głos zwłaszcza cokolwiek stłumiony i drżący, stał się dziwnie przejmującym, a każde jego słowo pełne było głębokiego znaczenia.

Ojciec nie skarżył się nigdy, zbywał z lekceważeniem nasze troskliwe zapytania, mówił, że zdrow zupełnie, tracił jednak sen i chęć do posiłku, a siły opuszczały go zwolna. Już zaledwie wsparty na grubej trzcinie, obejść mógł ogródek do koła. Cieszyliśmy się myślą, że z wiosną, która rozwijała właśnie w całym blasku wszystko na Bożej ziemi, skrzepią się i jego siły, ale nadzieje nasze okazały się daremne, starzec gasł z dnia na dzień, jak dopalająca się pochodnia.

Ciotka więcej od nas doświadczona, dostrzegła pierwsza grożące niebezpieczeństwo.

— Oj! źle, źle z kapitanem — rzekła raz, gdy ojciec udał się na spoczynek wcześniej niż zazwyczaj — ziemia ciągnie do siebie stare kości, a jeno patrzeć jak Pan Bóg powoła ducha. Cóż robić? taka kolej na świecie!

Przeraziły nas te słowa i od dnia następnego większą jeszcze uwagę zwróciliśmy na ojca, większą otoczyliśmy go niż dotąd troskliwością.

Spostrzegł to ojciec, a wieczorem gdyśmy siedzieli wraz z nim na ławeczce pod kwitnącym kasztanem, sam zaczął mówić o śmierci, jakby chcąc nas przygotować powoli do rychłego rozłączenia.

— Moje dzieci — rzekł z łagodnym uśmiechem — czuję, że życie moje gaśnie, nie darmo siedmdziesiątek lat gniecie me barki ku ziemi. Przyjdzie niebawem stanąć przed Bogiem; ale bądźcie o mnie spokojni, nie lękam się niczego. Pracowałem skrzętnie na chleb powszedni, w ciągu całego życia nie zebrałem wam wprawdzie dostatków, bo do tego oprócz pracy trzeba i szczęścia, ale przekazuję wam imię pocziwe i niesplamione, życzliwość ludzi i błogosławieństwo Boże, a toć to przecie nie mała spuścizna dla tych, co ją ocenić potrafią.

— Nie żał mi życia, zaprawdę, spełniłem do kropki pełną czarę, poznałem jej gorycz i jej słodycze, cierpiałem i byłem szczęśliwy na przemiany, a cokolwiek spotykało mnie na ziemi, nigdy nie spuszczałem oka z nieba, to też idę bez trwogi do ojca, który mnie wnet zawoła.

Próżno oboje z Władysławem usiłowaliśmy rozprószyć owe smutne myśli. Przekonanie ojca było głębokie, patrzył na grób otwierający mu się pod stopami, nie tracąc ani na chwilę wewnętrznego spokoju duszy.

— Kto żył jak Pan Bóg przykazał — mówił skłaniając głowę — ten się nie lęka ostatniej chwili, która jest

końcem próby, a początkiem wiecznej szczęśliwości i spokoju.

Odtąd wszystkie słowa ojca, ściągały się do owego jedynego celu. Znać było w nich jakieś nieziemskie namaszczenie! Mówił codziennie w obec dzieci o obowiązkach człowieka, o godzeniu się z życiem, o potrzebie zachowania wewnętrznej pogody, której Bóg od nas wymaga, tak w szczęściu, jak i w niedoli. Słuchaliśmy go wszyscy bacznie, jakby apostoła prawdy, którą stwierdził czynem, w ciągu długiego i nieskażonego żywota.

W przeciągu dni kilku siły opuściły go do reszty. Nie mogąc już postąpić o własnej mocy, prosił aby go wyniesiono do ogródka.

— Niech oczy moje popatrzą jeszcze na świat Boży — rzekł, gdy go z łóżkiem umieszczono pod zielonym kasztanem. Jak tu pięknie! jak miło! tam piękniej będzie za prawdę!

To mówiąc wznosił oczy do nieba, a po poruszeniu ust znać było, że się modlił.

Słońce przedzierając jasny promień przez gęste liście drzewa, padało jakby deszcz złoty na oblicze starca natchnione nadziemskim blaskiem. Kwitnące róże i lilije, kołysane ciepłym powiewem, rozsiewały dokoła wonie. Słowiki śpiewały skryte w gęstwinie, pszczoły brzęczały ssąc miody z ziół i kwiatów. Dziwna sprzeczność uderzała pomiędzy pełnem życiem przyrody, a gasnącem życiem starca, który żegnając ziemię patrzył na nią jeszcze okiem miłości i wyższej nadziei.

Otoczyliśmy wraz z dziećmi łoże chorego, Staś i Jadwisia ze drżeniem patrzeli na dziadka. On uśmiechnął się, wyciągnął do nich suchą i wychudłą rękę i zapytał łagodnie co im jest.

Dzieci zamiast odpowiedzi zapłakały głośno i z uczuciem całowały podaną im rękę. Ojciec przygarnął je do siebie.

— Cicho! cicho! — rzekł — uspokójcie się, uszanujcie wolę Pana, który włada życiem i śmiercią. Moje dzieci! śmierć nie jest tak straszną jak wam się wydaje; to spoczynek po pracy, wytchnienie znoju, to nagroda za doznane w życiu boleści i zawody! Tam dopiero na łonie Boga, człowiek rozwiązany z wszelkich ziemskich niedoli, odetchnie swobodnie. Tu na ziemi żyć nie umiemy dla drugich, tam odżyjemy dla siebie.

Spoczął chwilę, a potem skinął na Władysława. Szepnął mu, aby co rychło posłał po kapłana.

Władysław wyszedł spełnić ojcowskie polecenie.

— Moje dzieci—rzekł znowu—wkrótce zniknę wam z oczu, ale dla tego nie przestanę być między wami. Nie wiem, czyli Bóg dozwoli abym uczestniczył w waszych ziemskich czynnościach. Zostaną wam jednak moje słowa, moje imię, moja pamięć, moje błogosławieństwo. Idźcie dalej moim śladem, żyjcie dla drugich, szanujcie prawdę, jeżeli chcecie, aby duch mój doznał pociechy w innym świecie!

Staś i Jadwisia uklękli u wezgłowia i łkając głośno przyrzekli uroczyście, że w całym życiu pamiętać będą słowa dziadka.

On wzniósł oczy do nieba, pobłogosławił ich w milczeniu.

W tej chwili odezwał się dzwonek, ksiądz w białej komeżce poprzedzony przez chłopca, który niósł wodę święconą i kropidło, ukazał się na zakręcie uliczki. Za nim szła ciotka, Władysław i domownicy.

Poklękli wszyscy opodal. Chory pozostał sam z kapłanem, wypowiadał grzechy, przyjął ostatnie namaszczenie.

Od tej chwili życie gasło w nim zwolna, oblicze jego coraz było bledsze, coraz przejrzystsze, słowa z trudnością wydierały mu się z ust, głos zachrypł w piersi, umilkł nareszcie, podano mu gromnicę, kapłan odmawiał głośno akta przy konających, zbliżyliśmy się do łóżka, ukłękli wszyscy do koła.

Ojciec podniósł rękę po nad głowami naszymi, skreślił nieznacznie krzyżyk, ręka martwa upadła na łóżko, oczy stanęły kołem, oddech wstrzymał się nagle, życie uleciało.

Na wieży Karmelitów w tej chwili dzwon wieczorny zadzwonił na Anioł Pański.

Wszyscy zapłakali głośno, Władysław zamknął własną ręką otwarte ojca powieki.

Domownicy pomodliwszy się chwilę, rozeszli się po jednemu, odszedł kapłan. Zostaliśmy tylko oboje z ciotką i dziećmi.

Władysław ukłękął u wezgłowia, przycisnął do ust martwą rękę zmarłego.

— Ojcie! — rzekł drżącym od łez głosem — ty byłeś między nami żyjącą Opatrznością, twoje słowa chroniły nas od złego, twój przykład przewodniczył nam w ciężkiej drodze, twoje ramię dźwigało nas w upadku, niech odtąd pamięć twoja będzie naszym opiekunem światłem, a duch twój czysty niech się stanie świętem ogniwem pomiędzy nami a Bogiem.

Umilkł, zapłakał; płakaliśmy wszyscy, ale łzy nasze były spokojne, boleść bez rozpacz. Patrzeliśmy dłu-

go w łagodne i spokojne oblicze ojca, nie mogąc się oderwać od łoża śmierci.

Głęboka cisza panowała w powietrzu, ustawał zwolna gwar miejski, wtem nagle wiatr poruszył włos srebrny zmarłego, zachodzące słońce rzuciło promień ukośny na martwe jego czoło i otoczyło je niby złotą koroną błogosławionych.

Nazajutrz odprowadziliśmy ojca na miejsce wiecznego spoczynku, koledzy jego i towarzysze ponieśli trumnę na barkach, złożyli ją w grobie, porzucili garć ziemi, grabarz usypał mogiłę.

Taki był koniec chrześcijanina i człowieka, taka była śmierć sprawiedliwego.

Długo radość nie wróciła w nasze progi, żal jakkolwiek spokojny, niemniej był głębokim, pamięć nasza ścigała długo osamotnione miejsce przy domowym ognisku. Nie mogliśmy się oswoić z myślą, że nie ma już ojca między nami.

Wkrótce po pogrzebie przejrzelśmy papiery pozostałe po zmarłym, między innemi znaleźliśmy testament, pisany na kilka tygodni przed śmiercią.

Władysław odczytał go na głos, w obec ciotki i dzieci; zawarty był w tych słowach:

„Czuając zbliżającą się godzinę śmierci, z głębokiem poddaniem wyższemu wyrokowi, mam sobie za powinność przekazać ukochanym dzieciom ostateczną moją wolę.

„Dziękuję naprzód Bogu, że mi dozwolił urodzić się chrześcijaninem, że mi wskazał światło wiary, przy którym przebiegłem drogę żywota aż do ostatniego kresu, jak na człowieka przystało! Nadto dziękuję Bogu z głębi duszy, że mi dał zakosztować szczęścia w domowym progu, że mi udzielił dostatkiem siły, abym z dnia na dzień mógł

zapracować na kęs powszedniego chleba, że mi dał zasnę i wierną małżonkę i dzieci godne mojej miłości i błogosławieństwa.

„Synowi memu oraz jego nieodstępnej towarzysze przekazuję spuścizną wszystko, cokolwiek po mnie zostaje. Niech nie patrzą na dar skromny i ubogi, ale na serce chętnie dającego.

„Najprzód upraszam ich, niech pamięć mego skonu nie napełnia goryczą ich serca, niech chowają w duszy wspomnienie moje, jak myśl lepszej chwili, która kiedyś zaświeci znów w przyszłości. Żyłem w pogodzie ducha, w radości serca, umieram w spokoju, ufny w miłosierdziu Boskiem. Nie radbym zatem, aby bolesna pamięć ścigała mnie po za grobem.

„Przekazuję Jadwisi różaniec mojej żony a jej babki, na którym znaczyła codzienne modlitwy, w ciągu bogobojnego żywota. Niech ów upominek przypomina jej tę, co gardząc sławą i zgiełkiem, zamknęła świat swój w domowym progu, kochana, czczona i szczęśliwa, której życie było ciągłą modlitwą, pracą i poświęceniem.

„Zapisuję Stasiowi mój złoty zegarek, który od lat dwudziestu nie chybił ani minuty. Niech patrząc nań pamięta, że człowiek winien korzystać z każdej chwili, aby życie nie przeszło marnie i bez pożytku dla drugich, bez wewnętrznej pociechy jaką człowiek enotliwy i pracowity znajduje we własnem sumieniu.

„Władysławowi i Zofji polecam kilku starych współtowarzyszów broni, których wspierałem za życia. Ich nazwiska znajdują między pozostałemi papierami.

„Oddaję dzieci moje w opiekę jedno drugiemu. Niech Zofja czuwa nad Władysławem, jakby cichy stróż anioł, niech zgania smutek z jego czoła, niech będzie pociechą

i ozdobą dni jego. Władysław niech będzie opiekunem Zofji, niech ją wspiera siłą ramienia, niech czuwa nad nią z ojcowskiem wyrozumieniem i pobłażaniem.

„Co do grobu mego żądam wyraźnie, aby dzieci nie kładły na nim kosztownego pomnika. Prosty kamień niech oznaczy miejsce, gdzie leżeć będą ojcowskie zwłoki. Unikałem próżności za życia, tym bardziej nie pragnę jej w obec śmierci, która równa wszystkich przed Bogiem.

„Kończę mój testament prosząc gorąco Boga, aby udzielił dzieciom moim błogosławieństwo i pokrzepił ich siły do znoszenia ziemskiego krzyża. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Pisano 12-go maja 18 . . roku.“

Plakaliśmy rzewnie słysząc ostatnie słowa kreślone ręką ojca. Poprzysięgliśmy sobie iść we wszystkim za jego wolą, nie ubliżyć w niczem jego pamięci, pewni, że duch jego czuwa nad nami z wysoka.

Zebraliśmy skrzętnie stare sprzęty pozostałe po zmarłym, ustawiliśmy je w naszym pokoju, aby ciągle mieć obecnemi jego wspomnienie. Długo Władysław nie mógł bez łez patrzeć na szablę, którą zawiesił po nad łóżkiem. Czas osuszył w końcu łzy w naszym oku, złagodził ból w sercu, ale nie zatarł drogiej pamięci ojca, która przyświeca nam dotąd w każdej chwili, jak gwiazda cicha i tajemna.

ROZDZIAŁ XI.

Wyjazd z Warszawy. — Dzieci dorosłe. — Stanisław w Warszawie. — Długi. — Wyjazd. — Pokój młodziana. — Powrót.

Długo po śmierci ojca smutek krążył w naszym rodzinnem kółku; minął rok, znikły żałobne szaty, ale żałoba pozostała w sercu! Pan Bóg zagroził nowem nieszczęściem, chcąc nam zapewne przypomnieć, jak wiele jeszcze mamy z Jego łaski i ilebyśmy stracić mogli gdyby nie Jego Opatrzność. Władysław zachorował ciężko w ciągu zimy, był już między życiem a śmiercią; z wiosną jednak przychodził zwolna do siebie, lubo pozostało mu na długo usposobienie do artretycznych cierpień. Lekarze którzy przyprowadzili go do zdrowia, zalecali nadewszystko ruch, świeże powietrze i życie wolne od umysłowej pracy, co się bynajmniej nie zgadzało z przyjętymi przez niego obowiązkami.

Namawiałam męża koniecznie, żeby porzucił dotychczasowe zatrudnienia i przeniósł się na wieś; długo słowa moje były daremne.

— Moja Zosiu — mówił Władysław — jestem teraz właśnie na drodze do zrobienia majątku, poznano mnie i oceniono jak należy; wkrótce zostanę mecenasem, byt nasz polepszy się jeszcze i będę miał przynajmniej pocie-

chę, że zostawię dzieciom pewny kawałek chleba, zapracowany uczciwie i bez ludzkiej krzywdy.

— A jak stracisz zdrowie do reszty — odrzekłam — a jak nie będziesz mógł kierować dziećmi wówczas, gdy najwięcej twojej opieki potrzebować będą? O! wierz mi Władziu, większą im przez to wyrządzisz szkodę, jak gdybyś im żadnego nie zostawił majątku. I my byliśmy biedni, a przecież Bóg nas nie opuścił; ufajmy Mu, a nie opuści i dzieci naszych. Bodajby tylko tak były szczęśliwe jak my w ciągu całego życia.

Łzy stanęły mi w oczach, Władysław dostrzegł je, uściśnął mnie w milczeniu, nie jednak nie przyrzekł mi stanowczo.

Żyjąc od lat kilkunastu skromnie i oszczędnie, odkładaliśmy po kilka tysięcy corocznie. Uzbierało się już około stu tysięcy złotych, które Władysław zmienił na listy zastawne. Można więc było kupić wioskę, pragnęłam tego gorąco, pamiętna słów ojca, który zwykł był mawiać, że nie ma życia jak na wsi. Władysław jednak chciał pracować jeszcze przez lat kilka, a potem kupić znaczniejsze jakie dobra.

Staś kończył właśnie szkoły, od wakacyi miał go ojciec umieścić na aplikanta w sądownictwie. Jadwisia od dwóch lat skończyła już pobierać nauki. Dla dzieci zatem bytność nasza w Warszawie zdawała się już mniej potrzebną. Widząc jednak, że słowa moje daremne, przestałam namawiać Władysława na kupno wioski, on przecież ze swej strony, jakkolwiek nie mi nie przyrzekł, przemyślał szczerze nad tem, aby zadosyć uczynić mej chęci.

Nadeszła rocznica ślubu, dwudziesta już z kolei. Dzień był piękny wiosenny. Poszłyśmy obiedwie z Jadwisią do kościoła Karmelitów, gdzie zastałyśmy ciotkę.

Po mszy świętej wróciłyśmy wszystkie do domu. Wkrótce nadszedł i Władysław z miasta. Oko jego promieniało radością.

— Zosiu — rzekł całując mnie tkliwie — przynoszę ci wiązanekę, z której zdaje mi się, że powinnaś być rada.

— Cóż takiego? — zapytałyśmy wszystkie z uśmiechem.

Po krótkiem zdrażaniu, gdy żadne z nas zgadnąć nie mogło, Władysław oddał mi tranzakcyę kupna wioski w mazowieckiem. Interes był już skończony. Od świętego Jana mieliśmy objąć naszą dziedzinę.

Radość była powszechna. Każdy z nas miał jakiś wyłączny powód zadowolenia. Obsypaliśmy pytaniami biednego Władysława.

— Czy jest kościół we wsi? — zapytałam pierwsza.

— Jest, jest moje życie, to też umyśliłem już sobie, że cioci nie wypuścimy z domu. Zateśkniłaby się bez nas w Warszawie.

— Zapewne, że mi będzie tęskno — odpowiedziała ciotka — ale widzicie oto, dla starego najlepiej mieć własny kącik; starość nie radość, człowiek uprzykrzy się sam sobie, a coś dopiero drugim.

— Już ja wyporządczę cioci osobny zupełnie domek na wsi, żeby jej nikt nie wchodził w drogę — rzekł Władysław — ale że jej nie puścimy od siebie, to jak słońce na niebie.

— Niech cię Bóg błogosławi moje dziecko — rzekła dobra ciotka — ocierając łzę z oka.

— Ojcie, a czy jest las i woda? — zapytał Stasio — czy będzie gdzie polować, jak przyjadę w lecie na parę tygodni?

— Jest wszystko co się zowie, i łąka i mąka i ryby i grzyby, słowem nie tam nie braknie.

— Czy jest i rzeka? — zagadnęła Jadwisia.

— Bzura płynie zaraz za ogrodem — rzekł ojciec — słyhać we dworze jak młyn szumi w olszynie.

— O mój Boże! co to za szczęście! — zawołała uradowana dziewczeczka — namówię zaraz Kasię, żeby się z mężem sprowadziła do nas.

— Dla czego nie, moje dziecię? wszystko to nastąpić może — rzekł ojciec.

— I jakże się nazywa nasza wioska? — zapytaliśmy równocześnie.

— Dąbrowa — odpowiedział Władysław.

— Bóg cię natchnął mój drogi — rzekłam do męża. O i czemuż biedny ojciec nie doczekał tego! jakżeby się był cieszył.

— Nie ma zupełnego szczęścia na ziemi, moja Zosiu — odrzekł Władysław. Cóż czynić? trzeba Bogu dziękować i za to co daje!

Reszta dnia zeszła nam na budowaniu nowych zamków na lodzie. Ciotka śmiała się z nas serdecznie, a jednak rada była sama.

— Moje dzieci, Pan Bóg stworzył wieś, ludzie zbudowali miasto — rzekła — to też nic dziwnego, że na wsi zawsze jakoś lepiej. Zdaje się, że człeku bliżej do Boga, gdy widzi niebo w koło.

Radość nasza zwiększyła się jeszcze, gdyśmy się dowiedzieli, że z Dąbrowy tylko sześć mil do Karolów. Teżoż samego dnia napisałam długi list do Anieli. Jadwisia ze swej strony doniosła Joasi o niespodziewanem szczęściu naszym.

Nie pamiętam, żeby kiedy czas schodził nam tak leniwie jak owe dwa miesiące, w ciągu których oczekiwaliśmy Św. Jana jak zbawienia. Staś był z nas wszystkich najcierpliwszym, bo podwójne prace, jak zwykle przed egzaminem, nie dały mu spostrzegać upływającego czasu. Ogródek nasz, tak zawsze miły i ładny, mniej nas zajmował niż dawniej, bośmy ciągle marzyli o pięknym ogrodzie w Dąbrowie, po za którym płynęła szeroka Bzura, gdzie szumiały stare dęby i olchy.

Wszystko mija na świecie, minęły też i ostatnie dwa miesiące pobytu naszego w Warszawie. Starzy nasi przyjaciele, major i professor (oprócz radcy, który umarł w jesieni), odwiedzali nas prawie codziennie. Zaczynając profesor zaopatrzył mnie w nowe kwiatowe nasiona. Major obiecał przyjechać w jesieni na polowanie. Ciotka namyśliła się stanowczo, że zamieszka z nami, a raczej u nas, w osobnym jednak domku. Chcąc dopomóc nam w kupnie wioski, podniosła swoją sumkę wynoszącą 20,000 złotych, którą miała na hypotece i oddała ją w ręce Władysława na przeżycie, z zastrzeżeniem pewnego procentu do śmierci. Staś zdał egzamin, otrzymał pochwałę i nagrodę, zrzucił z radością szkolny mundur, a ja z macierzyńską dumą patrzyłam na dorodnego chłopca, któremu już ciemny wąsik sypał się widocznie po nad rumianami ustami.

Szczęśliwi, pełni nadziei, pożegnaliśmy wreszcie Warszawę z końcem czerwca. Nie obyło się jednak bez też gdyśmy spojrzeli na puste kąty, wśród których spłynęło nam tyle lat w zgodzie i miłości, gdzieśmy przeżyli wiek młody, gdzieśmy wychodowali dziatki, stracili ojca, gdzie pozostały szczątki naszych łez, naszych nadziei, naszych smutków i uciech! Nie bez żalu także rozstaliśmy się z ogródkiem, z lipami, kasztanem i ławeczką. Nadzieja

jednak rozpromieniała wszystko przed nami i jasnymi barwy malowała nam przyszłość.

Nauczeni doświadczeniem, postanowiliśmy nie wprowadzać zbytków do nowego domu, poprzestaliśmy na naszych dawnych sprzętach, przykupując cokolwiek koniecznie potrzebnych rzeczy. Władysław nabył powóz, nie nowy wprawdzie, ale obszerny i wygodny. Puściliśmy się więc w drogę, odwiedzwszy wprzód grób dobrego ojca.

Drugiego dnia podróży stanęliśmy przecie w Dąbrowie. Dom był nieco zaniedbany, ogród dalekim był także od wzorowego porządku. Władysław więcej jeszcze niedokładności znalazł w gospodarstwie. Równina mazowiecka nie odpowiedziała marzeniom Jadwisi. Zawód stawał nam co chwila na drodze, bogaci jednak nadzieją i wewnętrznem zadowoleniem, staraliśmy się poetyzować rzeczywistość o ile było można, a wyobraźnia nasza uzupełniała to wszystko, czego brakło w Dąbrowie.

Była to wprawdzie wioska cokolwiek zaniedbana. Ostatni dziedzic gonił resztą majątku przez lat kilkanaście, opędał się jak mógł przed wierzycielami i nie mógł utrzymać w porządku gospodarstwa. Przecież ziemia była dobra, pszeniczna; pozostał jeszcze mały kawałek dębowego lasku, z obszernych niegdyś borów. Bzura wiła się jak sina wstęga wśród zielonej łąki, otoczona z jednej strony wiankiem olszyny. Na polu powiewało wykłoszone żyto i pszenica nie wykłoszona jeszcze, wśród której pstrzyły się modre habry i maczki. Miedze i łąka pełne były różnobarwnych kwiatów. W górze śpiewało ptastwo na rozliczne tony, a opodał szumiały olchy, klekotały koła młynka, bijące o spienioną wodę. Bociany chodziły poważnie po nad rzeką, szukając strawy dla dziatki, które wyglądały z po nad wyniosłego dębu przy parkanie. Z wieżyczki

drewnianego kościółka odzywał się dzwonek na Anioł Pański. Piękną więc, pełną życia przedstawiła się nam Dąbrowa nasza, gdyśmy do niej wjeżdżali o zachodzie słońca, w ciepły wieczór czerwcowy, lubo z bólem serca patrzeliśmy na walące się płoty, na pozdzierane z dachów poszycie, na szyby chat pozabijane deskami, na stosy śmieci przed drzwiami i błotne kałuże wśród których grzebała się trzoda.

— Wszystko to będzie inaczej — mówił Władysław pierwszy rok najtrudniejszy wprawdzie, ale za dwa lata, jeżeli Pan Bóg życia pozwoli, będziemy mieli istne cacko z naszej wioski.

We dworze nowe znaleźliśmy niedogodności. Na zbutwiałej podłodze rosły grzyby, sufit groził upadkiem, drzwi nie przystawały żadne, popaczone i bez zawias, przez okna powiewał wiatr ze dworu, co niekoniecznie było dobrze na reumatyzm Władysława. Znosiliśmy jednak wszystko, w nadziei rychłej zmiany.

— Moje dzieci — mówiła ciotka — nie ma róży bez kolców, ale z cierpliwością wszystkiego człowiek dokaże.

— Następnego dnia urządziłam wraz z Jadwisią jak mogłam wygodny pokój dla męża, z oknami na południe. Wybiłam ścianę dywanem, aby go uchronić od wilgoci, drugi takież sam urządziliśmy dla ciotki, same zaś mieszciliśmy się jak mogły. Sprowadzeni rzemieślnicy spieszenie zabrali się do roboty, budzili nas co dzień o świcie, to odrywając podłogę, to przybijając nową, to pokrywając dach nowymi gontami. Deszcz jak na złość rozpadał się na długo, wiatr chłodny wiał jakby w listopadzie, nie podobna było wyrzucić z domu. Władysław troszczył się o siano leżące na pokosach. Słowem, rozpoczął się dla nas szereg wiejskich utrapień, przeciw którym jednakże uzbroi-

liśmy się wszyscy w stoicką odwagę, pocieszając się nadzieją lepszego jutra.

Książki i robota zajęły nas w czasie słoty. Pan Bóg nareszcie błysnął słońcem, kałuże wsiąkły w ziemię, spłynęły do Bzury, a my w całym znaczeniu jeliśmy używać upragnionych uciech wiejskiego życia.

Rozpoczęły się żniwa, a z niemi otworzyło się nowe źródło przyjemności. Z pociechą widzieliśmy plony gromadzące się w stodole, które jakkolwiek nie bogate, jak zazwyczaj z początku, przechodziły jednak oczekiwanie nasze. Jadwisia zajęła się szczerze domowym zarządem. Ciotka doświadczeńsza od nas wszystkich w tym względzie, dawała nam rady, z których staraliśmy się korzystać o ile było można. Jakby na domiar szczęścia, Karolowie z Joasią przybyli do nas na cały miesiąc. Dziewczęta chodziły po kwiaty na łąkę, do lasu na grzyby i orzechy. Staś polował na dzikie kaczki, Władysław rozprawiał z Karolem, słuchał jego rad co do oczyszczania włości i założenia szkółki, ja cieszyłam się z Anielką, ciotka doglądała krów i nabiału. Wieczory trawiliśmy na wspólnych przechadzkach, lub siedząc na podwórzu pod rozłożystą nadwiślańską topolą, słowem wszystkim było dobrze, każdy czuł wewnętrzną swobodę i zadowolenie.

Odwiedzał nas niekiedy nasz pleban, starzec poważny i kochany we wsi jak ojciec. Z sąsiadów nie poznaliśmy nikogo, nie śpiesząc się bynajmniej z zawieraniem nowych znajomości.

Nie brakło wprawdzie w okolicy domów zamożnych, ale była to tak zwana wiejska arystokracja, pełna dziwnych wymagań i pretensyj, do których nie mieliśmy bynajmniej pociągu. Jednym z bliższych sąsiadów naszych był sędzia R..., człowiek stary, bezzenny, krewny Karola.

Nie było go jednak obecnie w domu, wyjechał właśnie na wiosnę do Karlsbadu z młodym synowcem, który tylko co ukończył nauki w Dorpacie, a którego był sędzią opiekunem i drugim ojcem, młodzian bowiem sierotą był od dzieciństwa. Staś żałował serdecznie, że nie było w domu Gustawa, którego znał w szkołach, przed wyjazdem jego do Dorpatu.

Zbiegło lato jak sen, Karolowie odjechali do domu, Władysław odwiózł Stasia do Warszawy. Bolesnem mi było rozłączenie pierwsze z chłopcem; poddałam się jednak konieczności, od której niepodobna się było uchylić.

Nadciągęły zwolna jesienne szarugi i słoty, rozpoczęły się długie wieczory. Czas schodził jednak w szczupłym domowym kółku, przy płonącym na kominie ognisku i ani ja, ani Jadwisia, ani nawet Władysław, nie myśleliśmy tęsknić za uciehami Warszawy. Muzyka, czytanie, pogawędki, głużyły szum wichru i gdyby nie troskliwość o Stasia, byłibyśmy zupełnie szczęśliwi.

Staś pisywał do nas co tydzień, z początku zwłaszcza listy jego były obszerne, szczegółowe. Zaczawszy jednak od stycznia, często przeszedł tydzień bez żadnej wiadomości, a listy stawały się coraz krótsze, coraz więcej zaniedbane. Niepokoilo mnie to szczerze, napisałam z wymówkami. Staś przeprosił mnie listownie, odtąd pisywał częściej, ale z jego słów trudno było czegokolwiek się dowiedzieć; znać, że obowiązek ciągłej korespondencji stawał mu się coraz bardziej uciążliwym. Okoliczność ta rzuciła cień na nasze domowe szczęście. Każde z nas z osobna dręczone było smutnemi domysłami, których jednak nie śmieliśmy sobie udzielać nawzajem. Z nadejściem zapust wieczory nasze coraz bardziej były milezające. Jadwisia unikała widocznie fortepianu. Czytywaliśmy wpraw-

dzie głośno wieczorami, ale często bardzo nie rozumieliśmy się sami, snując wątek własnych, coraz bardziej uciążliwych myśli.

Raz przed wieczorem, było to w lutym, siedziałyśmy z ciotką i Jadwisią w oknie, zajęte jak zwykle robotą. Ciemne chmury skryły zupełnie niebo, śnieg gęsty, pędzony wichrem, zasypywał dachy, pola i drogi, ptastwo zimowe osiadło płoty, kracząc przeraźliwie. Smutno było na Bożym świecie, smutniej jeszcze w duszy naszej, od dwóch tygodni bowiem nie było wiadomości od Stasia. Bolesne przecucie ścigało mnie dniem i nocą; straszne jakieś widziadła trwożyły mnie we śnie, lękałam się sama nie wiedząc czego, jakby nieszczęście wisiało mi nad głową.

Władysław otworzył nagle drzwi od sieni, spojrzałam na niego, blady był i pomieszany.

— Co tobie jest—zapytałam — może list od Stasia?

— Tak list...—odparł — ale nie od niego.

— Czy nie chory? — zawołałam przerażona.

— Nie, nie, uspokój się Zosiu, zaklinam cię — rzekł Władysław — zdrow zupełnie, jak cię kocham.

— Boże, dzięki Ci — zawołałam przychodząc do siebie.

— Moja Zosiu, uzbrój się jednak w odwagę—dodał mąż po chwili — Bóg ciężko nas doświadcza.

To mówiąc otarł łzę z oka, serce uderzyło mnie gwałtownie, chciałam mówić, nie mogłam.

— Powiedz że o co rzecz idzie — rzekła ciotka — na wszystko złe musi być przecie rada.

— Dowiesz się — rzekł Władysław — podając nam list przyjaciela swego, adwokata R....

— Czytaj Jadwisiu — rzekłam nieśmiało — prosząc Boga, aby mi dodał odwagi, przeczuwałam bowiem coś złego.

Jadwisia wzięła list ze stołu i czytała drżącym głosem :

„Kochany Władysławie — stosownie do polecenia twego, czuwałem bacznie nad każdym krokiem Stasia. Zrazu postępowanie jego było nienaganne, zwolna jednak wciągnął się w niepotrzebne znajomości z tutejszą młodzieżą. Napominałem go kilkakrotnie, ale słowa moje były daremne. W ciągu ostatnich dwóch tygodni byłem słaby, musiałem więc rad nie rad spuścić chwilowo z oka twego syna. Staś tymczasem zostawiony sam sobie, wdał się w grę, przegrał jak słyszałem kilkanaście tysięcy, pozaciągał dług u żydów; słowem poszedł zupełnie w ślady swoich mentorów, których rady więcej znać trafiały mu do myśli, niżeli moje napomnienia. Przyjedź mój kochany, wyrwij go z tej otchłani, wywieź na wieś i uratuj jeżeli możesz od zupełnej zguby. Przykro mi, że zmuszony jestem donieść ci tak niepokojącą wiadomość, ale cóż czynić, dopełniam obowiązku przyjaźni, ostrzegając cię w porę.

Twój przyjaciel

R....^a

Jadwisia czytać przestała, a my wszyscy staliśmy jak skamieniały. Nikt z nas nie śmiał słowa przemówić.

— I cóż myślisz zrobić? — zapytała wreszcie ciotka.

— Jadę natychmiast do Warszawy — rzekł mąż.

— Władziu! ja cię nie puszcze samego — zawołałam — pojedę razem z tobą.

— Niepodobna ci jechać na taki czas, w tej porze.

— Wszystko można mój drogi — odrzekłam stanowczo. Władziu, nie broń mi tego — rzekłam biorąc go za rękę. Dotąd wszystko było nam wspólne i smutek i pociecha, pozwól niech tak będzie do końca. Pan Bóg doda mi siły.

I nie czekając odpowiedzi, zabierałam się z pośpiechem w drogę. W parę godzin potem dojeżdżaliśmy oboje do najbliższej poczty, wsiedliśmy na kurjerkę, a naza jutrz przed świtem wjeżdżaliśmy w rogatki.

Śnieg zasypał zupełnie ulice Warszawy, przeziębli i zmęczeni bezsenną nocą, wysiedliśmy na poczcie. Niepodobna było dostać dorożki ani sanek, musieliśmy więc przekopać się wśród śniegu na Podwale, gdzie było mieszkanie Stasia.

Zastukałam do bramy. Zaspany stróż nie rychło ją otworzył, zapytałam o Stanisława.

— Nie ma go w domu — rzekł klnąc niemiłosiernie jeszcze nie powrócił dotychczas, oj, nie pierwszyć to raz i nie ostatni.

Zimny dreszcz przeszedł mnie całą, wsparłam się na ramieniu męża, żeby nie upaść.

— Idźmy zawsze na górę — rzekł Władysław — czekamy tam dopóki się nie rozwidni.

Stróż poprzedził nas z kluczem i latarką, pomrukując coś pod nosem.

Weszliśmy do izdebki, serce ścisnęło mi się boleśnie widząc panujący w niej nieład. Podłoga nie zamieciona przynajmniej od tygodnia, pełna była popiołu wytrząśniętego z fajek, niedopałonych kawałków cygar i podartych fidibusów, na stoliku pod oknem leżało kilka rozrzuconych listów, dwie kontramarki, bilet na koncert, jakieś powiędłe kwiatki, ale między tem nie widać było ani kawałka pa-

pieru zapisanego ręką Stasia. Na łóżku rozrzuconem leżały stare buty, zapierzony surdut i zgnieciona bielizna, słowem gdzie było rzucić okiem, wszędzie największy panował nieporządek. Na zawiasie od okna przyczepiony był zegarek, pamiątka po dziadku, ale nie nakręcony, wskazywał bowiem dwunastą.

— Ma go jeszcze — rzekłam — wskazując zegarek mężowi.

— Chwała Bogu że szanuje przynajmniej pamiątki. Kto wie, może się i upamięta — przydał Władysław z westchnieniem.

Zziębnięta i skulona usiadłam na łóżku oczekując świtu. Niebawem też przez zamrożnięte okna światło dzienne przedzierać się zaczęło. Ozwały się dzwony u Fary, zegar zamkowy uderzył siódmą.

Nie doczekawszy się powrotu Stasia, poszliśmy z mężem do Krakowskiego hotelu, zajęliśmy numer i posłali po rzeczy na pocztę.

Przebrawszy się, poszłam do kościoła, Władysław ze swej strony udał się do przyjaciela, od którego list odebrał przed dwoma dniami. W parę godzin zeszliśmy się w hotelu.

Władysław nie dowiedział się nic nowego. Pan R., potwierdził tylko ustnie to, co nam doniósł był w liście, rozpowiedział szczegółowo sprawy Stasia i pożyczył nam pieniędzy na zaspokojenie pierwszych długów.

Wyprawiłam męża na obiad do restauracji, sama zaś poprzestałam na szklance herbaty, którą mi przyniesiono do pokoju.

Około trzeciej powrócił Władysław. Usiedliśmy oboje pod piecem smutni i milczący. Siedzieliśmy długo,

nie mówiąc ani słowa. Wtem drzwi otworzyły się, wszedł Staś blady i dziwnie pomieszany.

Zbliżył się do nas, przywitał i w tejże chwili dostrzegł stłumiony gniew ojca, zobaczył łzy, których zataić nie mogłam. Upadł przed nami na kolana.

— Przebaczcie mi! przebaczcie! — zawołał upokorzony — zawiniłem ciężko, ale przyrzekam, że to już raz ostatni.

I zapłakał rzewnie obejmując kolejno nasze nogi.

Gniew w mgnieniu oka opuścił Władysława szczerzy żal Stasia rozbroił nas zupełnie.

— Co się stało, już się nie odstanie — rzekł Władysław — nie będę czynił ci daremnych wymówek, bo widzę, że ci sumienie wyrzuca błąd popełniony. Powiedz mi tylko ile winienesz i komu.

Staś wyliczył najsumienniejsze wszystkie długi co do grosza.

Władysław wsiadł z nim do dorożki, popłacił długi, załatwił śpiesznie wszystko, nazajutrz rano wyjechaliśmy z Warszawy.

Staś w ciągu drogi był smutny i milczący; nie ożywiło go przybycie do Dąbrowy. Ani ciotka, ani Jadwisia nie czyniły mu przecież żadnych wymówek, nie wyrzekły ani jednego przykrego słowa.

Zdrowie męża pogorszyło się znowu skutkiem zmartwienia i podróży w wilgoć i słotę. Staś w ciągu choroby nie opuszczał ani na chwilę ojcowskiego łóżka. Znać było że cierpiał głęboko, lubo nie skarżył się wcale. Pewni byliśmy oboje z Władysławem, że nauka będzie stanowczą.

Z wiosną mąż przyszedł zupełnie do zdrowia. Staś tylko blady był i zmieniony, pomagał całą duszą ojcu

w gospodarstwie, wyręczał go we wszystkim, nie jednak nie zdołało go rozerwać ani uspokoić. Dobry nasz pleban widząc tajemne cierpienie chłopca, zbliżył go z młodym Gustawem, który odwiedzał niekiedy probostwo.

Młodzi ludzie przypomnieli się sobie nawzajem, przystali do siebie odrazu i niebawem serdeczna przyjaźń zawiązała się między nimi. W kilka dni po pierwszym spotkaniu u proboszcza, Gustaw odwiedził Stasia i odtąd stał się częstym gościem w Dąbrowie.

Dom nasz ożywił się nieznacznie. Staś był weselszy, Gustaw udzielał mu coraz nowych książek i gazet, które czytawali głośno obadwa, podczas gdy my obsiadaliśmy stół z robotą, a Władysław palił fajkę przy kominiarce. Z wiosennem słońcem Bóg zesłał pociechę w domowe nasze progi i jakkolwiek ubytek kilkunastu tysięcy znaczną uczynił różnicę w poczynającym się zaledwie gospodarstwie, przecież dziękowalibyśmy Bogu, że nam dał odzyskać syna bez skazy na imieniu i sławie, dla którego doświadczenie stało się zbawienną na przyszłość nauką.

ROZDZIAŁ XII.

**Gustaw i Staś. — Zerwanie. — Przejazdźka do Karolów.
— Spotkanie. — Ślub. — Wyjazd na uniwersytet. — Rocznica ślubu.**

Z wiosną Dąbrowa nową przybrała postać. Owoce zeszłorocznej pracy naszej dostrzegać się dawały wszędzie. Kwiaty naszą sadzoną ręką rozwijały się w ogrodzie. We wsi przebijać się zaczęły ślady dobrego bytu, chaty wygrodzone, czyste, podobniejsze stały się wreszcie do mieszkań ludzkich aniżeli do chlewów, jak było w roku zeszłym.

Z macierzyńską dumą poglądałam na ukochane dzieci, którym codziennie niemal przybywało tak zewnętrznego wdzięku, jako i rzeczywistych zalet. Staś pogodził się wreszcie sam z sobą, wesół był i swobodny, znać, że wola jego była silna, postanowienie niezłomne. Jadwisia zakwitła pełną młodzieńczą krasą, codziennie wydawała mi się piękniejszą i miłszą. Nigdy też jej młodociana uroda nie okazywała się w lepszym świetle. Ubrana najczęściej biało, z głową uwieńczoną w róże lub bławatki, zdawała się przypominać owe napowietrzne istoty, stworzone fantazją starożytnych. Dobra, tkliwa, kochająca, nigdy mi dotąd nie okazywała tyle przywiązania jak obecnie. Postać jej dziwnego nabrała wyrazu, w oku zabłysnął nieznany

ogień, jakby dusza dziewczynki zbudziła się nagle dotknięciem czarodziejskiej laski, lica zakwitły słabym, przejrzystym rumieńcem, głos nawet stał się pełny i dźwięczny.

Gustaw codziennym prawie bywał u nas gościem. Coraz silniejsza przyjaźń łączyła go ze Stasiem. Uspokojenia obudwóch były niemal jednakie, z tą różnicą, że Gustaw, sierota, od dzieciennych lat przechodząc szkołę życia, chłodnem zastanowieniem hamował popędy młodzieńczego wieku. Powierzchnowość młodziana znacząca była i pełna wyrazu, długie ciemne włosy spływając mu na ramiona, odkrywały czoło wzniosłe i gładkie, czarne oko otoczone długimi rzęsami, pięknie odbijało od bladej i ogorzałej twarzy, wąs ciemny wił się kształtnie po nad rumianami ustami. Gustaw wprawdzie nie był piękny, przecież postać jego wydawała się niepospolitą.

Od niejakiego czasu rozmowy Stasia z Gustawem coraz były dłuższe, przechadzki ich wspólne coraz dalsze. Cieszyliśmy się z tego oboje z Władysławem, przewidując ile ztąd korzyści wyniknie dla Stasia.

Dnia jednego wieczorem, siedzieliśmy wszyscy za ogrodem po nad Bzurą, nie było tylko Gustawa między nami. Ciotka robiła pończochę, Władysław palił fajkę, Jadwisia rzucała polne kwiatki na bieżącą wodę i ścigała je okiem zadumana. Ja patrzałam na okolicę zakończoną pasem ciemnego lasu, przysłoniętego mgłą siną z powodu oddalenia, patrzałam na złote obłoczki powtarzające się w kręgach bystrej rzeki, słuchałam szumu drzew starych i plusku wody poruszanej kołami. Staś tylko zdawał się nieco pomieszany, chciał widocznie coś mówić, znać było jednak, że nie wiedział sam od czegoby zacząć. Ośmielił go wreszcie Władysław.

— Mój kochany — rzekł — powiedz mi otwarcie co czynić nadal zamierzasz? Może nie masz chęci do gospodarstwa? Niech mnie Bóg broni abym cię mógł do czegoś przymuszać. Ufam ci zupełnie, wiem, że nauczony doświadczeniem, nie wpadniesz już nigdy w popełnione błędy; powiedz śmiało, a uczynię dla ciebie co zechcesz.

— Ojczy! dziękuję ci — odrzekł Staś ze łzami — dziękuję ci za twą dobroć i pobłażanie, a więcej jeszcze za ufność, jaką we mnie pokładasz. Bóg mi świadkiem że jej nie nadużyję.

— Nie wątpię o tem — odpowiedział mąż — powiedz że mi więc, czy masz chęć powrócić do Warszawy.

— Nie, ojczy drogi — odpowiedział Staś całując ojcowską rękę. Będę gospodarzem, zajęcie około roli jest mi najmilszym i nie pojmuję jak można starać się o inne, mając to pod ręką. Ale ojczy drogi, czuję, ile mi jeszcze niedostaje nauki i wykształcenia. Nie radbym wprawdzie opuszczać was w tej chwili, drodzy moi rodzice, a jednak znam was, wiem, że chętnie czynicie ofiarę, gdy idzie o dobro dzieci waszych. Jeżeli więc można, wyslij mnie ojczy na trzy lata do Dorpatu; będę się uczył, będę pracował duszą całą. a kiedyś mogę się stać prawdziwie pożytecznym.

Łzy puściły mi się z oczu na te słowa; stanęły mi w myśli trzy długie lata oddalenia, przecież rada byłam w głębi duszy z postanowienia Stasia.

Władysław przycisnął głowę syna do piersi, pocałował go w czoło.

— Dobrze moje dziecko — rzekł — stanie się zadość twej woli, niech Bóg wspiera twoje chęci i zamiary.

Jadwisia tylko posmutniała nagle, łyzy błysnęły w jej oku, lica pobladły, jakiś cień odbił się na gładkim jej czole.

Wtem liście zaszeleściały w ogrodzie, obejrzałam się i ujrzałam nadchodzącego Gustawa. Rzuciłam mimowoli okiem na Jadwisię, rumieniec skрасił jej lica, zadrżała jak listek.

Staś rzucił się w objęcia przyjaciela.

— Już wszystko skończone — rzekł. Rodzice pozwalają, w jesieni jadę do Dorpatu.

Władysław podał rękę Gustawowi, dziękując mu w milczeniu za wpływ nad synem, którego używał tak korzystnie.

Zakończyliśmy dzień ten daleką przechadzką wzdłuż Bzury. Słońce zaszło, niebo zabłysło tysiącem gwiazd, wśród których przepływał księżyc jakoby sierp srebrny, siejąc na ziemię tajemnicze światło i odbijając się w kręgach wody. Głuche milczenie panowało do kola, ptastwo wodne spało utulone wśród trzciny, ucichły gwaryienne, woda tylko płynęła jak zwykle, rozbijając się z szumem o groble, tylko olchy szeleszczące pochyłały gałęzie, wzruszone wieczornym powiewem. Milczeliśmy wszyscy, ale dusze nasze pełne były wewnętrznej pociechy.

Od tego dnia jednak Jadwisia zmieniła się widocznie.

Zdawało mi się, że obawa długiego rozłączenia z bratem była jedynym tego powodem, macierzyńskie jednak oko odgadło i coś więcej. Nie chciałam przecież zrażać jej przedwczesnemi pytaniami, wolałam wszystko zostawić czasowi, oczekując dobrowolnego z jej strony wyznania.

Ciotka niemniej dostrzegła zmianę w dziewczęce, ale mniej cierpliwa odemnie. pragnęła od razu zajrzeć w głąb jej serca i usunąć wszelką wątpliwość.

W kilka dni po owym wieczorze, gdy wyjazd Stasia ułożonym został, siedziałyśmy na dziedzińcu pod lipą. Wtem siwy koń Gustawa mignął pomiędzy opłotkami, tentent kopyt dał się słyszeć opodal; Staś wybiegł powitać przyjaciela.

— Niech się nacieszą — rzekła ciotka — składając pończoszkę na chwilę i zatykając drut pod czepek, a okiem sięgając zapłonioną Jadwisię, która oskubywała listki róży, niech się nagadają, nie długo to już tej uciechy. Wnet czas i okoliczności rozdzieli ich na zawsze.

— Czemu na zawsze? — spytałam — przecież Staś odwiedzać nas będzie co lato.

— Prawda — rzekła ciotka — ale pan Gustaw będzie ztąd daleko. Mówił mi przecież proboszcz, że stryj wyjeżdża z nim w jesieni na Wołyń, gdzie ma dla niego jakąś bogatą dziedziczkę.

Spojrzałam na Jadwisię, blada była jak ściana, chusteczka na jej piersi chwiała się, znać, że serce biło gwałtownie.

Władysław zmarszczył brwi, nie rad widocznie ze słów ciotki. Milczeliśmy jednak wszyscy. W kilka minut potem Gustaw ze Stasiem weszli na podwórze i usiedli z nami pod lipą. Dziwny przymus panował w naszym kółku, rozmowa urywała się co chwila. Jadwisia widocznie unikała spojrzenia Gustawa, nie poszła nawet z nami na przechadzkę, skarżąc się na ból nogi.

Gustaw odjechał, wszyscy rozeszli się, każdy do siebie. Władysław wyprowadził mnie do ogrodu.

— Niepotrzebnie ciotka podrażniła dziewczeczkę — rzekł — na takie rzeczy najlepiej patrzeć przez szpary i niby się niczego nie domyślać.

— Tak, ale cóż z tego wyniknie? — odpowiedziałam smutno. Niepokój i cierpienie! Wiem dobrze, że ciotka zmyśliła sobie na prędce bajeczkę o wyjeździe Gustawa; ale i tak nie będzie nic z tego wszystkiego. Stryj jego stary dziwak i skąpiec, świetne ma zapewne dla synowca widoki.

— Z wyjazdem Stasia skończą się powoli odwiedziny Gustawa — rzekł Władysław — zresztą będziemy się mieć na baczności, nie będziemy go ośmielać bynajmniej, spostrzeże to i sam bywać przestanie.

— Zapóźno już będzie mój Władziu — odparłam — Jadwisia dziś już czuje głęboko i silnie, przewiduję, ile ją czeka cierpienia. Lepiejby było zerwać jak najszybciej. Im prędzej, tym mniej łez, mniej boleści.

Nazajutrz po naszej rozmowie Władysław polecił Stasiowi, aby jak można najmniej zapraszał Gustawa, aby sam raczej uprzedzał jego odwiedziny i bywał u niego częściej. Staś uczynił według naszej woli. Spostrzegł to Gustaw natychmiast.

— Widzę, że mnie nie chętnie rodzice twoi przyjmują w domu — rzekł do Stasia smutno. I cóżem im zawinił? mnie tak miło, tak dobrze między wami! Sierota od dzieciństwa, nie znałem dotąd domowego ogniska, to też dusza moja ogrzała się niejako wśród twojej zacnej rodziny. I czemuż stałem się już natrętnym? Ciężko to sierocie na świecie, wszędzie być obcym, zewsząd odepchniętym. O! to okropnie, okropnie!

Zacisnął ręce z boleścią, łzy zabłyśły mu w oczach.

— Mój Guciu — rzekł Staś — kocham cię jak brata, wolę ci zatem wydać szczerą prawdę. Rodzice moi dostrzegli, że nie obojętnym okiem patrzysz na moją siostrę. Po cóż więc zakłócać wzajemny wam spokój.

— Czyżby i ona nie była dla mnie obojętną? — zawołał Gustaw w uniesieniu. Powiedz, o powiedz mi Stasiu, jeżeli tak, gotów jestem narazić się na wszystko.

— Ależ twój stryj? Czyż myślisz, że nasz ojciec pozwoliłby na małżeństwo, nie będąc pewien jego przyzwolenia?

— Słuchaj oto Stasiu — rzekł Gustaw po chwili namysłu — jutro pomówię ze stryjem, wyznam mu wszystko. Jeżeli sprzeciwiać się zechce, mam i tak własny mój majątek, obejdę się bez jego dobrodziejstw, za drogo bym je opłacił.

Nazajutrz wieczorem przybył Gustaw do Dąbrowy. Na pierwszy rzut oka spostrzegliśmy w nim wielką zmianę, blady był i pomieszany.

Po herbacie wyprowadził Stasia do ogrodu. Usiedli obydwu po nad wodą.

— Żle Stasiu — rzekł Gustaw — stryj o niczem słyszeć nie chce, ale mnie to nie zraża. Proszę cię i zaklinam na przyjaźń naszą, powtórz rodzicom moje słowa, powiedz im, że najszcześliwszym będę jeżeli otrzymam ich przyrzeczenie. Zanađto oceniam szczęście domowe, abym się miał wahać choć chwilę między ręką Jadwigi a stryjowskim majątkiem.

Władysław chodził właśnie z fajką po zacienionej drzewami ulicy. Usłyszawszy Gustawa, zbliżył się do niego.

— Moje dzieci — rzekł — nie sąǳcie abym was podsłuchiwał. Słowa twoje Gustawie doszły mnie przypadkiem. Oceniam cię i kocham jak syna, przecież nie mogę zadosyć uczynić twej woli. Zależysz wyłącznie od stryja, winien mu jesteś nie tylko majątek, ale i wychowanie. On był drugim twym ojcem, bo go żadna względem ciebie

nie wiązała powinność. Nie zasłużyłbyś nigdy na błogosławieństwo Boskie, gdybyś miał w starości opuścić i zasmutzić opiekuna twego.

— Czemuż za wiele żąda?—odparł Gustaw—czemuż chce ofiary mego szczęścia, mej przyszłości?

— Prawda, że żądanie jego wielkie—rzekł Władysław—ale obowiązkiem twoim jest uczynić mu zadosyć. Szanuj mój kochany rodzinne związki, bo na nich polega ogólne szczęście i spokojność. Wreszcie, bądź pewien, że ani ja, ani moja żona nie oddalibyśmy nigdy córki tam, gdzieby nie była dostatecznie kochaną i ocenioną.

— Moje przywiązanie nagrodziłoby jej wszystko—przerwał Gustaw z zapałem.

— Nie, nie wszystko Gustawie—odparł mąż—przyszłaby może chwila, żebyś zatęsknił do rodziny, żebyś wspomniał dobrodziejstwa doznane niegdyś od stryja. Kto wie czyby przywiązanie twe do żony nie straciło kiedyś na tem, gdybyś ją uważał jako powód zerwania z całą twą przeszłością.

Chwilę jeszcze trwał spór wzajemny, ale cała wymowa Gustawa okazała się bezskuteczną. Władysław nie dał się zmiękczyć, uściśnął tkliwie Gustawa, który z swej strony przyrzekł unikać nas i nie zakłócać dalej spokojności Jadwisi.

Odtąd niepojęta zmiana zaszła w naszym domu, posmutniały widocznie nasze progi; cierpienie Jadwisi rzucało cień na wszystko. Błada i milcząca siedziała w oknie z robotą; obca wszystkiemu co się działo do koła. Gustaw nie przyjeżdżał, Jadwisia nie wiedziała powodu nagłego oddalenia, obwiniała go w duszy. Wierzyła słowom ciotki, wyrzeczonym niegdyś o jego małżeństwie. Na wzmiankę jego imienia bladła i mieniała się widocznie.

Nie raz z rana dostrzegałam ślady łez na jej twarzy, nie ją nie bawiło, nie cieszyło; znikła młodszeńcza swoboda jej czoła, ubiór nawet stawał się coraz bardziej zaniedbanym. Szara sukienka zastąpiła białą odzież w której niedawno tak jej było ładnie, którą Gustaw tak chwalił.

Cierpienie głębokie Jadwisi niepokoiło nas wszystkich. Bóg jeden wie, ilem strawiła bezsennych nocy, dręczona najsmutniejszymi przypuszczeniami. Nie śmiałam jednak wdzierać się gwałtem w jej zaufanie, nie chcąc bardziej ranić, zranionego jej serca.

— Żle, oj źle z biednem dzieckiem—rzekła do mnie ciotka, skłaniając głowę. Cicha woda najgłębiej podrywa brzegi, to też ten najwięcej cierpi, kto się nie skarży, nie narzeka, ale połyka ukradkiem łzy i boleść.

Wymyślałam rozliczne domowe zatrudnienia, aby zająć Jadwisię i oderwać myśl jej od dręczącego ją przedmiotu. Wszystko jednak było bezskuteczne. Dobra dziewczyna, posłuszna mej woli, wypełniała wszelkie moje żądania, ale myśl jej była gdzieindziej.

Wieczorem chodziłyśmy zwykle wzdłuż Bzury. Jadwisia ścigała okiem bieg wody, smutna i zamyślona, goniąc ubiegłe jak sen chwile.

— Patrz Jadwisiu, jaki piękny świat Boży! — rzekłam raz nieśmiało, wskazując niebo i gwiazdy, Bóg nie chce abyśmy smutnem sercem przyjmowali Jego dary. Wielka to nauka moje dziecię godzić się z życiem i bólem i patrzeć pogodnem okiem w górę, choć piołun zarasta nam drogę życia.

Ręka Jadwisi zadrżała, serce jej uderzyło, przytuliła się do mej piersi i zapłakała rzewnie.

— O mamol! — zawołała — przebacz mi mój smutek,

moją boleść. Ależ to nie moja wina! to nad siły, jak cię kocham, nad siły!

Łzy moje i serdeczne uściśnienie były całą odpowiedzią.

— Biedneż ty dziecię, biedne! — rzekłam tuląc ją w objęcia, ależ my cię tak kochamy, niech ta myśl osłodzi twe cierpienia!

— O! i czemuż nie poprzestałam na waszem przywiązaniu? — odparła ze łkaniem — od was nie doznałabym nigdy zawodu!

— Zawodu? — odparłam — wszakże cię nikt nie zawiódł mój aniele, okoliczności tylko sprzeczne stanęły na drodze twemu szczęściu.

— Jakto? a więc on mnie nie zawiódł — zawołała — i nagle wstydząc się słów własnych, zasłoniła oczy rękoma, na które łzy gorące płynęły potokiem.

— Nie moje dziecię — rzekłam — czując, że temi słowy przyniosę ulgę jej sercu. On cię kochał, on cię kocha jak dawniej, ale połączenie wasze jest niepodobnem, trudno bowiem przełamać wolę opiekuna, który cię nie chce poznać i ocenić.

— Boże! dzięki Ci — rzekła z cicha Jadwisia. Od-tąd przyrzekam ci matko, zniosę spokojnie moją boleść. Mnie tylko jedynie dręczyła myśl, że on nikczemny, że niegodzien mego przywiązania, gardziłam sama sobą, a jednak nie mogłam zapomnieć.

Od tej chwili Jadwisia była spokojną, cierpiała wprawdzie, ale w cierpieniu jej nie było goryczy. Przełamawszy raz wrodzoną nieśmiałość, powierzała mi najtajniejsze swe myśli i przelotne nadzieje, których nie miałam odwagi odbierać jej do reszty, ufając Bogu, że wszystko zakończy pomyślnie.

Okolo Świętego Jana Władysław pojechał do Warszawy za interesami. Ja z Jadwisią wybrałam się do Karolów. Liczyłam wiele na to, że przejażdżka, oraz towarzystwo Joasi przyniesie dziewczeczce choć chwilową ulgę. Aniela nie wiedziała o niczem, chciałam jej wyznać nasze cierpienia i zaczerpnąć jej rady.

Karolowie widząc zajeżdżający nasz powóz wybiegli oboje na spotkanie.

— Zastałyście też u nas waszego sąsiada, a naszego krewnego, sędziego — rzekła Aniela — wprowadzając nas do pokoju. Stary mantyka, trochę głuchy, ale zresztą dobry i zaćny człowiek. Nie ma godziny jak przyjechał do nas, wracając do domu z kaliskiego.

Jadwisia zbładła; ja sama zmięszałam się cokolwiek. Weszłam jednak do pokoju. Aniela przedstawiła nas sędziemu, który, jak się dowiedziałam później, nie dosłyszał naszego nazwiska.

Był to człowiek przeszło sześćdziesięcioletni. Twarz jego jakkolwiek zrazu wydawała się surowa, miała przecież wyraz miły i ujmujący, zwłaszcza za bliższem w niej rozpatrzeniem. Dla kobiet zachowywał starodawną grzeczność; gotów zawsze, jak mówił, na usługi płci pięknej. Lubił wprowadzić pieniądze, szczególnie w starości, gdy wszelkie inne opuściły go złudzenia, przecież nie był nigdy chciwym na cudze, a za żadne skarby nie byłby splamił pocziwego imienia. Do szlacheckiego klejnotu swego nie małe przywiązywał znaczenie, pierścień herbowy nosił zwykle na palcu i lubił mówić o zasługach przodków, przecież i dla włościń swoich dobrym był i wyrozumiałym panem, dbał o ich potrzeby i uważał ich za bliźnich i braci, młodszych wprowadzić; ale jednak dzieci jedynego Boga. Miał swoje wady, swoje śmieszności, bo

któż bez nich na świecie? mimo to jednak zacnym był i szanownym człowiekiem.

Rozmowa zawiązała się ogólna. Sędzia mówił wiele i dobrze, opowiadał swoje podróże, serdecznym był z Karolem i Anielą. Dziewczętom prawił grzeczności, do wieczora poznaliśmy się z nim doskonale. Upatrzawszy chwilę, wyprowadziłam na bok Anielę, opowiedziałam jej wszystko, ta ze swej strony przypuściła Karola do tajemnicy.

Podano wieczerzę w altanie. Karol umieścił sędziego pomiędzy dwoma dziewczętami, dolewał mu hojnie starego wina, którego sędzia nie miał zwyczaju wylewać za kołnierz. Rozmowa ożywiała się coraz bardziej, w miarę jak się zapalały rumieńcem policzki sędziego.

— Szkoda, szkoda zaprawdę — rzekł sędzia — że tu nie ma mego Gucia, on by mnie godnie zastąpił. Oj starość nie radość! Przedtem człowiek rad smałał cholewki, i nie darmo zaprawdę, teraz panienki pośmieją się, pożartują, jakto zwyczajnie ze starym, ale jakby przyszło do ołtarza, nciekłyby przed siwą głową jako żywo.

— I czemuż pan Gustaw nie przyjechał? — zapytała Anieli.

— Albo ja wiem? — odparł sędzia — chciałem go wziąć ze sobą w kaliskie, ale kto dziś z młodemi dojdzie ładu! Zgadując ja wprawdzie co się święci—dodał zażywając tabakę.

— I cóż takiego — zapytał Karol.

— Ha zwyczajnie, romanse kochanku, romanse zajęchały paniczowi do głowy. Pokochał się bez mojej wiedzy i woli w córce tego adwokata, co to niedawno kupił wioskę w sąsiedztwie. Mniejsza o to, że nie bogata, mój synowiec ma dosyć i dla siebie i dla żony, ależ ojciec sta-

wał przed kratkami, a ja tego nie lubię. Szermierzyć słowem, to nie szlachecka rzecz mospanie!

Jadwisia zbladła jak ściana, ja sama dziwnie byłam pomięszana. Spostrzegli to Karolowie.

— Ale przecież pan Władysław Z... uczciwym był prawnikiem — rzekł Karol — nikt mu tego nie zaprzeczy. Toż to mój najlepszy przyjaciel, znamy się od młodości.

— Wiem, że uczciwy — odpowiedział sędzia — mówił mi to stary pułkownik, z którym spotkałem się w kaliskiem. Opowiadał mi nawet zajście jakie mieli ze sobą przed kilkunastu laty. Przyznam się szczerze, gdybym był o tem wiedział, nie byłbym miał serca opierać się Guciowi, kiedy mnie przed miesiącem naglił o pozwolenie na małżeństwo z panną Jadwigą, bo tak jej podobno na imię.

— Możnaby to jeszcze powetować — przerwała Anie-la. O ile poznaję pana sędziego, nie wątpię o tem, że nie zechce się sprzeciwiać szczęściu pana Gustawa.

— Moja mościa dobrodziejko — odpowiedział sędzia stawiając na stole próżny kieliszek, który tylko co spełnił — śmierć i żona, od Boga przeznaczona, mówi przysło wie. Żebym się nie wiem jak sprzeciwiał, nic to nie pomoże, jeżeli w górze napisano, że Gustaw pojmie pannę Jadwigę. Niech poczekają trochę, niech się przekonają czy się kochają prawdziwie, czyli też tak tylko dla igraszki, jak się to młodym zdarza. Ot żal mi serdecznie, że tu nie ma Gucia; żebyście go tak jak mnie posadzili przy takim pięknym aniołku, a on mimo to pozostał wiernym swojej bogdance, tobym powiedział, że ją prawdziwie kocha i dalibóg jużbym mu nie bronił. *Et ne nos inducas in tentationem*, stoi wyraźnie w pacierzu. Nie pewna to miłość, co nie przeszła żadnej próby.

Rozśmialiśmy się wszyscy. Jadwisia nawet rozweseliła się powoli, nadzieja bowiem zabłysła jej wyraźna. Aniela chciała natychmiast rzecz wyjaśnić. Zaczęła już coś bąkać, ale skinał na nią Karol.

— Nie trzeba nic dziś mówić — rzekł do żony po wieczery. Jutro wszystko się wyjaśni jak wino wyszumi sędziemu z głowy. Działając przedwcześnie wystawilibyśmy go próżno na wstyd i upokorzenie, a tak o wszystkim przez noc zapomni. Widać, że wcale dobrze usposobiony dla Władysława, dzięki półkownikowi; nie ma zatem obawy.

Reszta dnia zeszła wesoło. Sędzia podchmielony całował rączki dziewczętom, prawił wszystkim grzeczności. Nazajutrz z rana zanim przyszlismy do sali, zapytał Karola o nas, przyznając się, że nie dosłyszał nazwiska. Zdziwienie jego było nadzwyczajne, gdy się dowiedział, kto jesteśmy. Nie mógł nawet pokryć pomieszania, gdy nas zobaczył przy śniadaniu.

Karol i Aniela wyprowadzili go z kłopotu, wciągając nas wszystkich w ogólną rozmowę. Uważałam, że sędzia przyglądał się uważnie Jadwisi, uśmiechał się nieznacznie, słowem, okazywał najlepsze ku nam usposobienie. Na prośbę Karola zabawił jeszcze cały dzień w ich domu. Przepraszał mnie, że dotąd nie złożył nam winnego uszanowania, jako tak miłym i blizkim sąsiadom i przyrzekał rychło powetować zaniedbanie.

Nazajutrz z rana sędzia odjechał wreszcie do domu, w parę dni potem i my wyruszyliśmy do Dąbrowy, chcąc poprzedzić Władysława. Aniela odprowadziła nas wraz z Joasią. Karol obiecał przybyć za tydzień po żonę.

Przyjechaliśmy przed wieczorem do domu. Dobra ciotka oczekiwała nas na podwórzu pod lipą. Podano

herbatę. Jadwisia zajęła się jej nalewaniem. Aniela opowiadała ciotce o spotkaniu naszym z sędzią. Wtem turkot powstał na drodze, koczyk starego kształtu ukazał się w opłotkach, zawrócił w bramę, zatrzymał się nieco opodal dworu. Gustaw wyskoczywszy pierwszy, podał rękę wysiadającemu stryjowi.

Jadwisia skraśniała ujrawszy młodziana. Gustaw zdawał się być nad wyraz szczęśliwy.

Wieczór był prześliczny, zostaliśmy więc po herbach na dziedzińcu, rozmawiając swobodnie. Słońce zachodzące, złościło obszerne łąny zboża kołysane powiewem wiatru. Woń róż i rezedy unosiła się w powietrzu. Każdy z nas czuł się swobodnym i szczęśliwym. Zaczny pleban przybył także do naszego grona.

Mrok szary zapadać zaczął, gdy trąbka pocztowa odezwała się zdala. Wkrótce i bryczka wtoczyła się na dziedziniec. Władysław pokończywszy rychlej niż zamierzał interesa świętojańskie, powracał do domu wraz ze Stasiem. Trudno opisać ich zdziwienie i niespodzianą radość.

Za drugą bytnością w domu naszym sędzia oświadczył synowca o rękę Jadwisi, nie opuszczając żadnej formalności. Przyrzekł oddać mu wieś odległą o dwie mile od Dąbrowy. Stosownie do wspólnej umowy, ślub miał się odbyć w początku września, przed odjazdem Stasia do Dorpatu.

Czas leciał jakby na skrzydłach. Byłam szczęśliwa patrząc na jaśniejące zdrowiem i swobodą lica mej Jadwisi, a jednak serce ścisnęło mi się na myśl o rychłym rozłączeniu z dziećmi. Nie raz zalewałam się gorzkimi łzami, mimo, że rada byłam serdecznie z głębi duszy.

Nadszedł dzień 6-go września. Ubrałam Jadwisię do ślubu, powiozłam ją do kościoła, pobłogosławiłam drżącą ręką. Dziwna sprzeczność panowała w mojem sercu, nie wiedziałam sama co w niem przemaga, radość czy żal i obawa. O! bo łązy i wesele, radość i troska tak się mieszały w życiu! Nie ma szczęścia bez łez, nie ma bólu bez jakiego promyka pociechy. Bo życie to walka! a zupełna radość w niebie...

We dwa dni po weselu głucho było i pusto w Dąbrowie. Gustaw zabrał naszą ukochaną Jadwisię. Staś wyjechał do Dorpatu. Sędzia i Karolowie rozjechali się, każdy w swoją stronę. Ciotka chodziła po ogrodzie, szepcząc wieczorne pacierze i licząc ziarnka różańca, Ja z Władysławem poszliśmy oboje po nad rzekę, usiedliśmy na brzegu. Szumiały olchy, woda z łoskotem obracała koła młynu, dolatała zdala piosenka żniwiarzy dożynających owies; przed nami rozciągały się nieścignione okiem łąny zasłane rżyskiem, z których niedawno zwieziono bogate plony do stodoły. Słońce przyświecało, ale blado, jak zazwyczaj w jesieni. Niepojęty żal ścisnął mi serce. Łzy zakrążyły mi w oczach, skłoniłam głowę na ramię Władysława.

— Czego płaczesz Zosiu? — zapytał z głębokiem współczuciem.

— O mój Władziu! — odpowiedziałam — i jakże płakać nie mam. Niedawno tyle tu było życia, tyle szczęścia, teraz cicho i pusto jak w grobie!

Głośne łkanie przerwało mi mowę.

Władysław ujął mnie za rękę, spojrzał na mnie z uczuciem, dostrzegłam łzę krążącą mu w oku.

— O nie Zosiu — rzekł drżącym od wzruszenia głosem — nie mów że tu pusto i głucho! Spójrzj raczej

w przeszłość. Za nic że policzysz dwadzieścia lat szczęścia i miłości? dwadzieścia lat trudów i poświęcenia? Zastanów się Zosiu jakby nam było w tej chwili, gdybyśmy jak tyle innych małżeństw ujrzeni się dziś u progu starości, pozbawieni ułudzeń, z sercem oschłym i znudzonym, z wyrzutem w duszy, z goryczą we wspomnieniu! O nie! nam się smucić nie godzi, przyszłość nasza tak bogata, tyle planów zerwaliśmy na drodze życia. Dzieci opuściły nas wprawdzie, ale pozostały inne jeszcze węzły, które łączą na wieki dusze nasze, węzły wspólnego szacunku i wdzięczności. Miłość nasza nie zgaśnie, bośmy jej nie strwonili samolubnie, ale kochając się szczerze nawzajem, kochaliśmy bliźnich, kochaliśmy Boga i prawdę.

— O tak, nie płaczmy Władysławie— odpowiedziałam tuląc się do jego piersi — podziękujmy raczej Bogu, że nas połączył, że nam dozwolił przejść stopą bez skazy, najburzliwszą część życia! Idźmy dalej, wsparci wzajemną miłością i wiarą, idźmy ku owej przystani gdzie Bóg nagradza wiecznym spokojem cnotę i poświęcenie, a dopóki stanie sił i życia pracujmy, żyjmy dla drugich, i nie tracmy wewnętrznej pogody, tak, jak czynił do śmierci ukochany nasz ojciec!

Podniosłam głowę, spojrzałam z po za łez na Władysława, uśmiechał się do mnie łagodnie, tuląc mą rękę do piersi.

Zorza wieczorna gasła zwolna na niebie, pomrok szary roztaczał się w około. Długo, długo, patrzeliśmy w przestrzeń nieprzyćmioną żadnym obłokiem. Wtem dwie jaskółki jak dwie strzały przeleciały ku wschodowi po nad głowami naszymi.

— I one porzuciły ciche gniazdko, gdzie im tak dobrze było — rzekł Władysław — a jednak ufne w Boga

leca tam, kędy im nowa zaświta wiosna! I my nie traćmy odwagi. Ten, który drobnym ptaszynom udziela strawy, nie opuści człowieka!

Powstaliśmy oboje pokrzewieni na duchu, z sercem lekkim, z pogodnem czołem, z uśmiechem na ustach i poszliśmy zwolna ku domowi. Wieczorny dzwonek odezwał się w tej chwili na Anioł Pański.

❧ Król Robert Brucy.

Z PODAŃ SZKOCKICH.

Imię Roberta Brucego, upowszechniła w literaturze naszej pani Marya Ilnicka, prześlicznym przekładem poematu Walter-Skotta p. t.: „Pan Dwóchset Wysp.“ Zachwycona pięknym utworem, starałam się bliżej poznać podania szkockie o tym królu-rycerzu, który przez lat dwadzieścia walczył wytrwale przeciw dwom Edwardom angielskim; nie złożył oręża, aż odniósł ostateczny tryumf i zapewnił niepodległość Szkocyi, pod następcami Brucych — Stuartami. Na tych to podaniach osnułam dwa poemaciki.

I.

P A J A K.

Szkocka ty ziemio! Bóg tobie dał
Olbrzymią twierdzę ze stromych skał,
Grzmiące potoki spuścił z twych gór,
Płaszczem cię mętnych osłonił chmur,
Dał tobie bardy, co dźwiękiem harf
Gdy grudzień odrze twe łąki z barw,
Dzwonią ci brzmiać, w takt wieszczych snów,
Aż wiosna kwiaty rozwinie znów.

Szkocka ty ziemio! i któżby śmiał
Przekroczyć stopą ten opok zwał?
Domu twojego bezpieczny wzrąb,
Zkądże ta wrzawa bojowych trąb?
Przecz, niby jeleni obławą gnan,
Król Robert Brucy, twój prawy pan
Ubiega w czarne wąwozy? Przecz
Plantageneta groźny mu miecz?
Z gniazdaż go cudzy wypłoszył gość?

Bo Robert Brucy, kości twych kość,
Napędzon dzieckiem w bezdenną toń,
Młodą przed obcym raz ugiął skroń,
Raz... ach! ta pamięć w duszy mu tkwi,
Pałącym jadem, on, Szkot, krew z krwi
Na głowę braci miecz podniósł raz!
Jeszcze tej plamy nie zatarł czas,

Ni łez gorący nie splukał zdroj,
Stokroć z Bretonem zwodził on bój;
Łzawy ni krwawy nie pomógł chrzest,
Na ostrzu miecza rdza dotąd jest,
W sercu żałoba, na czole srom;
Ze zgliszcz królewski nie powstał dom!
Może, by zmazać do reszty dług,
Jeszcze łyzy jednej wymaga Bóg!

Patrzmy .. noc czarny roztacza kir;
Wilk-że to chyłkiem pędzi na żyr?
Sęp-że w powietrzny wzbija się szlak?
Nie zwierz to głodny, ni głodny ptak,
To gnan pogonią bez tchu, bez sił,
Król Robert Brucy!... Z rozdętych żył
Na twarz mu bucha płomieniem krew;
Zakipi gniewem, ryknie jak lew;
Do chaty wspartej o krawędź skał,
Pod tarczą nocy przebieży w cwał,
Zbiegł sieć wawozów to wszerz, to wzdłuż,
Tutaj go Breton nie stropi już;
Na straży Duglas, on wierny druh,
Rozwarł powieki, wyteżył słuch,
Pogoń daleko!... zmilkł podźwięk trąb.

Król na garść słomy, runął, jak dąb;
O ziemię głucho zaszczęknął miecz,
Schwyił go Brucy, odtrącił precz:
— „Tyżeś mi wypadł z bezsilnych rąk?
Gończe mnie sfory obieżyły w krąg;
Już ich krwi chciwych nie ujść mnie paszcz,
Zszarpią mi w szmaty królewski płaszcz,

Tron mój zdruzgoczą, skalają cześć,
Ja... Robert Brucy... jam dał się zgnieść!“

Umilkł... na oczy padł-że mu sen?
On miałby zasnąć? nie zdrzemnie ten,
Komu rwie serce piekielny ból!
Cicho, przed Bogiem zapłakał król...
I skrzydła myśli rozpostrze w lot...
Gdzie legło tylu, mamże ja, Szkot,
Ku czci Twej Chryste poskąpić krwi?
Z piersi królewskiej zbiegł poryk lwi:
„Godzina moja uderza już!
Prowadź mnie Panie, przez głębie mórz,
Do grodu Twego przesławnych bram,
Lecz lub zwyciężyć pozwól mi tam!
Daj ucałować ślady Twych stóp,
Oprzeć me serce o Święty grób!
Zdroje łez wylać w okup mych win,
Gdzieś żył i skonał, Ty Boży Syn!...
Wtedy, ach! wtedy przebaczysz mi...“
Głos coraz ciszej a smętniej brzmi,
Zmilkł... nie dosłyszeć jęku ni słów.

A tam, w pobliżu królewskich głów,
Jak on milczący, znojny jak on,
Pająk uściela w górze swój tron,
Promień księżyca przez okno wpadł,
Spostrzega Brucy pajęczy ślad:
Widzi... od belki spuszcza się w dół;
Długo tkacz, długo, swój postaw snuł.
Wreszcie do wątku zabrać się czas;
Sprządz mu dwie belki.., och! gdyby raz
Rozrywki. T. IV,

Słabiuchną tylko przerzucił nie...

— „Biedny pająku! co tobie śnić?“

Zawoła Brucy i wlepi wzrok,
Z zamachem pająk rzuca się w bok,
Zbrakło mu siły... Daremny trud!
Znów się na nici waży jak wprzód;
I znów uderza, i znowu zwisł,
Czyż go pajęczy odstał zmysł?
Nie zrażon próbą, dobywa sił,
Już tkacz zuchwały u mety był!
Gdybyż cał jeden, ach! jeden cał!...
I znów oczyma przemierza dal,
Gdyby mu drobne skrzydełka mieć?
Rzuca się jeszcze... wtem, pękła sieć,
Naprawia szkodę, czas kończyć już,
Na dół po nici spuszcza się wzdłuż,
Po dwakroć silny ponawia rzut.

— „Biedny pająku! małoż twych złud?

Według sił, mety łatwiejsze znacz!...“

On nie ustaje, wytrwały tkacz,
Z wysiłkiem mierzy do celu wprost:
Z belki na belkę zarzucił most!

Widzi to Brucy... łzę otarł z lic:

— „Nic mnie już z drogi nie zwróci, nic.

Wielką przestrozę daje mi Bóg,
Dzięki Ci Panie!“ I zagrzmi w róg:
Dugłas z drużyną przybieży w cwał,
Pomyka hasło od skał do skał;
Zaszczękły miecze, krwi potok ściekł,
Rumieni łoża jezior i rzek.

Brucy już panem warownych miast,
Drapieżne sępy wypłoszył z gniazd.
Przez Twidu fale najezdce brną,
Iluż porwały prądy na dno!
A Brucy zasiadł królewski gród,
Oczy w daleki zasyła wschód;
Duma na jawie, marzy we śnie,
Rychłoż swój korab' na morza pchnie?
W duszy niezłomny powtarza ślub:
On wesprze serce o Zbawcy grób!

II.

SERCE BRUCEGO.

Dla czego zadrżał królewski gród?
Czemu jęk płynie wśród Klydy wód?
Dla czego Bardów zmiłkł śpiewny chór?
Czemu zmiłkł szelest sokolich piór?
Drzemią na berle sokoły tam,
Już róg myśliwski nie huknie z bram;
Wyją ogary, nie iść im w las,
Wesołych łowów przeminął czas...
Czarna łowczyni wietrzy tu łup,
Krąży nad zamkiem jak dymu słup;
Śpiące puhacze wypłasza z gniazd,
Lecieć im z wieścią od miast do miast,
Mknąć przez parowy od siół do siół,
Bo już rozwarty grobowy dół

Temu, co w bojach przez wieku ćwierć,
Śmiało w zapasy wyzywał śmierć...
Straszny odwetu przyszedł już dzień,
Czarnej łowczyni krąży tu cień,
Słysząc złowrogie pogwary sów,
Nim słońce zajdzie skończony łów!

Na ścież zozwarte komnaty drzwi,
Legł Robert Brucy na skórze lwiej,
Jak dąb wspaniały, krzepki jak tur,
Lica ma blade, czoło bez chmur;
Krucze kędziory, kruczą ma brew,
Ból jej nie zmarszczył, nie zjeżył gniew;
Piersi mu broda pokryła w pół,
Czas już w jej runo nie srebrną wsnuł,
Lecz nie wyłobił na czole bruzd,
Uśmiechu z bladych nie spędził ust,
Nie zgasił czaru tych źrenic dwóch,
Z ich głębi świeci pogodny duch!

Opodal stoją barony w krąg.
Przyzywał ich Brucy skinieniem rąk:
Idą... zaszczękła pancerzów stal,
Jeden pozostał... zbyt ciężki żal
W ślad za drużyną nie da mu iść;
Oniemiał z bólu drżący jak liść.
To dzielny Duglas! od rannych lat,
Po krwi, po mieczu, po duchu brat!...

— „Wierni wy moi! — rzekł z cicha król,
Z serc wam niewczesny wyrzucić ból:
Acz mi kędziorów nie zbielił śnieg,
Krótki lecz pełny dni moich bieg!

Silaż mi spełnić dozwolił Pan,
Jam wzmocnił węgly domowych ścian,
Zdawna stargany przywrócił mir,
Rozbudził struny milczących lir,
Niesforną gawiedź jam ujął w karb,
Złotem ubogi zasilił skarb,
W oracza rękę jam oddał pług,
Jam kraj wprowadził w tór nowych dróg,
Po ciężkiej pracy spocząć mi czas!
Wam dalej trzebić ten głuchy las,
Wzrosły na zgłiszczach zamczysk i chat,
Wam goić rany stu krwawych lat,
Wam, stać na czatach domowych miedz,
I w starem gnieździe pisklęcia strzedz,
Słonić od spieku, chronić od dżdżu,
Aż z ramion skrzydła wyrosną mu,
Aż niańczon pieśnią królewski ptak,
Orłem w słoneczny wyleci szlak!

Druchy u łoża poklekli w rząd,
Wola wstrzymują łez wrzący prąd;
Tchu brak im w piersi, brak w ustach słów.
Król spoczął chwilę i rzecze znów:
— „Chodź-że Duglasie, ty bracie mój!
Nie jeden przy mnie przetrwałś bój;
Tyś nigdy kroku nie cofnął wstecz,
Nigdy z twej ręki nie wypadł miecz,
Dziś-że rycerska pierś twoja drży?
Chodź-tu. przy tobie skonać mi lżej!...”

I zebrał Duglas ostatek sił.
W wezglowie króla oblicze skrył;

Słodko się Brucy uśmiechnie doń,
Na głowie druha wsparł zimną dłoń:
— „Miły Duglasie! chce tego Bóg!
Kres moich ziemskich skończony dróg,
Lichy rozbitek po latach burz,
Idę w przystani odpocząć już!
Bratnią mi ręką, rzuć ziemi garść,
Lecz nie daj ziemi na oczy spaść,
Póki mej woli nie spełnisz wprzód:
Gdy serce moje zastygnie w lód,
Ty nieskażoną prawicą swą,
Z mej piersi trupiej wyjm serce to,
W złocistą puszkę to serce skryj.
Podejmij w rękę pielgrzymi kij,
Idź tam, gdzie w skwarne żywota dnie,
Duch mój w znikomym wędrował śnie;
Gdziem ślub uczynił wśród twardych prób,
Oprzeć me serce o Zbawcy grób,
Do stóp Golgoty... ach! ty je zbliż!”

Umilkł, oburącz uściskał krzyż,
Krasa do reszty zbiegła mu z lic,
Westchnął... i więcej nie wyrzekł nic...
I tajemniczo siadła u głów
Czarna łowczyni... skończony łów!...

Stoją barony z oczyma w słupek,
A na lwiej skórze królewski trup
Spoczywa cicho — jak gdyby spał,
Straszny Duglasa porywa szal,
Rozrywa szaty, włos brody rwie,
— „Boże! — zawoła — Tyś dusze dwie

Świątem miłości ogniwem skuł,
Wtrąć mnie z nim razem w grobcwy dół!“

Spojrzy na trupa, odbieży w skok,
Zwrócon ku niemu królewski wzrok
Mówi tajemno: „Duglasie stój.
W moc uzbrój ducha, nieskończon bój!
Świątą powinność wypełnić masz,
Jam zdał me serce pod twoją straż!“

W Duglasie nagle zolbrzymiał duch.
Przystąpi wierny do króla druh,
Zwarł mu powieki, u łoża kłął,
Krzyż umarłemu podejmie z rąk:
— „Chryste przed Tobą on spełnił ślub,
Tyś w poprzek drogi stawił mu grób;
W okup zań moją przyjm Panie krew,
Daj mi pomnożyć ten Boży siew,
Co z kości wiernych wykwita wciąż
Ku chwale Twojej!“

I powstał mąż:
— „Rycerze! woła. za krzyż! za miecz!
Boleść z serc waszych odrzućcie precz;
Sztandar Brucego podjąć nam czas,
Do Palestyny niech wiedzie nas.
Trupia go ręka nie dźwignie już!
My go powieziem przez fale mórz,
Memi was usty król wzywa sam,
To wielkie serce tor wskaże wam!“

Szczękiem sto mieczów odpowie w chór:
Zabrzmiały dzwony, od gór do gór

Głucho przebiega żałobny spiż.
Zbiera się orszak, po przedzie krzyż;
Barony zwłoki podjęli w pół,
Ze czią złożyli w grobowy dół
Obleli łzami... śpi w ziemi trup,
Druhy zań spełnią pobożny ślub!

Mewyż to lecą na wschodni brzeg?
To flota szkocka... żartki jej bieg,
Wiatr przez głębinę spienionych wód,
Rozdęte żagle pędzi na Wschód!
Któż to ów rycerz rosły jak tur?
Ma na szyszaku pęk czarnych piór,
Czerwonym krzyżemznaczony płaszcz,
Na piersi łańcuch z lwich kuty paszcz,
Cóż u łańcucha przyświeca tak?
Złocista puszcza, na puszcze ptak,
Skrzydlaty orzeł zrywa się w lot,
Godła Brucego zna wierny Szkot,
Duglas żrenice zatopił w nie,
A flota hyżo po falach mknie!

Otóż i Flandrów nadbrzeżny gród;
Zwołuje Duglas rycerski lud:
— „Niech pękną zwarte wrzeciǳe bram!
Serce Brucego na piersi mam!
Przyłóćcież usta do złotych czasz,
Przezemnie woła król Robert nasz:
Na Wschód rycerze! tam rośnie bluszcz,
Dość wam tych wieńców z litewskich puszczy¹⁾),

¹⁾ Wiadomo, że cała Europa wysyłała w te czasy rycerzy swoich przeciw pogańskiej Litwie, pod chorągwie rycerzy krzyżowych.

Czas w samem gnieździe pohanie zgnieść!
Wnet się po kraju rozbieży wieść,
Flamandów święty pochwyca szal,
Waleczny zastęp zbroicę wdział.

Pomyka flota na skrzydłach burz,
O kraj Hiszpanów potraça już;
Gwadalkwiviru poniósł ją prąd
Do bram Sewilli.

— „Nie ruszym ztąd!
Zawoła Douglas, — dmie wicher wstecz,
O karki Maurów zostrzmy tu miecz!
Oto król Alfons z dzielności znan.
Zwołuje wiernych w rycerski tan;
Nad krajem straszne orkany dma,
Osmin z Grenady, z Arabów cma
Pędzi po zgłiszczach zgorzałych miast,
Drapieżne kruki wypłasza z gniazd,
Na krzywdy ludzkie patrzeć-że nam?
Robert mi szepcze... głos jego znam!
W złocistej puszcze to serce drży!
Idźmy! pod ziemią będzie mu lżej.
Za mną krzyżowce! chce tego Bóg!“

Rozwinął sztandar, — zadzwoni w róg,
Ziemia się wstrzęsła, drżą złomy skał,
Douglas z rycerstwem pomyka w cwał;
Do wojsk Alfonsa dopędza już...

— „Zkąd ty rycerzu?“

— „Z za słonych mórz!

Król Robert Brucy pomoc wam śle,
Widzisz te godła na modrem tle.“

-- „Kędyż bohater?”

— „W ziemi. bez tchu,
Lecz jego serce ja noszę tu!”

I podniósł puszkę waleczny Szkot,
Z pokrywy orzeł zrywa się w lot,
W Alfonsie nagle spotęźniał duch,
Rozwarł źrenicę, wyteża słuch:

— „Słyszysz rycerzu ten poryk trąb?
Widzisz na niebie ten czarny kłęb?
To Osmin, wściekły pustyni lew!

W żyłach rycerzy zakipi krew:
Szkoty i Flandry z Hiszpany wraz
Stają do szyku: och! czas im czas!
Pędzą Arabcy... kurzawy pył
Czarnym całunem tarcz słońca skrył,
Noc niby skrzydły otacza świat;
Już okiem brata nie pozna brat,
Lecz wroga wraży odgadnie zmysł!
Szczękneły miecze, krwi potok trysł.

„Ałłach!” — tysiące wykrzyknie ust,
Krew się potoczy tysiącem bruzd,
Ziemio! od grozy w posadach drżysz,
Kiedy się spotka z księżycem krzyż!
Ochłoń-że z trwogi... och! nie drzyj tak!
Patrz... oto górą zbawienia znak!
Osmin się tarza w kałuży krwi,
Miecz Duglasowy w żebrach mu tkwi,
Na pierś mu nogą nastąpił Szkot;
Jękły Arabcy, dalejże w zwrot!

Pomyka hufiec postrachem gnan,
Trupem powalon Emir ich pan;
Czarna im przepaść rozwarła dno:
W pola Grenady jak piorun mkną!

Kruczeż to stada lecą w ich ślad?
O! stokroć sroższa od kruczych stad.
Pogoń krzyżowców... ich mieczów szczęk!
Spojrzą... poznali piór czarnych pęk.
Już dzielny Duglas spadł im na grzbiet,
— „Ratuj proroku!“ zwrócić się wnet,
„Przekleństwo tobie niewierny psie!
Dość krwi Emira tyś napił się!
Żyw nie wybiegniesz ty z naszych rąk!“
Duglas oczyma zatoczy w krąg,
Pada, och! pada za druhem druch,
Z garstki rycerzy zostało dwóch.
Wściekle Arabi przyskoczą doń,
Już pod nim rączy ubity koń;
Już mu w prawicy pękł ostry miecz,
Lecz Duglas kroku nie cofnie wstecz!
Lewicę w górę wzniosł dzielny mąż,
Sztandar Brucego piastuje wciąż;
Ten znak bez skazy, walk przetrwał sto,
Z żelaznej pięści wydrzeż go kto?

Padły dwa trupy... Duglas już sam,
Zdarł z piersi puszkę...

— „Znam ja cię, znam
Robercie Brucy! idź królu mój!
Zawsześ ty pierwszy na krwawy bój,

Za tobą Douglas podąży w ślad,
Jakto za dawnych bywało lat!...“
Z zamachem skarb swój wyrzuca w dal,
Stu szablic w oczy błyska mu stal;
Drze się przez mieczów zjeżony płot,
Z czoła strumieniem ścieka mu pot,
Krew mu strumieniem pocieka z żył,
Rozpiera tłumy orszakiem sił,
Oh! jeszcze jeden, oh! jeden krok...
Dopadł... Arabi odskoczą w bok...
Legł... z martwą piersią, z oczyma w słup,
Na sercu króla — Duglasa trup,
Oblan potokiem gorącej krwi:
Sztandar Brucego w pięści mu tkwi!

ŻYCIE DOMOWE W AMERYCE.

PRZEZ

FRYDERYKĘ BREMER.

(*Dokończenie*).

List XXXI.

Hawana (Kuba) 5-go Lutego 1850 roku.

Dostałam się nareszcie w kraj podzwrotnikowy, palma zieloma ocienia moją głowę.

O! jakże tu cudownie, wszystko zachwyca umysł i wlewa nowe życie!

Wypłynęłam z Nowego-Orleanu 28-go stycznia rano. Słońce świeciło pełnym blaskiem, był to poranek prawie letni. Przyjaciele odprowadzili mnie do portu. Harysson, przyniósł mi różową kamelję w pączkach. Pożegnałam go na moście, równie jak miłą Annę W. Nowy-Orlean kąpał się w rannej zorzy, woda w porcie czysta

była jak zwierciadło. Poikam oczy cudnym widokiem, gdy dwie panie zbliżyły się do mnie i zapytały: „Jakże się podoba Ameryka?“ Tem zapytaniem zmąciły mi całą uciechę.

Odpłynęliśmy wreszcie. Wzięłam książkę w rękę i usiadłam na pokładzie. Przed memi oczyma przesuwiał się czarodziejski widok. Płynęliśmy odnogą Mississipi ku meksykańskiej zatoce. Plantacye następowały po sobie, w około białych domów kwitły pomarańcze i oleandry, wznosiły się olbrzymie cedry i aloesy. Wszystko nareszcie znikało po mału, brzeg coraz niżej zapadał. Fale morskie otoczyły nas w koło. Stały ląd Ameryki pozostał w tyle za nami, przed nami była zatoka Meksykańska, ocean Południowy i rozsiane po nim wyspy.

Uderzył mnie kolor wody ciemny, prawie czarny; jak mówią, powodem tego jest nadzwyczajna głębia. Od-dychałam z rozkoszą, morze ma dla mnie czarodziejską od-radzającą siłę.

Kto chce rozpocząć w duchu nowe życie, niech żegluję po morzu, niech skąpie myśl w czerstwym technieniu Oceanu, a ozdrowieje i odżyje na nowo.

Pomiędzy podróżnemi, był właściciel plantacyi z młodą i ładną córką, matka jej umarła niedawno na suchoty i młoda panienka wyraźnie zagrożona tą chorobą. Nie wyrównać nie może troskliwości nieszczęśliwego ojca. Oddałby wszystko złoto, byleby okupić życie jedynaczki.

Płyną na Kubę, zkąd mają się udać do Europy. Śliczna panienka, krewna słabej, towarzyszy im w podróży.

Nazajutrz po południu niebo okryło się chmurami, wiatr powstał; ledwie uwierzyłam własnym oczom, gdy mi ukazano we mgle oddalenia wysokie góry, o skalistych wierzchołkach, podobne do wieżyc i basztów. Powiedzia-

no mi, że to Kuba. Nie widziałam jeszcze tak olbrzymich gór na zachodzie. Mieliśmy przybić do lądu następnego dnia rano.

Noc była burzliwa, bałwany spienione zasłaniały okna kajuty. Żegluga jednak poszła pomyślnie, nazajutrz rano stanęliśmy w porcie Hawany.

Fale rozbijały się z łoskotem o skałę zachodzącą daleko w morze, na której zbudowana twierdza Moro, o wysokich basztach i wieżach. Port bardzo piękny, pół-okrągły, cicho w nim było jakby na jeziorze. Słońce spadało pełnym promieniem na tysiące nowych dla mnie przedmiotów.

Hawana ogromne miasto, domy różnobarwne, błękitne, żółte, zielone, pomarańczowe, dają mu postać wielkiego składu szkła i porcelany. Nie widziałam tu ogromnych kłębow dymu, po których zdaleka poznawałam amerykańskie miasta. Palmy zieleniły się uroczo pomiędzy domami.

Na lewo sterczał wzgórek, okryty dziwnymi roślinami, podobny do sturamiennego świecznika. W około portu ciągnęły się domy letnie, przystrojone w palmy i kokosowe drzewa.

Hiszpańscy wioślarze podpłynęli łodziami, aby zabrać podróżnych, nie prędko jednak dostaliśmy się do lądu, trzeba było przejść wprzód rozmaite wymagane formalności.

Od sześciu dni mieszkam w pięknym i obszernym hotelu, ale dla wielkiego gwaru i nadzwyczajnej drożyzny, umyśliłam się przenieść w inne miejsce. Dzięki znajomym moim amerykańcom, Niemcom i Anglikom, zabawię czas jakiś za miastem, przy biskupim ogrodzie, gdzie będę mogła

zapoznać się swobodnie z kwiatami i drzewami wyspy Kuby.

Oto zwyczajny porządek mego życia: o godzinie ósmej rano, pani Mary, najlepsza w świecie kobieta, przynosi mi filiżankę kawy i wyborną bułeczkę. Potem idę na plac broni, gdzie po trzech stronach wznoszą się trzy wspaniałe pałace, wielkich dostojników wyspy: gubernatora, intendenta i wielkiego admirała. Z czwartej strony plac obsadzony drzewami i obwiedziony kratą, przez którą widać popiersie marmurowe na podstawie, a dalej kaplicę. Tam to Krzysztof Kolumb kazał odprawić pierwszą mszę świętą na wyspie. Wzniesiono jego popiersie obok kaplicy na pamiątkę owej mszy świętej. W samym środku placu jest wielki pomnik biały marmurowy Karola V-go, otoczony palmami i mnóstwem innych drzew i krzewów. Na gałązkach krzewów pełzają ładne zielone jaszczurki. Są na placu marmurowe ławki, gdzie każdemu wolno zasiaść pod cieniem pięknych palm. Lubię patrzeć jak wiatr kołysze ich gałęzmi z wielką powagą i wdziękiem.

Idę potem do portu, a odetchnąwszy chwilę morskiem powietrzem, wracam na drugie śniadanie do hotelu, gdzie w marmurowej sali znajduję stół obficie zastawiony. Potem zamykam się w moim pokoju, piszę listy, rysuję i maluję do obiadu. Po obiedzie, znajomi z którymi poznałam się na statku, zajeżdżają po mnie wolantem i wiozą mnie za miasto. Wieczorem po herbacie wchodzę na dach zwany tarasem, otoczony kamienną balustradą, tam przechadzam się późno w noc, patrząc w gwiaździste niebo rozpostarte w górze i miasto ciągnące się u stóp moich. Latarnia morska, zapalona na wierzchołku skały Moro, jak stała gwiazda przyświeca miastu i falom oceanu. Powietrze rozkoszne, cisza panuje uroczysta, przerywa ją

niekiedy dziwne świegotanie; mówiono mi, że to głosy małych jaszczurek, których tu jest moc niesłychana.

Miasto szczególną ma postać. Domy niskie, najczęściej dwupiętrowe, pomalowane są różnobarwnie, niekiedy nawet ozdobione freskami. Ulice nadzwyczaj wąskie i nie brukowane. Nie widać nigdzie kominów, ani dymu. Dachy wszędzie płaskie z żelazną kratą lub kamienną balustradą do koła. Chodniki tak wąskie, że dwie osoby nie przejdą obok siebie.

Po ulicach pełno krąży długich wolantów, o dwóch wysokich kołach. Murzyn ubrany w mnóstwo świecideł i w palone buty, powozi zwykle z konia. Na dalsze przejażdżki zaprzęgają po dwa lub trzy konie; w mieście poprzestają na jednym. Niekiedy widać w wolancie kobiety w gazowych sukniach i w kwiatkach na głowie. Kapelusze noszą tylko cudzoziemki. Kreolki nie lękają się słońca ani wiatru. Cerę mają bladą, trochę oliwkową, ale świeżą i czerstwą, oczy i włosy czarne. Księża noszą ogromne kapelusze i szerokie płaszcze. Po ulicach snuje się najczęściej murzynów i mulatów. Wszyscy palą cygara i cygareta. Ale gdzie się podziewa ta wielka ilość dymu? Morskie powietrze pochłania go zapewne.

O północy schodzę z tarasu i wracam do siebie. Zaspam zwykle przy otwartem oknie, orzeźwiona nocnem powietrzem.

Powiem ci teraz słówko o osobach, które najczęściej okazują mi współczucia i dobroci. Naprzód idzie rodzina Tolmé, która ma handlowy dom w Hawanie. Pan Tolmé, starzec krzepki, miły i wesoły, anglik rodem, był niegdyś agentem Rotszylda, dziś zastępuje go zięć niemiec, nazwiskiem Schaffenberg. Pani Tolmé pochodzi z duńskiej ro-

dziny, miła to i zająca kobieta. Dom ich nadzwyczaj przyjemny, pełno w nim zawsze anglików, francuzów i Niemców. Rodzina składa się z czterech synów i pięciu miłych córek.

Onegdaj, pani Tolmę zawiozła mnie swoim wolańtem do córki, pani Schaffenberg, która mieszka w swojej willi za miastem. Był to dzień zwykłego przyjęcia, zastaliśmy więc towarzystwo dość liczne. Przedstawiano żywe obrazy, tańczono i grano na przemiany. Kontredanse odmiennie zupełnie od francuzkich, odbijają w sobie charakter kreolek. Zabawa szła nadzwyczaj swobodnie, bez przymusu i ochoczo.

Byłam parę razy na mszy świętej w katedrze, nabożeństwo odbywa się bardzo uroczystie. Muzyka wyborna dodawała jeszcze uroku religijnym obrzędom. Katedra piękna, jasna, lubo niezbyt obszerna. Widziałam kilka cudnie pięknych obrazów. Jeden z nich wyobraża duszę w czyscu, po nad płomieniami unosi się postać Boga-rodzicy, z dzieciątkiem Jezus na ręku, oboje poglądają wzrokiem miłosierdzia na grzeszników. Niektóre dusze spozstrzegają postać cudowną, a przejęte zachwytem i miłością, wznoszą się mimowoli w górę nad płomienie, śpiewając pieśń uwielbienia.

Inny obraz przedstawia N. Maryę Pannę, stojącą na kuli ziemskiej. Oko jej sięga w niebiosy, pełne żywej wiary i miłości, a tymczasem stopą mimo wiedzy depta węży, który pełza po ziemi. Te dwa obrazy noszą piętno głębokiego religijnego namaszczenia.

Kości Krysztofa Kolumba spoczywają w katedrze. Tablica biała marmurowa wprawiona w ścianę obok chóru, wskazuje miejsce grobowca. Na tablicy jest wyryta w płaskorzeźbie głowa Kolumba, a poniżej napis oznajmia, że

prochy jego tu spoczywają na wieki, ale sława jego żyć będzie na wiek wieków po świecie.

Handel niewolnikami odbywa się tu potajemnie, administracya wie o tem, ale patrzy przez szpary na srogie nadużycie. Szkoda, że wąż wkradł się i do tego pięknego raj!

Serro 10-go Lutego.

Jestem od trzech dni w ładnej wiosce pod Hawanę. Rodzina angielsko-amerykańska zwana Schnejdler, zaprosiła mnie na kilka dni, abym się obznajmiła z tutejszem wiejskiem życiem i poznała piękne rośliny biskupiego ogrodu. Pod mojami oknami są dwa banany okryte owocami i gładkim jasno-zielonym liściem; nieco dalej szumi przezroczysty strumień. Za naszym ogródkiem widzę ogromne drzewa kokosowe, topole i bambusy. U stóp ich bije prześliczny wodotrysk. Wieś składa się z ogrodów i ładnych białych domków, pola całe okryte palmami i kokosami.

Przez parę dni deszcz padał ulewny, a od wczoraj słońce świeci jasno. Przechadzałam się też dziś z rana po biskupim ogrodzie pod cieniem palm, bambusów i innych drzew podzwrotnikowych. Widziałam pomiędzy kwiatami cudnej piękności motyle. O! jeżeli Stwórca tu na ziemi ukazuje nam takie cuda, cóż dopiero chowa dla dzieci swoich, uwolnionych z ziemskiego prochu i zmartwychwstałych po za grobem?

Chodniki palmowe, gaje z bambusu i wonnego jaśminu, budziły we mnie dziwne myśli i przecucia. Chodząc samotnie wśród tych uroczych kwiatników, gdy roje przepysznych motyli ulatało mi nad głową, chwaliłam

Pana w imieniu wszystkich tworów ziemi. O! szczęśliwą byłam tego poranku.

Zabawię kilka dni na wsi, a potem wrócę do Hawany, gdzie miła rodzina Tolmé zaprosiła mnie do siebie. Muszę się koniecznie poznać ze sławnym naturalistą Poë, a przy jego pomocy rozpoznać gatunki drzew i roślin tu-tejszych.

Byłam wczoraj na obiedzie u państwa Schaffenberg w ich willi. Jesteśmy pod wystawą od strony ogrodu. Ogród tak jak inne w tym kraju, bardzo ozdobny, ale sztywny i wymuszony. Pełno w nim drzew palmowych różnego rodzaju, grzędy kwiatów ciągną się wzdłuż ulic, wysypanych piaskiem lub brukowanych; złote rybki pływają w wodzie.

Serro 12-go Lutego.

Wczoraj była niedziela, a lubo w wiosce Serro nie ma kościoła, znać jednak było dzień świąteczny. Około południa usłyszałam odgłos afrykańskiego bębna, niejednostajne uderzenia przypominały mi bicie cepów o klepisko. Bęben oznajmiał, że wolni murzyni tańcować mają w miejscu zwykłego zebrania, blisko Serro. Mój gospodarz zaprowadził mnie tam z wielką uprzejmością. Trzech murzynów bębniło co siły w bębny z wydrażonych pni, pociągnięte skórą po wierzchu. Była miara, była sztuka w bębnieniu. Trzymali wielkie bębny kolanami, w rękę zaś mieli grzechotki, napełnione mnóstwem kamyczków i ozdobione pękami piór kogucich. Hałas panował okropny, kilka par tańczących przybyło, murzyn podał rękę kobiecie i rozpoczęli płasy. Ona kręciła się ze spuszczo-nemi oczyma, on przystępował ku niej, wyprawiając naj-

dziwniejsze łamanie, a nawet przewracając koziołki. Murzyni przez ten czas obecni, wybijali takt i różnemi okrzykami zachęcali tańczących. Sala zaczęła się coraz bardziej napełniać, odeszliśmy, ja jednak postanowiłam przyglądać się jeszcze nie raz pełnym życia afrykańskim płąsom. Na Kubie wielu jest wolnych murzynów.

Wracając do wsi, spotkaliśmy kilku młodych ludzi; dwóch z nich grało na gitarze. Obchodzili według zwyczaju, dzień urodzin czyli święto patrona.

Poznałam już wiele drzew wcale mi dotąd nieznanych. Pomiędzy innemi *Cejba* należy do najpiękniejszych drzew na wyspie, pień wysoki lecz giętki, kołysze się na wietrze. W samej górze rozchodzą się od pnia trzy lub cztery rozłożyste gałęzie, pokryte koroną ciemno-zielonych liści. Drzewo to piękne zawziętych ma nieprzyjaciół; pasowały zapuszczają korzenie w wyrosty, rozsiane po pniu jakby kolce, obwijają drzewo do koła i wysysają żywotne jego soki. Uważałam także dwa piękne ciemno-zielone drzewa, *Mammai Colorado* i *Mammai Sen Domingo*. Okryte są owocem wielkości jabłka; owoc z wierzchu szary, w środku żółto-różowy, słodki, ale bez smaku. *Sapota* liść ma ciemno-zielony; owoc ciemny, podobny do pomarańczy, bardzo soczysty i dobry. *Mango*, drzewo ciężkie i okazałe jak kasztan, ma na gałęziach owoc zielony, podobny do wielkich migdałów. Gdy dojrzeje, nabiera złotej barwy, lubią go tu powszechnie. Tamaryndy rzucają cień przezroczysty; przez lekkie gałęzie i liście przebija błękit nieba.

Drzewa tykwowe czyli Kallebasy, podobne są do jabłoni. Na gałęziach wpośród gęstych liści, wyrastają ogromne owoce bez szypułek, niektóre z nich dochodzą wielkości ludzkiej głowy. Skórę mają nadzwyczaj twar-

dą, to też ubodzy murzyni wyrabiają z nich miski, czary, łyżki, garnki i rozliczne gospodarskie przedmioty.

Tutejsze panie mało się trudzą zarządkiem domowym. Kucharka, zazwyczaj murzynka, myśli sama o wszystkim. Często pani domu nie wie nawet co będzie jadła na obiad.

Chaty wieśniacze budują tu powszechnie z palmowego drzewa, dachy wysokie i spiczaste, pokrywają suchymi liśćmi palmy. Zwykle zrąb niski bywa, inaczej nie oparłby się tutejszym uraganom. Pokazywano mi to miejsce, gdzie niedawno stała chata i liczną obejmowała rodzinę. Za zbliżeniem się uraganu ojciec wyszedł na środek izby i modlił się gorąco, dzieci i czeladka otoczyli go w około. Uragan wyrwał otwór w dachu i w mgnieniu oka chata runęła i przywaliła całą rodzinę. Ojciec sam jeden ocalał.

Jutro wracam do Hawany, z żalem opuszczam miłą rodzinę, która mnie tak gościnnie i serdecznie przyjęła.

Hawana 15-go Lutego.

Dobra rzecz ciepło, ale gdy przebierze miarę, wątl ciało i ducha. Tumany piasku podnosi wiatr z niebrukowanych ulic i napełnia niemi domy. Wieczorem tylko można tu odetchnąć swobodniej.

Mieszkam teraz u rodziny Tolmé. Miła gospodyni, urządziła mi śliczny pokój i czuwa nademną po macierzyńsku. Wyborna to matka i pani, lubi murzynów, opiekuje się niemi, wysławia ich wierność i szlachetne uczucia. Całe poranki pani Tolmé trawi patryarchalnie w towarzystwie czarnych niewolnic, rozmawia z niemi, uczy dzieci w długiej krytej galerii; tam wydaje rozkazy kucharce i przyjmuje nawet poufale odwiedziny. Wieczorem cała ro-

dzina zbiera się około niej w salonie. Dwie starsze córki przybywają z mężami. Przychodzi także starszy syn z młodą i piękną żoną. Młodziuchna Ludwika Tolmé rozmawia z narzeczonym Szkotem. Muszę wspomnieć także poważnego Guillo, trzynastoletniego chłopczyka, który mnie uczy po hiszpańsku i małą Emely, najmłodszą z rodziny. Grają, tańczą, śpiewają. słowem bawią się najwesелей w świecie.

Domy szczególnie tu urządzone. Mieszkańcy starają się głównie o to, aby jaknajwięcej miały powietrza i przeciagn. Długie galerye wsparte na arkadach, okrążają w koło dziedziniec. Tam odbywa się ruch cały domowy. W jednej rodzina jada obiad, w drugiej matka szyje otoczona murzynkami, w innej uczy i wychowuje dzieci. Za tą galeryą, otwartą od dziedzińca i wyłożoną marmurem, ciągną się sypialne pokoje. Okna od ulicy zwykle bez szyb, opatrzone są w żelazne kraty, niekiedy bardzo ozdobne, co w ogólności przypomina więzienia.

Miasto całe. nieregularnie zabudowane, romantyczną ma postać. Obok nowych domów widać walące się gruzy. Dodajmy jeszcze różnobarwną ludność i szczególnego rodzaju wolanty, krążące nieustannie na ulicach, a musimy przyznać, że Hawana zupełnie inaczej wygląda niż wszystkie inne miasta, zwłaszcza amerykańskie i angielskie.

Chodziłam kilka razy po placu broni, podczas gdy muzyka przygrywała wieczorem. Kobiety z twarzą na pół osłoniętą w czarne lekkie mantyle, przechadzały się w koło pod cieniem palm rozłożystych. Księżyc rozsiewał blask tajemniczy na całe zgromadzenie.

Jeździłam także do miasteczka zwanego Guanavoca, najdawniejszego na wyspie. Są tam jeszcze wspomnienia pierwszych krajowców, „miłych i spokojnych indyan,”

którzy zamieszkiwali wyspę Kubę w chwili najścia Hiszpanów. Łagodny klimat Kuby działa szczególnie na wszystkie oddychające nim istoty. Nadaje on kreolkom wielką słodycz i dobroć. Nie ma wcale ani zwierząt, ani roślin jadowitych na wyspie, pszczoły nawet tutejsze nie mają w żądłach szkodliwego jadu.

Pomiędzy pamiątkami które pozostały po indyanach w Guanavocaa, są naczynia z dziurkowatej gliny. Dotąd je tu jeszcze wyrabiają; naczynia te przechowują długo świeżą wodę, której brak dotkliwie czuć się daje na wyspie. Miasteczko Guanavocaa wygląda zupełnie jak Hawana w miniaturze. Domy tychże samych kształtów, tak samo malowane, tylko wszystko nierównie mniejsze rozmiarem. Droga idzie przez pola zasiane w wiejskie zagrody i palmowe drzewa. W głębi widać łańcuch gór ciągnący się ze wschodu na zachód. Dwa najwyższe wierzchołki, Potullo i Kombro, mają przeszło po ośm tysięcy stóp wysokości.

W tych warowniach Kuby, stworzonych ręką przyrody, kryją się zbiegli murzyni po skałach i wąwozach. Było ich tam do kilku tysięcy, co nawet zwróciło uwagę rządu, ale dla braku żywności rozproszyli się po wyspie.

Palmy przypominają mi nieustannie symboliczną postać człowieka. Wracając do miasta, widziałam dwa drzewa palmowe, rosnące blisko siebie na szerokim polu. Korony ich spletały się nawzajem i tworzyły wspaniałą arkadę gotycką. Tak, to dwaj szlachetni współzawodnicy stoją w obec siebie. Zrazu, każdy osobno, aż gdy myślą wzrosną ku niebu, wtedy wyciągają ramiona i pobożnym jednoczą się uściskiem.

Droga szła miejscami wśród żywopłotów z koleczystego aloesu, gdzieś tam połykiwały olbrzymie kwiaty

kiściaste, białe i czerwone, podobne do hiacyntów. Owoc aloesowy przypomina smak i woń ananasu. Były także i żywopłoty z pomarańcz.

Słońce wyprowadza tu istne cuda. Pomiedzy innemi wnikając w głębię wód morskich, nadaje rozmaite barwy rybom. Byłam wczoraj na targu rybnym w Hawanie i prawdziwej doznałam uciechy. Ryby jaśniały wszystkimi barwami tęczy, były między niemi żółte, błękitne, czerwone, ogniste, a niektóre nawet w żółte i fioletowe pręgi. Prześliczny to był widok. W głębi morza mnóstwo widać najpiękniejszych porostów i koralu.

Pani Tolmę namówiła mnie raz na operę, ale wyznam szczerze, iż wolę stokroć przechadzkę po placu brojni, przy łagodniejszym blasku księżyca. Przyroda na tej uroczej wyspie pierwsze miejsce trzyma u mnie, widowiska i sztukę stawiam na drugiem. Będę jednak jutro na wieczorze u konsula angielskiego, gdzie dowoli przypatrzyć się pięknym hiszpankom. Potem opuszczę Hawanę na czas jakiś. Otrzymałam dwa zaproszenia, które mnie prawdziwie ucieszyły, jedno do rodziny amerykańskiej, mającej dom handlowy w mieście Matanzas, drugie do właścicielki plantacyj, pani Konink, która mieszka o kilka mil od tegoż miasta. Poznam się więc z życiem wiejskiem, z palmami, z kawą, z trzciną cukrową i mnóstwem innych podzwrotnikowych roślin. Radabym już jednej chwili opuścić Hawanę, zwłaszcza, że od kilku dni cierpię ból głowy nieznośny z powodu ciągłych upałów. Jutro jadę koleją żelazną do Matanzas, podróż cały dzień potrwa.

U was śnieg teraz, lód i zima; ty drżysz od mrozu, gdy ja topnieję na upale. Każda ostateczność nie wiele warta i źle oddziałująca na zdrowie, ale dusza i serce krzepkie, niemi więc pozdrawiam cię moja droga Agato!

XXXII.

Matanzas 23-go lutego.

Jakże tu pięknie, jak dobrze! pod tem pięknem niebem, wpośród tej miłej i zacnej rodziny u której bawię obecnie. Od tygodnia jestem już w domu państwa Baley, a zdaje mi się, żem dopiero przybyła!

Chętnie opuściłam Hawanę rozpaloną i pełną kurzu. Kochana pani Tolmé obudziła mnie o piątej rano, posłała po kawę do kawiarni, nie chcąc tak wcześnie budzić pocziwych murzynów. Pożegnawszy ją serdecznie, również jak jej męża, wskoczyłam do wolantu, a najmłodszy syn ich, mój faworyt Frank, powiózł mnie do kolei. Wsiadłam ochoczo do pięknego wagonu, a lubo czterdziestu przynajmniej towarzyszków moich paliło cygara, dym bynajmniej mi nie dokuczał. Powietrze tutejsze pochłania go zupełnie.

Deszcz padał w nocy, szczątki chmur ozłoconych raną zorzą, czepiały się gór i fantastyczne nadawały im kształty. Ziemia tonęła w oceanie blado-różowego światła. Nagle słońce wybiegło z po za góry i ukazało się w całym majestacie. Palmy ocieniające dachy wiejskich zagród, jawory, pomarańcze, kokosy i żywopłoty błysnęły na słońcu, zwilżone rosą poranną. Wzdłuż kolei żelaznej ciągnęły się szeregiem domy letnie i ogrody. Powitałam z radością zagony zasadzone kartoflami i kapustą, jakby stare znajome. Kraj cały miał postać wielkiego ogrodu, wiatr kołysał wierzchołki palm zielonych, a w oddaleniu

pasmo gór jakby ciemno-błękitna wstęga zakończyło widnokrąg.

Pomału znikły wille i pola zasadzone trzcinaą cukrową. Wjechaliśmy w las bananowy. Ziemia była dziksza i mniej uprawna; ale roślinność prawdziwie zadziwiająca. Po drzewach pięły się pasożyty i dusiły je niemal swym ciężarem. Smutny to był widok i przeciwny naturze.

Około południa skwar był wielki, zamknęłam oczy znużone, gdym je otworzyłam, ujrzałam pyszny widok. Miasto Matanzas przeglądało się w swej błękitnej zatoce, łańcuch gór stanowił ramy obrazu.

Na stacyi czekało na mnie dwóch panów. Jeden z nich, mój współrodak, pan Frank z Gottemburga, osiadł w Matanzas, jako pierwszy komisant domu handlowego, drugi pan Baley, który przybył po mnie wolantem i zawiozł natychmiast pod swój dach gościnny, gdzie mnie oczekiwała młoda jego żona.

Wybornie mi w tym domu. Pani Baley, anglo-amerykanka rodem, utrzymuje w nim ład wzorowy. Niekiedy odbywam samotne przechadzki po okolicy, lubo tu nie ma zwyczaju, aby kobiety, zwłaszcza w kapeluszach, wychodziły piechotą. Nie zważałam jednak na to, a choć dzieci murzyńskie latały za mną w tropy, patrząc jakby na dziwowisko, nie przerwałam jednak ciekawych moich wycieczek.

Najpiękniejszą z nich odbyłam na dolinę Yumori, w śliczny wiosenny poranek. Dolina ta leży o dwieście kroków za miastem. Pomiedzy dwoma skałami jest otwór, przez który przedziera się wązka przezroczysta rzeczka; potem wybiega na zieloną dolinę i cicho uchodzi do morza. Na jednej stronie owej skalistej bramy widać zatokę Ma-

tanzas, a w niej okręty wszystkich narodów świata stoją na kotwicach, zdobne w białe żagle i różnobarwne flagi.

Po drugiej stronie kamiennej arkady otwiera się najpiękniejsza dolina, pełna drzew palmowych i podzwrotnikowych krzewów, opasana łańcuchem gór, które uroczoko oceniają drogę. Na lewo, rzeczka znika nam z przed oczu, osłonięta bujnemi krzewy; na prawo sterczą skaliste wierzchołki gór Matanzas, nad któremi panuje szczyt Kom-bry. Orły tylko zwiedzają te wyżyny i ścielą na nich gniazda, w cieniu palm i długich zwojów bluszczu. U podnóża gór roślinność coraz bujniejsza, drzewa coraz wspa-nialsze, krzewy coraz piękniejszymi okryte kwiatami. He-liotropy i inne zioła czarodziejskie rozsiewają wonie. Koli-bry o zielonych aksamitnych skrzydełkach, zanurzają dłu-gie dziobki w piękne kielichy kwiatów. Życie roślinne i zwierzęce spleta się tu nawzajem.

Postępując wzdłuż rzeczki, coraz to nowe odkrywa-my widoki. Na urwiskach skał widzimy poprzyczepiane domki, ocienione palmami, kokosami i tysiącem innych drzew, których nie znam jeszcze nazwiska. Palmy jednak panują nad innemi. Nic piękniejszego, nic miłszego nad dolinę Yumori.

Zawiązałam niektóre znajomości w Matanzas i za ich pośrednictwem zwiedziłam ogromną plantację kawy i trzci-ny cukrowej w okolicy. Pomiedzy mnóstwem drzew zaję-ły mnie szczególnie palmy *sagowe*, *daktylowe* i *hybicus* uwieńczony w precudne kwiaty. Kolibry ścielą gniazda w cieniu drzew po nad wodą, rój tych drobnouchnych pta-sząt przebiega w powietrzu swobodnie, nie lękając się wcale człowieka.

Ostatnie uragany wielce uszkodziły tę ogromną plan-tację. Cholera dziesiątkowała ludność murzynów. „Bóg

karze nas za grzechy," rzekł do mnie właściciel, człowiek stary ale pełen życia i znajomości świata. Wolę być u niego gościem, niżeli niewolnikiem. Oglądałam izdebki murzynów, ciemne i niskie jak nasze chlewy. Jest także i szpital, ale w smutnym stanie. Na kilku łózkach zbitych z desek, nie widziałam ani poduszki, ani pokrycia.

Miasto Matanzas zbudowane w tym stylu jak Hawana; ulice szersze, weselsze, ale także nie brukowane. Dom pana Baley dwupiętrowy, ma na wierzchu taras, po którym przechadzam się chętnie wieczorem, podczas gdy pani domu wygrywa kontredanse w salonie. Nuta ich przypomina jakąś pieśń afrykańską, a niekiedy marsz hiszpański. Oboje państwo Baley bardzo muzykalni, słucham ich z wielką przyjemnością.

Matanzas 1-go Marca.

Największym dla mnie cudem na tej wyspie jest niewątpliwie jej powietrze. Czuję w niem jakąś odradzającą siłę. Budzi we mnie wyższe myśli i przeczucia; oddychając tem tchnieniem balsamicznem, czuję potęgę Stwórcy, odgaduję skarby, jakich oko nie widziało, o jakich ucho nie słyszało, których człowiek pojąć nie zdoła, a które Bóg zachowuje miłującym go szczerze.

Pędzę tu życie prawdziwie rozkoszne, rano odbywam zwykłe przechadzki, po obiedzie jeżdżę z panią Baley nad brzeg zatoki, gdzie oddychamy pełną piersią wilgotnem morskiem powietrzem. Niedawno strawiłam cały dzień na dolinie Yumōri, gdzie rysowałam drzewa i wieśniacze domki. Pani Baley wysłała mnie wolantem, dając murzynkę Cecylję do posługi. Biedna Cecylja ma prześliczne

czarne oczy i zęby podobne do dwóch sznurków wschodnich pereł, ale słaba na piersi. Służyła mi wybornie za tłumacza. Weszliśmy obie do chaty ocienionej kwitnącym oleandrem. Wieśniaczka pozwoliła mi uprzejmie rozłożyć moje artystyczne przybory; rozgospodarowałam się też na dobre. W chacie porządknie było i jasno, podłoga ubita z ziemi, czysto zamieciona, nad łóżkiem wisiał obrazek Boga-Rodzicy z dziesięciem Jezus na ręku. Lud tutejszy ma powierzchowność ujmującą i łagodną, dzięki zapewne klimatowi.

Około dziesiątej rano moja gospodyni zagwizdała w muszlę na znak, że śniadanie gotowe. Stół zastawiony był przed chatą pod cieniem palmy. Klatka z papugą wisiała na sznurku, gołębie błękitno-fioletowe latały nad dachem, w około nas przechadzały się poważnie kury i koguty; kilku ludzi starych i młodych nadeszło z doliny, gdzie byli na robocie. Śniadanie składało się z solonego mientusa, chleba, kukurydzy, smażonych bananów i słoni. Na obiad było gotowane mięso, groch szablasty i ryż, ale wszystko źle przyrządzone i twarde.

Cecylja opowiadała mi, że ją uwieziono z Afryki w ósmym roku życia; pamiętała dobrze starą matkę i pragnęła koniecznie odwiedzić ją kiedy. Chwaliła swoich panów, kocha bardzo męża, za którego poszła niedawno, szczęśliwa zupełnie, tylko tęskni do matki. Biedna Cecylja, zobaczy ją niedługo, ale w niebie!

Owa tak urocza dolina, krwawe zachowała wspomnienia. Imię jej pochodzi od okrzyku wojennego krajowców *Jo mori* (umieram), przy którym, uciekając przed pogonią hiszpańską, rzucili się z góry w nurty rzeki, przecinającej dolinę. Żadny domek pod palmami na samym szczycie góry, świadkiem był także krwawego zajścia.

Ojciec mieszkał w nim wraz z kilkoma synami, którzy po nim mieli się dzielić spuścizną. Niezgodni bracia podzieliwszy grunta, worywali się sobie nawzajem, aż dnia jednego przyszło do ogromnej bójki. Wielu obcych wzięszało się do sporu. Ziemia zalała się krwią, jedenastu ludzi padło trupem w tej walce. Wypadek ten niezbyt dawno się wydarzył. Dziś chata należy jeszcze do potomków niezgodnej rodziny. Takie są podania o dolinie *Yumori*, którą Bóg stworzył tak piękną! A Matanzas, gdzie tchnienie żywotne tak błogo wpływa do piersi, Matanzas, znaczy pole krwi, czyli pobojoywisko. To miasto zowie się tak na pamiątkę krwawej walki, w której poległo kilkuset krajowców. Smutno o tem pomyśleć, a jednak czuję tchnienie Boże, wiejące z wiatrem po tem polu, albowiem powiedział: Srogie mordy ustaną na ziemi, a Bóg pozostanie tenże sam; potok żywota płynąć będzie wiecznie z jego łona, a dzieła rąk Jego nie przemina.

Późno w noc powróciłam na wpół upieczona od skwaru do domu pani Baley, wolantem który po mnie przysłała. Dobra wieśniaczka darowała mi na pamiątkę obrazek N. Maryi Panny.

Byłam jednego wieczora na świetnym balu, który dawali wolni murzyni na korzyść dobroczynności. Na środku sali stał wielki stół, oświecony lampami, zdobny mnóstwem pięknych kwiatów. Tańczących było około trzystu osób. Murzynki ubrane były dobrze, według mody francuskiej. Naprzód tańczono menueta, który mnie wcale nie zachwycił, taniec ten szczególnego wymaga wdzięku i powagi w tancerzach, inaczej jest nudny i śmieszny. Lepiej nierównie podobał mi się inny taniec, w którym wszyscy prawie mieli udział. Tańcząc oplatano się wieńcem róż, co bardzo wyglądało malowniczo.

Niektórzy tutejsi murzyni znaczne posiadają majątki. Mulatki stroją się bardzo, idąc na przechadzkę lub do kościoła. Trudno bardzo rozpoznać mulata od hiszpana, tak podobną mają cerę, a nawet rysy twarzy.

Murzyni niewolnicy swobodną tu w ogóle okazują postać. Hiszpanie łagodnie się z nimi obchodzą, a nawet pobłazają wielu ich słabościom.

2-go Marca.

Dzień dobry moja Agato. Powracam w tej chwili z kościoła. Muzyka wojskowa grała hucznie podczas nabożeństwa. Pod obszerną i wspaniałą nawą kobiety klęczały na rozesłanych kobiercach. Niektóre z nich bardzo piękne, wszystkie prawie postrojone były w jedwab, aksamit, kwiaty, złoto i brylanty. W chórze mnóstwo uważałam obrazów świętych, chorągwi i proporców; kapłani święcili palmy i rozdawali je obecnym. Wojsko stało w porządnym szeregu. Ja, lubo protestantka, klęczałam pomiędzy katoliczkami i modliłam się z niemi gorąco. Podano mi także poświęconą palmę; zabiorę ją z sobą, do mego ogniska na północy. Tam będzie mi przypominać długo ów uroczysty poranek, spędzony na modlitwie i pieśni dziękczynienia!

Podobała mi się hiszpańska mantyla, której tu używają kobiety wychodząc z domu. Jest to długi szal z czarnej jedwabnej materyi, z małym wykrojem koło głowy; przypinają go do włosów, chcąc się zabezpieczyć od słońca. Widziałam także kilka kobiet wyższego stanu w szarych płóciennych sukniach nakształt worka i takich szarych okryciach na głowie. Ubierają się tak w skutek ślubu, który zwykły czynić w chorobie lub nieszczęściu.

Za parę godzin wyjeżdżam z Matanzas do krewnych pani Baley, którzy mają ładną plantację o piętnaście mil ztąd, w miejscu zwanem Limonar. Zabawiwszy tam kilka dni, pojedę potem do pani Konink, właścicielki wielkiej plantacyi pomiędzy Matanzas i miastem Kardinas, mam nadzieję, że tam poznam i kraj i mieszkańców. Nie umiem wypowiedzieć, jak wdzięczna jestem za tyle dobroci i uprzejmości.

Ariadne Inhenio 9-go Marca.

Przepędziłam już cały tydzień wśród plantacyj i czarnych niewolników. Obraz który miałam ustawicznie przed oczyma, tak mnie w pierwszych dniach zmordował, że byłam co się zowie do niczego. Z okien mego pokoju patrzyłam codziennie na gromadę uznojonnych murzynów, nad których głową dozorca potrzaskiwał ciągle biczem dla zachęty, wołając bez ustanku: „Prędzej, prędzej!“ Przez całą noc słyszałam jak stąpali pod oknami, pilnując zmielonej trzciny cukrowej, którą suszono na wolnem powietrzu. Praca w plantacyi cukrowej nie ustaje ani dniem, ani nocą, dopóki trwa zbiór trzciny, co na wyspie Kuba ciągnie się około pół roku. Wprawdzie murzyni w tej plantacyi mijali się w taki sposób, że w ciągu doby każdy odpoczywał sześć godzin; wprawdzie wydawali się swobodni i weseli, mnie jednak ich widok zasmucał.

Byłam kilka razy obecna przy obiedzie niewolników. Kucharka murzynka napełniała szcudrze tykwowe miseczki ryżem, ulubioną ich potrawą, murzyni wyszczerzali białe zęby na ten widok, śmieli się i żartowali między sobą. Dawano im także solone ryby, wędzone mięso, banany i pomidory.

W Ameryce północnej mówiono mi o właścicielach plantacyj francuzach, że umieją właściwie postępować z murzynami. Mój obecny gospodarz, pan Chartrain, urodzony w Saint-Domingo, jest żywym tego dowodem. Wymaga wielkiej pracy od swoich niewolników, ale ich żywi i pielęgnuje starannie. To też pracują swobodnie, wesoło i z ochotą.

Życie przyjemnie mi tu upływa. Mój gospodarz grzeczny, rozmowny i dowcipny. Opowiadał mi bardzo ciekawe szczegóły o pokoleniach murzynów afrykańskich, o ich życiu i obyczajach na ich rodowitem wybrzeżu. Przywołą ich zwykle w ten sposób, że naczelnicy pokoleń afrykańskich sprzedają ich białym handlarzom ludzi. Pan Chartrain był sam w Afryce, to też zna dobrze rysy charakterystyczne każdego pokolenia. Murzynów z Kongo, lud wesoły, lekkomyślny, pełen życia, zowią afrykańskimi francuzami. Mają oni nos płaski, usta grube, zęby przesłizne, policzki wystające, wzrost mierny ale krępy, a do tego wielką siłę. Lukomani i Mandyngowie są piękni, kształtni i dziwnie szlachetnej postawy. Lukomani z pomiędzy wszystkich najtrudniejsi do prowadzenia, albowiem za najmniejszym powodem wpadają w gniew zapalczywy. Kapłani i wróżbici murzyńscy, pochodzą zawsze z pokolenia Mandyngów. Mężczyźni tutejsi malują sobie twarz, noszą równie jak i kobiety paciorki na szyi, czerwone lub niebieskie i tak jak kobiety wiążą chustki na głowie.

Muszę ci opowiedzieć dowód wielkiej szlachetności jednego murzyna. Nazywał się Sobota, służył u rodziców pana Chartrain, w Saint Domingo, podczas sławnej rzezi na tej wyspie. Ocalił, narażając własne życie, dwóch synków swego pana (jednym z nich jest właśnie mój gospodarz). Wyniósł ich nocą na rękę za miasto, mimo grożą-

cego niebezpieczeństwa. Łódka wcześniej przygotowana czekała u brzegu, wsiedli w nią i popłynęli do Charlestonu. Sobota oddał chłopców na pensję, sam zaś chodził na najem i własną pracą utrzymywał dzieci; chłopcy wyrosli pod czujnem okiem murzyna. Gospodarz mój został marynarzem i znacznego dorobił się majątku.

Kupił potem plantację na wyspie, ożenił się, wziął do domu starego Sobotę i pielęgnował go jak ojca. Sobota żył długo, kochany i szanowany powszechnie. Umarł starcem zgrzybiałym przed kilkoma laty. Był to człowiek pobożny, prawdziwy chrześcijanin.

Nie jeden podobny czyn miał miejsce podczas rzezi w Saint-Domingo. Wielu murzynów ocaliło życie swoim panom, wielu pobito razem z niemi.

Zwiedzałam w towarzystwie pani Chartrain domowe ogniska wolnych murzynów we wsi Limonar, którą zbudowali sobie i zamieszkali okupieni niewolnicy. We wszystkich panuje porządek, dobry byt i swoboda. Kuba jest rajem i zarazem piekłem murzynów. Niewolnicy pracują nierównie ciężiej po tutejszych plantacjach, niżeli w Ameryce południowej, ale za to łatwiej im przychodzi okupić się, a pewniejsza przyszłość otwiera się przed nimi. Matki często okupują własne dzieci zaraz po urodzeniu za bardzo niską cenę i wychowują je na ludzi niezależnych.

Dziś niedziela. Pan Chartrain pozwoli tańczyć murzynom, abym widziała ich pąsy. Słyszę już zdaleka afrykański bęben, jak zwołuje ochoczo na zabawę. W tej chwili ponieśli do chrztu nowonarodzonego murzynka, natychmiast po obrzędzie rozpoczyna się tańce.

Rodzina pana Chartrain bardzo miła i wesół. Siedmioro dzieci wychowuje się w domu, chłopcy sprzeciwiają się dziewczętom. Rano i wieczór chodzę po okolicy, w to-

warzystwie trzech buldogów domowych. Leżą zwykle przy mnie, podczas gdy rysuję drzewa lub murzyńskie chaty.

Umiem już doskonale robić cukier. Czyż podobna aby tak słodki przedmiot był powodem tylu goryczy? aby uciecha jednych, wywoływała dla drugich tyle boleści! To jednak co tu widzę, nie daje mi jeszcze pojęcia o tem, co się dzieje w innych miejscach.

Wieczorem.

Na murawie za domem jest wielki migdał z Othaiti z rozłożystą koroną. Pod cieniem jego czterdzieści do pięćdziesięciu murzynów i murzynek czysto ubranych wyprawiało ochocze afrykańskie pąsy. Te pąsy, z małemi odmianami, stosownie do różnicy pokoleń, zawsze są mniej więcej podobne. Para występuje na środek, murzyn podrygując kręci się w koło swojej tanecznicy i niekiedy śmiało podskakuje w górę. Widziałam, jak jeden kończąc taniec, prawą ręką objął murzynkę, a drugą wsunął jej w usta pieniądz srebrny. Każdy z tańczących ma prawo łaską lub kapeluszem rozdzielić dwie osoby i zająć miejsce jednej z nich. Kobiety używają tegoż przywileju rzucając chustkę z szyi pomiędzy taneczników. Te przemiany odbywają się z głośnym śmiechem. Kobiety kręcą się na miejscu ze spuszczonei oczyma, ubrane w kolorowe chustki, najczęściej czerwone, postawą i rodzajem wdzięku przypominały mi indyki. Widzowie tworzą koło po za obrębem tańczących, wszyscy biorą udział w zabawie, jedni przyśpiewują, drudzy przyklaskują rękoma. Jeśli kobieta dobrze tańczy, wtedy ją ze wszystkich stron

zarzucają chustkami. Trzej murzyni bili w bębny, wsparci o pień migdałowego drzewa, hałas był niesłychany.

Dzień był gorący, tanecznicy wyglądali jakby dopiero wyszli z łaźni, mimo to płąsali ochoczo. Wtem nagle dał się słyszeć oddalony trzask z bicia. Murzyni poszli smutno do roboty. Niewolnicy na wyspie Kuba, nie mają nawet wolnej niedzieli, dopóki nie skończy się zbiór i suszenie trzciny. Pan Chartrain daje im jednak kilka godzin spoczynku w każde święto.

Zajmującą bardzo zrobiłam wycieczkę do poblizkiej groty zwanej Lorenzo. Obie z panią Chartrain jechałyśmy wolantem, młodzież galopowała na kucykach. John, najstarszy z synów pani Chartrain, kazał oświecić grootę zapalonym chrustem i słomą, co czarujący sprawiało widok. Pod ciemnymi a wysokimi sklepieniami tysiące latało nietoperzy. Wewnątrz jaskini rysowały się najdziwniejsze kształty, jakie tylko myśl ludzka w marzeniu pojmuje. Zdało mi się, że widzę szczątki chaosu, na którym dłoń Boża naszkicowała pierwszy zarys świata. Były tam i trony i katedry i orły z rozwiniętymi skrzydłami, przykute jeszcze do skały i tysiące innych pięknych a strasznych postaci. Najpiękniejszą część jaskini zdobią stalaktytowe kolumny. Drobną kropelki spadając z pod wysokich sklepień, kamienieją w kształcie ostrokęgów. Jedne z nich kamienieją w górze niedobiegłszy na dół, drugie zaś tężejąc na ziemi, wznoszą się pomału ku górze. Czas łączy je razem i tworzy z nich najpiękniejsze kolumny. Jedne z nich widziałam już skończone, drugie tworzyły się jeszcze. Mój Boże, jaka to siła drobnej kropelki, gdy wieki utrwalają jej działanie!

Przebiegałam także okoliczne gaje i ogrody, badałam rodzaje pasożytów. Roślinność tak jest bujna w tych

stronach, że pasożyty rosną na pasożytach, co niekiedy potwornie wygląda. Widziałam mnóstwo odmian Kwiatu męki, *Flos passionis*, niektóre z nich ogromnych są rozmiarów, inne maleńkie, ledwie dojrzane okiem. Śliczne drzewo zwane *Pomerosa*, kwitnie właśnie w tej chwili i wydaje woń prawdziwie uroczą. Opuszczę wkrótce plantację Ariadny, ale powrócę tu jeszcze. Chcę bowiem na pamiątkę dla pani Chartrain wymalować portret najmłodszego jej syna.

St.-Amelia, Inhego, 15-go Marca.

W koło mnie ogromna plantacja cukrowa; wiatr napędza od młyna kłęby czarnego dymu, szczęście, że mam okna opatrzone szybami. Widok z mego pokoju prześliczny, na pasmo pagórków Kamerjoka i na palmowe gaje. Byłoby mi tu zupełnie dobrze, gdyby fabryka cukru odsunąć się mogła trochę dalej.

Gospodyni domu pani Konick, wdowa, amerykanka, kobieta miła i przyzwaita, ma czworo dzieci, trzech synów w Stanach Zjednoczonych i szesnastoletnią córkę przy sobie. Pani Konick mieszka z ojcem, starym wojskowym, przyjemny to i wesoły starzec, ale dla słabych nóg, nie wstaje prawie z krzesła. Parę sąsiadów odwiedza dom codziennie, rozmowa idzie ochoczo, a ja mam sposobność dowiedzieć się nie raz wielu ciekawych rzeczy.

Plantacja ta większa nierównie niż w Limonar: dwustu murzynów przywieziono dopiero z Afryki, dzieci jeszcze i nieokrzesani, nie mogą od razu przywyknąć do ciężkiej pracy, czem niecierpliwą dozorców i ściągają na siebie chłostę. Niewola w pierwszych latach nieznośną jest

murzynom, to też zdarzają się częste wypadki samobójstwa. Niedawno znaleziono, nie pomnę gdzie, jedenastu Likomanów powieszonych na drzewie; mieli przy sobie resztę śniadania. Afrykanie wierzą, iż po śmierci odrodzą się znowu między swemi.

Niedziela, 17-go Marca.

Pomimo święta, młyn turkocze bez ustanku, słyszę klaskanie bicia, jakby w dzień powszedni, są plantacye w których niewolnicy w ciągu całej doby godzinę tylko mają spoczynku. Tu zaś odpoczywają przez pół piątej godziny.

Dzieci murzyńskie ładne, tłuste i wesołe, skaczą na kolanach młodych matek, przystrojone sznurem błękitnych i czerwonych paciorków. Gładka ich skóra świeci się jak atłas czarny lub ciemno-brązowy. Matki w kra-ciastych chustkach na głowie, ze szklannemi perełkami na szyi, ładnie także wyglądają.

Murzyni nie mieszkają tu w osobnych domkach, jak w północnej Ameryce, ale w długich murowanych budynkach okrażających czworokątny okólnik, takie budynki zowią się „Boheu.“ Każda rodzina ma osobną izdebkę, z okienkiem wysokiem, opatrzonem kratą. W środku okólnika jest inny budynek przeznaczony na kuchnię i piekarnię.

Niewolnik wie dobrze, iż prawa hiszpańskie ułatwiają mu sposobność okupu, przemyśla więc ciągle jakim sposobem mógłby pozyskać dostateczną ilość pieniędzy. Loterya bywa dla nich źródłem błogiej nadziei, stawiają też bardzo wiele, a wygraną dzielą się pospołu.

Niedawno kilkudziesięciu Lukomanów wygrało w Hawanie na loteryi wielką sumę, która ma być obroconą na okup niewolników.

Pomiędzy innemi dostają się niekiedy w niewolę i naczelnicy pokoleń, czyli książęta afrykańscy. Ci wielki wpływ wywierają na swoich. W tym czasie, w jednej plantacyi młody książę skazany został na chłostę. Gdy go położono, wszyscy towarzysze błagali, aby dozorca rozdzielił pomiędzy nich przeznaczone mu razy. Takie poświęcenie nie poruszyło jednak twardego serca dozorey.

Przyjemnie mi tu czas upływa. Pani Konick, kobieta uprzejma i światowa, zupełną zostawia mi swobodę. Rano obchodzę „boheu“ murzyński. lub też przechadzam się wśród obszernych plantacyj cukru, otoczonych żywopłotem z podzwrotnikowych roślin. Czasem rysuję drzewa i kwiaty z natury. Podczas południowego upału spoczywam w pokoju, czytam książkę, piszę listy lub maluję. Po obiedzie wyjeżdżam wolantem z panią Konick. Córką jej towarzyszy nam konno. Wieczorem rodzina zgromadza się w salonie. Grywam marsze amerykańskie staremu wojakowi, który przypomina sobie przy nich ubiegłe chwile młodości. Potem wychodzę na taras i poglądam w niebo, jasnymi zasiane gwiazdami, a pierś poję łagodnem powietrzem.

Spodziewam się, że w sierpniu powrócę już do Szwecyi. Upał zaczyna tu być dokuczliwy i osłabia mnie nad wyraz, to też 8-go kwietnia, opuszczę wyspę Kubę, bo dłużej wytrwać mi niepodobna. Udam się ztąd do Charlestonu i Savannah; zwiedzę kilka plantacyj w Georgji, obejrzę Wirginję, której ciekawa jestem, potem ruszę do Filadelfji i Nowego-Jorku. Z przyjemnością od-

poczną w Rose-Cottage u poczciwych Springów. Później zwiedzę jeszcze góry Białe i New-Hampshire. Na początku lipca, zajrzę do miłego ogniska Downingów nad Hudsonem, a ztamtąd przez ocean, puszcę się do miłej Szwecyi.

XXXIII.

Kardinas 19-go Marca.

Miasto Kardinas niebardzo mnie zajęło. Położone nad morzem, port ma niezbyt głęboki, to też małe tylko statki przybijają do brzegu i zabierają cukier, którym miasto wielki prowadzi handel. Uprzejme osoby pokazywały mi w okolicy bardzo ciekawe i zajmujące rzeczy, a między innemi ogromną plantacyę kawy, kwitnącą właśnie w tej chwili. Roślina ta zakwita raz na miesiąc. Kwiat rozwinięty rano, więdnie zwykle wieczorem. Pierwsze kwitnienie odbywa się w lutym, ostatnie w listopadzie. Każda gałązka tworzy długą białą girlandę. Na dnie kielicha zawiązuje się zaraz owoc, zrazu zielony, następnie czerwony, w końcu zaś brunatny; wtedy zbierają go, dobywają zamknięte w głębi ziarna kawy. Cała plantacya wygląda w tej chwili, jakby okryta śniegiem. Liście tej rośliny, ciemno-zielone, gładkie; podobne są kształtem do liści oleandru; kwiat przypomina pojedyncze białe hiacynty, wydaje woń przyjemną. Przy plantacyi piękne były aleje pomarańczowe i palmowe gałęzie z bananów okrytych owocem. Ananasy rosły pod go-

łym niebem w ogrodzie. Najpiękniejszą jednak ozdobę miejsca stanowił miły gospodarz i śliczna jego córka. Obdarzyli mnie mnóstwem kwiatów i owoców. Wyrysowałam dla matki gałązkę kwitnącej kawy.

21-go marca.

Niedaleko od Kardinias, jest okręg zwany Hawana, cały zaludniony przez uwolnionych murzynów; jest ich około tysiąc trzechset. Wszyscy niemal trudnią się uprawą roli. Pragnęłam bardzo poznać murzynów w swobodnem ich gnieździe, ale odwiedziono mnie od tej wycieczki, nie znam bowiem miejscowego języka, a rząd nie ufa w ogólności cudzoziemcom. Pamiętają tu jeszcze powstanie murzynów w 1846 roku, które wybuchło w tej części wyspy. Stłumili hiszpanie ten wybuch, ale odtąd, murzyni nierównie mniejszej używają swobody.

Wolni murzyni mają w Hawanie sale zebrania zwane „Kabildos.“ Każde pokolenie ma osobną salę. Wybierają z pomiędzy kobiet królowę, ta zaś obiera króla, aby jej pomagał w sprawowaniu rządów. Muszę koniecznie zobaczyć owe „Kabildos.“

St.-Amelia 23-go Marca.

Jestem znowu w moim ładnym pokoiku u miłej pani Konick, ale tylko w przelocie. Przybyłam tu cała okryta czerwonym rozpalonym pyłem. Ziemia na wyspie Kuba wygląda jak płonące zarzewie. Podczas suszy wiatr zrywa ogromne kłęby kurzu, a każdy deszcz okropne

sprawia błoto. Mój wolant zaprzężony w trzy konie pobok, leciał jak strzała, okryty chmurą piasku, a murzyn Patrycio, stangret; wielką miał uciechę z tej szalonej jazdy.

Dziś niedziela, młyn nie turkocze jak zazwyczaj. Słyszę bęben afrykański, murzyni zbiegają się na tańce i ja biegnę razem z nimi.

Później.

Tańce odbyły się w okólniku, muzykanci z bębnami stali szeregiem pod kuchnią. Murzyn zwany Karlo Kongo wystąpił z tłumu, podał rękę młodej murzynce i wykonał taniec, któryby niewątpliwie obudził zapał w teatrze Paryzkiej Opery. Był to taniec z Kongo. Karlo wyprawiał cuda zręczności i siły; na twarzy jego odbijała dobroć i słodycz, miał na głowie małą sukienną czapeczkę, na szyi niebieskie paciorki, ręce i ramiona gołe. Tancerka poruszała się zwinnie i ochoczo, Karlo włożył jej w usta gałązkę kwitnącego mirtu.

Zabawa coraz bardziej się ożywiała, murzyni ściągali tłumnie, ale na pierwszy odgłos bicia ochocza gromadka rozpięchła się na strony. Podziękowałam muzyce i Karlowi w sposób najmiłszy dla nich i widziałam z pociechą ich zadowolenie.

Jestem znów w moim pokoju, młynek turkocze, murzyni pracują, a ja poglądam na przepyszne palmy, wieniące podnóża gór, gdzie zbiegli murzyni bezpieczną znajdują uchronę.

W plantacyi S-ta Amelja są dwie przepyszne aleje palmowe. Niektóre drzewa okryte w tej chwili kwiatem.

Jest także alea z tamaryndów i akacyi zwanej *mango*. Z czerwonego nasienia tej akacyi murzyni wyrabiają naszyjniki, podobne zupełnie do koralu. Przed domem rosną ogromne drzewa, z pozoru wyglądają jak topole, ale kwitną czerwono. Zowią je „*Hibiscus liliacea*.“ Wyspa Kuba zasługuje na wyłączną uwagę uczonych, artystów i poetów. Jej bujna roślinność, koloryt nieba i czarujący wdzięk krajobrazów, rzucają na nią odbłask idealnej piękności.

Kaffetal la Industria, 1-go Kwietnia.

Wiosna dzięki Bogu zaczyna się w Szwecyi, wkrótce dojedziesz do morza i odzyskasz siły w dobroczynnym żywiole. Już złoty promyk słońca i drobne kwiatki na łące i skowronek w polu, śpiewają ci chórem: „Otóż wiosna!“ I radość wpływa do serca twego, tej radości nie zna nikt na wyspie Kuba, w kraju wiecznego słońca i pogody.

Jestem od dwóch dni w nowej plantacyi cukru i kawy, u rodziny amerykańskiej wdowy Phinney. Zacni to ludzie w całym znaczeniu tego słowa. On sam stary republikanin, podoba mi się nad wyraz; żona znacznie młodsza pielęgnuje z miłością czworo dorastających dzieci. Patrząc na nią, zdaje mi się, że widzę ów strumień czystej wody, który Bóg zsyła podróżnym wśród pustyni, aby orzeźwili nim pierś spragnioną, spoczywając na murawie, pod cieniem zielonej palmy. Gdy spotkam podobne istoty, pytam z żalem czemu ich tak mało!

Z przedsionka domu piękny widok roztacza się na daleki Ocean. Rano i wieczór chodzę po szerokim tarasie, a roje małych murzyneków otaczają mnie w koło.

Niewolnicy w tej plantacyi dobrze żywieni i szczęśliwi. Nie mieszkają tu w zamkniętym okólniku, ale mają bohen otwarty, a w nim ładne i jasne izdebki. Pani Phinnej kocha po macierzyńsku murzynów swoich, a chorych pielęgnuje jakby własne dzieci.

Z jej ust, pełnych słodczy, usłyszałam niedawno te słowa:

„Grzeszą bardzo ci, którzy utrzymują, że murzyni źli z natury. Jest między niemi złe, jak zazwyczaj pomiędzy ludźmi, ale dobre nieskończenie przeważa.

„Chłosta psuje ich, a bynajmniej nie zachęca do pracy. Dobrem słowem wszystko z niemi zrobić można. Dobry pan ma w nich najlepszych i pełnych poświęcenia przyjaciół.“

Poznałam tu prześliczne świecące owady, zwane *Kukullos*. Nie są to właściwie muchy, lecz chrząszcze. Co do kształtu i powierzchowności podobne zupełnie do naszych, tylko dłuższe i wyższe. Ich lot taki sam, ale daleko spokojniejszy, lżejszy i z głośnem połączony brzęczeniem. Światło wypływa przez dwa otwory okrągłe, które mają po za oczyma. Wczoraj wieczór czytałam bez świecy, trzymając w ręku kukullosa jakby małą latarkę. Gdy lecą, jasne światło promienieje z ich piersi. Trudno sobie coś piękniejszego wyobrazić. Zdaje ci się, jakbyś widziała latającego Jowisza, Wenerę lub inną planetę. Kukullosy pojawiają się po deszczu, a że mieliśmy kilka razy ulewę, ledwie że minęła ujrzeliśmy ich zaraz. Nie wiadomo zkąd przybiegają, ale jest powszechne mniemanie, że podczas suszy kryją się po pniach spruchniałych. W maju, czerwcu i lipcu, gdy nastąpi pora deszczów, więcej ich będzie nierównie. Mam przed sobą kilku w szklance, gdzie ich karmię trzcina cukrową. Podczas gdy jedzą,

światło ich zmniejsza się znacznie, ale dość ich polać świeżą wodą, aby na nowo zajaśniały. Gdy się obudzę w nocy słyszę głośne brzęczenie, otwieram oczy i widzę latające światełka wśród ciemności.

O północy piękna konstelacya *Krzyż południowy* świeci tu prostopadle po nad ziemią. Gwiazdy drugiego rzędu składają ową konstelacyę, ale układ jej tak doskonały, tak kształtny, że głębokie na mnie sprawia wrażenie. Z pociechą poglądam na ten krzyż, oparty prawie o ziemię, rozciągający nad nią ramiona. Inne gwiazdy otaczają go jakby promienistą aureolą.

Na północnym widnokręgu szukam okiem Wielkiej Niedźwiedzicy i polarnej gwiazdy, a gdy je spostrzegę, po ich promieniach zasyłam ci pozdrowienie.

3-go Kwietnia.

Przepędziłam dzisiejszy poranek w bananowym lasku i rysowałam drzewo, które wydaje ulubiony mój owoc. Rysowałam także kwitnący krzew bawełny, łodygę macienką, niekształtną, liście ordynaryjne rozstrzępione i brudno-zielonej barwy. Kwiat za to bardzo ładny, bladzielony. Nasiennik otwiera się gdy dojrzeje, a kosmyki bawełny otulające ziarna w śliczny sposób dobywają się z niego.

Wiele w ogólności rysuję i maluję, opanowała mnie wyraźna manja ołówka i pędzla; zbieram co mogę do mojej teki, ludzie i zwierzęta, kwiaty i ptaki, domy i drzewa, słowem wszystko co mi wpadnie w oczy. A że tu mnóstwo jest rzeczy pięknych i rzadkich, gorączka moja malarzka nie ustaje. Wprawdzie to mało warto, bo mi brak

czasu i artystycznej zdolności, staram się przynajmniej utrwalić miłe pamiątki.

Nic piękniejszego dla mnie jak palmowe drzewo! Jakież w nim poezya, jaka powaga i prostota! Korona palmowego drzewa składa się z czternastu wielkich palm. Co miesiąc lub co dwa palma spodnia upada. (Niektóre z nich mają po siedm lub ośm łokci długości). Inne wyrastają za to z samego środka drzewa.

Palmy tak zwane królewskie, mają zawsze pień prosty, nakształt kolumny: palmy kokosowe przeciwnie, pochylają się na bok. Widzę je zawsze okryte owocem. Lubią tu powszechnie mleko wyciśnięte z kokosowego orzecha i uważają w niem uzdrawiające własności. Smak ma podobny do serwatki. Ludzie nie jadają owocu z palmy królewskiej, ale tuczą nim trzodę przewybornie. Kapusta palmowa, czyli rdzeń palmy najbliższy korony, wyborną stanowi potrawę, ale chcąc ją mieć, trzeba poświęcić całe drzewo.

Jutro powracam do Matanzas, a ztamtąd do Hawany, później udam się do San Antonio de los Banos, zkąd zrobię małą wycieczkę. Młody właściciel jednej z tutejszych plantacyj, kreol francuzki, nazwiskiem Sauval, chce żebym się poznała z jego matką, która owdowiawszy, poszła za hiszpana margrabiego Karrera. Mam wielką chęć poznać tę kobietę: lubi jak mówią sztuki piękne, literaturę i literatów. Zostanę więc na wyspie dłużej niż zamierzyłam, ale wszakże nie wrócę tu już nigdy, a tyle mam rzeczy do widzenia, tyle tu uroczych a nieznanych piękności!

Zdziwiłam się dziś rano nie widząc w szklance moich kukullusów. Nie mogłam pojąć co się z niemi stało; zwłaszcza, żem im włożyła do szklanki spory zapas cukro-

wej trzciny. Później dopiero zobaczyłam w kącie pokoju pająka czarnego jak węgiel, wielkiego jak dziecinna ręka, chodził po murze dojadając resztę kukullośa. Wielka ilość tych brzydkich pajaków zrzadza nie małe szkody po tutejszych spiżarniach, człowiekowi jednak bynajmniej one nie szkodzą.

Matanzas 10-go Kwietnia.

Powróciłam znowu do ogniska dobrej pani Baley i z wielką radością serca zastałam w Matanzas list od ciebie. W styczniu wprawdzie pisany, mnie jednak biednej pielgrzymce wydał się zupełnie świeży.

Nie powrócę do was w lipcu, ani nawet w sierpniu, bo wiele rzeczy chcę jeszcze poznać w Stanach Zjednoczonych, za to w jesieni ucałuję ręce matki, uścisknę ciebie droga Agato i na długo pozostanę z wami.

Wiele, bardzo wiele przyjemności użyłam na wyspie Kuba. Utyłam, odmłodziłam (notabene w porównaniu tego jak byłam w Stanach Zjednoczonych) i byłabym jeszcze zdrowsza, gdybym mogła odpocząć aby chwilę. Ale mam umysł dziwnie podniecony, ciąglą czuję gorączkę; mnóstwo nowych przedmiotów wpada mi ciągle w oczy, radabym wszystko ogarnąć pamięcią, albo przynajmniej naśladować. Nie podobna mi wydolać wszystkiemu co przedsięwzię. Śmieję się sama z siebie, litość bierze mnie niekiedy, a jednak ciąglą praca bawi mnie i zajmuje nad wyraz. Rysuję portrety nierównie lepiej niż dawniej. Jak mi się który uda, zostawiam go na pamiątkę pod gościnnym dachem, gdzie miłe znalazłam wytchnienie. Tak bowiem na wyspie Kuba, jak i w Stanach Zjednoczonych,

spotkałam w niejednym domu prawdziwie bratnie serca, których pamięć uniosę z sobą daleko.

Wieczorem odwiedzają nas często europejczycy osiedleni na wyspie, lub też młode hiszpanki. Stroją się bardzo, wachlarze zwłaszcza z którymi bawią się nieustannie, bajecznej niekiedy dochodzą ceny. Najpiękniejsze są ze słoniowej kości, oprawne w złoto; małe owalne zwierciadło obsadzone jest w pośrodku. Kreolki hiszpańskie umieją się tajemnie porozumiewać jedynie tylko przez poruszenie wachlarzów.

W salonach tutejszych stawiają dwoma rzędami bujające krzesła w stylu amerykańskim lub hiszpańskim. Ostatnie wspanialsze ale ciężkie. Huśtawki urządzone są wewnątrz. Wszyscy rozmawiając kołyszą się i chłodzą wachlarzem. Piją wieczorem herbatę i jedzą cukierki. Kreolki mają w ogólności bardzo piękne oczy, zdrowo sądzą o rzeczach, są nawet dowcipne, ale brak im zupełnie głębszych wiadomości. W domu zajmują się haftem, strojami i zabawą.

Odbędę jeszcze z panią Baley wycieczkę po pięknej rzece Kanima, a potem pożegnam Matanzas.

14-go Kwietnia.

Puściliśmy się w podróż wczoraj przed wschodem słońca, pani Baley, brat jej Filip i ja trzecia z niemi. W chwili gdyśmy odbijali od portu, słońce z całym przeplechem powstawało z morza. Stary opalony hiszpański majtek i dwaj jego synowie poruszali wodę wiosłami. Morze spokojne było zupełnie, inaczej też trudno by nam przyszło wpłynąć do ujścia małej ale burzliwej rzeczki.

Po półgodzinnej żegludze wpłynęliśmy wreszcie w jej niespokojne koryto i zwolna posuwaliśmy się między po-

dwójnem pasmem gór, pokrytych u wierzchołków mnóstwem zwrotnikowych roślin. Nad innemi panowały malownicze grupy wachlarzowych palm, pomniejsze zaś drzewa i krzewy, oplatały śliczne zwoje napowietrznych roślin, okryte białym, różowym, złotym i purpurowym kwiatem. Roje kolibrów ulatały w około. Bliżej brzegu były drzewa i krzewy bambusowe, pochylone uroczą ku wodzie. Wysokie góry chroniły wąską rzeczkę od palących promieni słońca i osłoniły ją tajemniczym półmrokiem. Płynęliśmy tak kilka godzin, a za każdym zagięciem nowe podziwialiśmy cuda. Piękny ptak biały o długiej szyi, podobny do małego łabędzia, leciał nieustannie przed nami, niekiedy spoczął na brzegu i znów puszczał się naprzód, jakby nam ukazywał drogę. Ale promienie słońca wniknęły między góry, upał stał się nieznośny. Młodzi przewoźnicy ledwie poruszali wiosłami, szepcząc nieustannie *Ave Maria*.

Wylądowaliśmy na brzeg, zastawiono śniadanie pod cieniem bambusów, roje kolibrów ulatało nad nami.

Rzeczka była bardzo wąska w tem miejscu. Po obu dwóch brzegach sterczały poobalane domki, zielone palmy i banany. Kraby i raki roily się na brzegu.

Mimo pysznej roślinności czułam, że aby być szczęśliwym w takim zamkniętym świecie trzeba być rakiem lub kolibrem.

Ze powrotem spotkała nas okropna burza, a pomimo ceratowej osłony, przemokliśmy do nitki. Nasi przewoźnicy wdychali ciężko i powtarzając *Ave Maria* wytrwale poruszali wiosłami. Po dziesięciu godzinach żeglugi wróciliśmy szczęśliwie do domu.

Jutro opuszczam Matanzas, jego urocze okolice i uprzejmych mieszkańców. Smutno mi, ale co czynić? Ni-

gdy już nie odetchnę tem łagodnem powietrzem, nigdy nie zobaczę tych cudów, nie powitam tych ludzi.

XXXIV.

Hawana 16-go Kwietnia.

Od wczoraj jestem znów w Hawanie, stoję w moim dawnym hotelu, zajmuję pokój z wyjściem na taras. Rodzina Tolmé wzywała mnie do siebie, ale że ich dom pełen dzieci i wnuków, zebranych na Wielkanocne święta, nie chciałam nadużywać ich gościnności. A wreszcie czuję potrzebę spoczynku.

Dzisiaj wielki czwartek, dzień uroczysty w tem katolickim mieście. Rano odwiedziłam kilka kościołów, kobiety strojne jak na bal, klęczały na rozłożonych kobiercach, wszystkie niemal miały suknie i trzewiki jedwabne, pełno złota i brylantów, na głowie kwiaty i koronkowe mantyle, a w ręku pyszne wachlarze. Ładny to był widok, ale nie właściwy, zwłaszcza w dzień świętej wieczerzy, w dzień zjednoczenia ziemi z niebem!

Wieczorem.

Byłam znowu w trzech czy czterech kościołach, wszystkie oświecone w chórze, ale nie tyle było w nich osób, jak dzisiejszego poranku. Kobiety mniej były postrojone. Wiele z nich gorąco się modliło. W katedrze

po każdej stronie wielkiej nawy siedziały trzy wspaniałe hiszpanki, okryte brylantami i złotem; kwestowały na ubogich. Mój Boże! najmniejszy z tych klejnotów ileżby łez otarł, ilu nakarmił głodnych! Od dzisiaj aż do Wielkonocey wszelki ruch ustaje w Hawanie, żaden wolant nie ukaże się na ulicy; jutro zaczną się wielkie procesye.

Niedziela.

Widziałam wielko-piątkową procesyę z tarasu domu amerykańskiego na placu broni. Kobiety wszystkich kolorów, białe, oliwkowe i czarne, strojne jak na bal, zapełniły plac po południu; mulatki zwłaszcza pyszniły się jak pawie. Widać było, że tłum oczekuje wielkiego widowiska, procesya rozpoczęła się późno wieczorem przy blasku świec i kagańców.

Niesiono postać umęczonego Chrystusa na paradnem wyniesieniu. Wspaniały świecznik rozpromieniał woskowe oblicze Zbawiciela. Dalej niesiono figurę N. Maryi Pauny, w złotym płaszczu i złotej koronie. Naostatek zaś niesiono Maryę Magdalenę i drugą jeszcze Maryę. Ta nadzwyczaj liczna procesya wspaniale wyglądała. Po między innymi szli za nią murzyni w wielkich białych szkaplerzach, mówiono mi, że należą do bractwa miłosierdzia.

Ulice były przepelnione ludem. Murzyni świecili wszystkimi barwami tęczy. Wczoraj cały dzień głęboka cisza panowała w mieście. Dziś bardzo rano niesiono w uroczystej procesyi postać Zmartwychwstałego Chrystusa od katedry do kościoła świętej Kataliny. Ztąd zaś wyszła inna procesya, która niosła Maryę Magdalenę, szu-

kającą niby Zbawiciela. Gdy się spotkały obiedwie procesye, to jest gdy można było przypuścić, że Marya Magdalena ujrzała Chrystusa, dano ognia z dział, wszystkie dzwony uderzyły razem, zabrzmiały trąby, w porcie wieszono flagi, post się zakończył. Wolanty z hałasem wysypały się po mieście. Murzyni wykrzykiwali wesoło, radość panowała powszechna.

Poszłam za miasto, ranek był prześliczny, morze blado-niebieskie, za każdym powiewem rozbijało srebrną pianę o podnóże skały Morro; flagi kołysały się w porcie, wszystko tchnęło nowem życiem. Białe gołębie piły wodę w sadzawce wyłożonej płytami z marmuru; małe jaszczurki swobodnie biegały po murach.

20-go Kwietnia.

W towarzystwie dwóch znajomych mi amerykańców byłam na kilku zebraniach murzyńskich, zwanych „Kabil-dos.“ Nie podobna mi było iść samej, gdyż nie umiem po hiszpańsku. Dwaj amerykanie ułatwili mi wniknięcie, co nie jest rzeczą łatwą, gdyż wolni murzyni niechętnie przypuszczają Europejczyków do swych zabaw.

Zebrania te odbywają się w niedziele, po obiedzie i wieczorem, przy ulicy zwanej Kabillos, którą sami zajmują murzyni. W ulicy roiło się mnóstwo czarnych, niektórzy jaśnieli od wstążek i dzwonków, inni wyskakiwali ochoczo; bębny afrykańskie brzmiały na wszystkie strony. Przed domami zabawy pełno było białych, ale murzyni stojąc we drzwiach na straży, łagodnie a stanowczo broni-li im przejścia. Pan C. wcisnął się prawie gwałtem na

salę murzynów Lukomanów i uprosił, że mi pozwolono przypatrzeć się zabawie.

Podano nam krzesła i przedstawiono królowej zgromadzenia, która nas mile bardzo przyjęła.

Wielka sala obejmowała do stu osób. Na ścianie naprzeciwko nas wymalowany był tron z koroną i baldachimem. Tam stały krzesła dla królowej i króla. Tańce odbywały się pod ich okiem. Murzynka jedna tańczyła solo, a czterech murzynów trzymało baldachim nad jej głową. Te płasy musiały trafić do gustu obecnych, gdyż ją w końcu zarzucono chustkami i męzki kapelusz włożono jej na głowę, na znak zadowolenia. Wrzawa była niesłychana, bębny biły na całą moc, grzechotki przywtarzały im dzielnie. Nagle wystąpiła z tłumu dziwna postać w czerwonej czapce, w paciorkach na gołej szyi i krótkiej szkarłatnej spódnicy. Wszyscy rozsunęli się, postać zbliżyła się do mnie, wyciągnęła obiedwie ręce i dziwaczne składała mi pokłony, na koniec wyrzekła kilka słów, których nie zrozumiałam. Odpowiadając na uprzejme pozdrowienie, podałam rękę i wsunęłam sztukę srebrną w czarną dłoń murzyna.

W około sali na ławkach siedzieli poważniejsi wiekiem murzyni. Lukomani w ogólności mają rysy kształtne, twarz owalną i prześliczne zęby. Weselsi są i pojętniejsi od innych czarnych pokoleń.

W tych „Kabildosach.“ jak mówiłam, rządzi wyłącznie królowa. Ona daje hasło zabawy i utrzymuje życie w zgromadzeniu. Ma prawo obrać do pomocy króla, któremu powierza konieczne sprawy. Król ma przy sobie sekretarza i ministra ceremonji.

Ten dał mi drukowaną kartkę, która mi ułatwiła wstęp do innych Kabildosów. Otrzymawszy tę kartkę,

złożyłam dar pieniężny do wspólnej kassy zgromadzenia i opuściłam salę z towarzyszami.

W innym Kabildosie przyjmowały mnie dwie królowe, śliczne czarne dziewczyny, strojne w różowe gazowe suknie i krawaty. Posadziły mnie pomiędzy sobą i z hiszpańską powagą paliły cygaretta. Naprzeciwko nas na ścianie wymalowany był wielki lampart, godło narodu zapewne; było także w sali kilka obrazów świętych. We wszystkich Kabildosach murzyni i murzynki najdziwniejsze wyprawiali płasy i łamania. Kobiety czołgały się jak galwanizowane żaby, murzyni tańczyli solo. Wreszcie utrudzona wrzawą i kurzem opuściłam zabawy murzyńskie i pojechałam z towarzyszami nad morze.

Słońce zachodziło, wsiedliśmy w łódkę i odpłynęli od brzegu. Zorza wieczorna zrumieniła nadbrzeżne palmy i przezroczyste fale. Zdało mi się, że z chaosu przeszłam nagle w krainę światła.

22-go Kwietnia.

Czas ubiega mi jak na skrzydłach, co rano wychodzę nad morze. chwilę odetchnę czystem powietrzem, potem zwiedzam kościoły, słucham wojskowej muzyki na placu broni, a powróciwszy do domu, maluję pomnik Kolumba.

Długo wieczorem chodzę po tarasie, słuchając szumu Oceanu i poglądając w niebo, gdzie Krzyż rozkłada promieniste ramiona po nad światem.

Rano odwiedzam zwykle dobrą panię Tolmé. Podczas, gdy maluję jej portret, ona mi opowiada ciekawe przygody z życia tutejszych murzynów. Młody niewolnik,

który służy u niej w domu, ożenił się niedawno potajemnie z murzynką, należącą do innego pana. Właściciel jej nie chciał pozwolić na te związki. Murzyn rozpił się z rozpacz, nie mogąc wiódć żony i dziecięcia. Pani Tolmé rzekła raz do niego: „Przestań pić mój kochany, a ja ci dam co tydzień jeden *pezos* (sztukę monety), zebraną sumkę zachowam u siebie dopóty, aż ci wystarczy na wykupienie dziecka.“

Od tej chwili murzyn nie upił się ani razu. Gdy mu pani Tolmé oddała pieniądze dostateczne na wykup syna, nie posiadał się z radości, całował jej nogi ze łzami. Teraz znów gromadzi po trochu sumkę, ciesząc się nadzieją, że kiedyś będzie mógł okupić młodą żonę. Dzięki dobrej pani Tolmé, ta nadzieja wkrótce zamieni się w rzeczywistość.

W tych dniach opuszczam Hawanę, zabawiwszy parę tygodni w domu pani Karrera, pożegnam wyspę Kubę, piękną ojczyznę palm i wrócę do Stanów Zjednoczonych, a ztamtąd do Szwecyi. O, wierz mi, nasze sosnowe lasy milsze mi stokroć niż wszystkie cuda podzwrotnikowych krajów!

XXXV.

Kafetal la Konkordia 27-go Kwietnia.

Od czasu jak pisałam ostatni list do ciebie, różne spotykały mnie przygody; dziś wszystko ułożyło się jak

najlepiej, szczęśliwa i swobodna. jestem już przecie w pięknej plantacyi pani margrabiny Karrera.

Przybyłam do San-Antonio koleją żelazną, drogę miałam prześliczną, wpośród gajów palmowych i ogromnych plantacyi kawy. W San-Antonio nie zastałam wolanta i koni pani Karrera, które czekać na mnie miały, ta przygoda popłatała mi szyki.

Korzystając ze sposobności, zwiedziłam miasteczko i piękne okoliczne wzgórza. Poznałam się z uprzejmym hiszpanem don Idelfonso de Miranda, który dał mi swój wolant do rozporządzenia. Pojechałam więc do domu margrabiny Karrera, ale tu nowy czekał mnie zawód. Margrabina była nad morzem, na południowym brzegu wyspy, dotąd nie odebrała listu syna i nie wiedziała o zapowiedzianem mojem przybyciu. Ale intendent plantacyi, don Felix, człowiek nie młody, przyjął mnie z prawdziwie hiszpańską uprzejmością. Wprowadzając mnie rzekł: „Cały dom oddaję na rozkazy pani. Rozządzaj pani wszystkim jak u siebie.“

Zjadłam obiad z don Felixem. Mówił mi o pani Karrera z uczuciem wielkiego uwielbienia.

Nazajutrz margrabina uwiadomiona posłańcem o mojem przybyciu, napisała do mnie najgrzeczniejszy list, z zaproszeniem nad brzeg morski. Poleciała dwunastoletniemu synowi, Adolfowi Sauval, aby mi towarzyszył.

Pojechaliśmy w dzień skwarny; wolant nasz rzucił się po skalistej drodze; potem siedliśmy w łódkę, którą ciągnęli murzyni, po wązkim strumieniu, zarosłym trzcina i mnóstwem wodnych roślin. Mój mały towarzysz z czar-nemi oczyma dodawał mi odwagi, zapewniając, że wkrótce wpłyniemy na większą wodę. Jakoż rzeczywiście koryto rzeczki rozszerzyło się. Powiew morski orzeźwiał nas

z daleka. Dopłynęliśmy wreszcie do morza. Na zielonem wybrzeżu widać było rozrzucone domki z białej brzozonej kory, prawdziwe chaty rybackie. Tu mieściła się arystokratyczna rodzina, którą miałam poznać. Pani Karrera z dziećmi i wnukami była tu od kilku tygodni dla kąpieli.

Margrabina wracała właśnie od morza w białym ładnym szlafrocisku. Postać jej szlachetna, mile mnie o niej uprzedziła; ma lat pięćdziesiąt z górą. Byli z nią dwaj synowie z pierwszego małżeństwa i śliczna hiszpanka, żona starszego syna. Służbę składało mnóstwo murzynów i murzynek.

Pani Karrera przygotowała z umysłu dla mnie ładny domek, naprzeciw własnego jej mieszkania. Zastałam w nim łóżko, stół i wygodne krzesło. Nie ma drzew w tej pustej okolicy, grunt niski i bagnisty. Przed nami roztacza się ocean bez granic; po brzegach widać tylko gdzieniegdzie osady ubogich rybaków. Pierwszy wieczór zeszedł nam przyjemnie nad morzem przy świetle gwiazd, na prawdziwie zajmującej rozmowie. Przebiegaliśmy wielkie okresy dziejów. Pani Karrera i jej synowie znają doskonale dzieje szwedzkie i sądzą wybornie nasze stanowisko.

Nazajutrz rano czas był wątpliwy. Wiatr dał okropnie, napędzając na brzeg wzburzone bałwany. Rzeczka wezbrała i zalała okoliczne domostwa. Przechodząc z domku do domku, brnęliśmy po błocie jak kaczki. Rodzina cała zatrwożyła się nie żartem. „Jeśli jutro tak będzie, powtarzali wszyscy, woda zaleje nas zupełnie.“

Wiatr nie ustał, burza całą noc trwała. O świcie wsiedliśmy na łodzie, które podpłynęły pod nasze domki i przemoczeni do nitki, wróciliśmy bez wypadku do Konkordia.

Wieczorem jednak deszcz ustał, gwiazdy zabłyśły, a my zasiedliśmy swobodnie na tarasie. Patrzałam z upodobaniem na piękne kukullosy krążące w powietrzu. Alfred Sauval przygrywał na gitarze i czystym głosem śpiewał *seguidillę* hiszpańską, odmienną zupełnie od naszych ludowych pieśni, weselszą i nierównie bardziej uczuciową.

Konkordia 1-go Maja.

Dziękuję Bogu, że mi dał poznać i pokochać szlachetną właścicielkę tej plantacyi, kobietę z prawdziwie macierzyńskim sercem. Takie istoty ściągają z nieba łaskę i błogosławieństwo!

Radość serdeczna murzynów za przybyciem pani Karrera do domu, ich twarze rozpromienione gdy ich powitała przyjacielsko i wesoło, dały mi ją poznać od razu. Codzień bardziej wielbię i podziwiam tę kobietę, patrząc jak po macierzyńsku odwiedza i pielęgnuje chorych niewolników, jak im posyła wyborne przysmaczki, jak tuli do siebie małe murzynki, które na każdej przechadzce czepiają się jej białej sukni, a wieczorem na tarasie w koło ją jak matkę otaczają.

Jednego wieczora mały murzynek bawił się z najmłodszym jej synem. Posprzeczali się ze sobą, murzynek przyszedł na skargę. „Panicz mnie nazwał bezczelnym murzynek” — rzekł zanosząc się od płaczu. — „Nie bawić się z nim” — wyrzekła z powagą pani Karrera, zwracając się do czarnej dziatwy. „On na to nie zasługuje.”

Raz gdyśmy rozmawiały o murzynach, zapytałam czy prawda, że podczas powstania 1846 roku, niewolnicy mordowali także dobrych i wyrozumiałych panów.

— Broń Boże—odparła pani Karrera — niewdzięczność nie leży w naturze człowieka. Wtedy właśnie byłam sama jedna z moimi murzynami; oni czuwali nad moim bezpieczeństwem. Starszy mój syn oddalić się musiał do swojej plantacyi, gdzie powstanie wrzało największe, dozorca odjechał także na czas jakiś. Zawołałam starszych murzynów i rzekłam: Wiecie dobrze co się dzieje w tej chwili na wyspie; murzyni powstali, mordują panów i rabują.

— Wiemy o tem — odpowiedzieli.

— A więc oddaję siebie i dom cały pod waszą opiekę. Mój syn musiał koniecznie wyjechać, wróci dopiero za dwa lub trzy tygodnie. Nie ma ani jednego białego człowieka w plantacyi i nie myślę sprowadzać w pomoc białych. Liczę na was zupełnie, oddaję się wam z ufnością, odpowiecie mi za postępowanie naszych braci. Jeśli dostrzeżecie jakie zamieszanie, powiedźcie mi o tem.

Wtedy jak i teraz doświadczałam często bezsenności. Raz między drugą a trzecią z rana wstałam, poszłam do okna i ujrzałam z podziwieniem uzbrojonego murzyna, stał na straży przed domem. Zawołałam, pytając co się stało?

— Nic proszę pani—odparł murzyn—wszystko spokojnie, aleśmy się umówili między sobą, że murzyni z sąsiednich plantacyj, mogliby wpaść przypadkiem i narobić hałasu. Dla tego to uradziliśmy, aby czatować na przemiany pod domem dla bezpieczeństwa pani.

Podziękowałam serdecznie za taki dowód przywiązania i zapytałam, jak się sprawują niewolnicy w plantacyi.

— Lepiej niż kiedykolwiek—odparł murzyn — wiedzą, że pani im ufa, to też chcą pokazać, iż godni zaufania. Niech pani będzie spokojna.

Dobroć i wyrozumiałość pani Karrera, znana w całej okolicy, sprawiła to, że obcy murzyni gdy zawiną co względem panów, proszą ją o wstawienie. Jest zwyczaj na wyspie Kuba, że winny murzyn obiera sobie opiekuna lub opiekunkę, aby pośredniczyli pomiędzy nim i panem. Pani Karrera często przyjmuje ten obowiązek, a gdziekolwiek pojawi się biała jej postać (zawsze bowiem ubrana białą), wszędzie bywa zwiastunką zgody i pokoju.

Pani Karrera urodziła się w Saint-Domingo z rodziców francuzów, którzy podczas terroryzmu schronili się na wyspę Kubę.

Podczas rzezi w Saint-Domingo wierni murzyni ocailili ją i całą jej rodzinę. Nie raz gdy siedziemy na tarasie lub chodzimy po palmowym lasku, opowiada mi ciekawe szczegóły swego życia. Nie raz znowu ze starszym jej synem Sydneyem porównujemy wypadki różnych krajów. Ja jak mogę głoszę sławę skandynawów i skandynawek. Rozmawiamy i malujemy razem i doprawdy z żalem myślę, że wkrótce przyjdzie nam się rozłączyć. Pani Karrera maluje doskonale kwiaty i motyle z natury. Od czasu jednak ostatnich swych nieszczęść (straciła bowiem niezbyt dawno męża i syna na cholerę), z mniejszem zamiłowaniem oddaje się sztuce.

Pora deszczów nadchodzi, drzewa okrywają się kwiatem, liczba kukullusów codziennie wzrasta. Pani Karrera wychwala mi cudną grę obłoków podczas dżdżystych miesięcy. Chce mnie zatrzymać przez całe lato u siebie.

Syn starszy pani Karrera odjechał z żoną. W domu jest tylko olbrzymi Sidney Sauval i troje dzieci drugiego syna. Babka uczy je sama całe rano, ja tymczasem maluję i piszę w moim pokoju. Od obiadu do nocy jesteśmy zawsze razem. Trudno żyć przyjemniej, ale gorączka

rysunku dotąd mnie nie opuściła. Rysuję portret pani Karrera, piękną rzymską głowę Sidneya i grupę prześlicznych dzieci, maluję drzewa, kwiaty, słowem wszystko co widzę.

Plantacye kawy słynęły niegdyś w tych stronach. Każda z nich była małym rajem, a właściciele współzawodniczyli ze sobą o pierwszeństwo pod względem gościnności i zbytku. Dwa wielkie uragany zmieniły postać tej pięknej części wyspy. Uragan 1848 roku przewrócił dom pani Karrera, zniszczył bibliotekę i kosztowny zbiór obrazów. Okropna powódź dokonała zniszczenia. Mówią, że ziemia dotąd choruje skutkiem napływu słonej wody. że drzewa i rośliny nie przyszły jeszcze do dawnego stanu. Widać jeszcze ogromne pnie powalone na polu, w ogrodzie jednak kwitnie mnóstwo najpiękniejszych kwiatów.

Nie wiem jak tu było przed powodzią, ale wiem, że i dziś precudownie jeszcze! Jest tu wspaniała ulica wysadzana bambusami, a za nią śliczny palmowy lasek. Gdy widzę jak słońce zapada pomału, a delikatne gałązki bambusów rysują się jak gotyckie arkady na różowym tle nieba, czuję wtedy ze smutkiem i radością razem, że artysta powinien tu rzucić pióro i pędzel, a wznieść obie ręce ku niebu i wielbić Tego, który stworzył owe nieogarnione cuda! Dobrze jednak widzieć takie obrazy; one uszlachetniają myśl i podnoszą ducha w nieskończoność!

Wszakże, czy uwierzysz, moja Agato, mimo tej czarodziejskiej przyrody, czuję, jak mnie pomału ogarnia niepojęta jakaś tęsknota. Nie raz myślę z upodobaniem o chłodnych porankach letnich w naszym kraju, o mgle, która wieczorem kłębi się nad wioską, o naszych wołkach, jak po całodziennym znoju ciągną do domu pługi. Czuję, że gdyby Bóg dopuścił na mnie chorobę, pragnęłabym

aby mi położono trochę śniegu czystego, na rozpalone skronie.

3-go maja.

Mamy ulewę, istny potop. Ludzie, kwiaty, drzewa i zwierzęta, słowem wszystko co żyje z radością podnosi głowę, kukullosoy wybiegają z kryjówek.

Jutro niedziela, murzyni będą tańcować pod cieniem migdałowego drzewa. Będzie to ostatni dzień pobytu mego w Konkordia. Pojutrze wraz z młodym Sidneyem odjeżdżam do Hawany.

Ostatni wieczór w Konkordia.

Żal mi że odjeżdżam, ale wynoszę ztąd prawdziwą serca pociechę. Myśl jedna uszczęśliwia mnie nadewszystko. Przybyłam tu nieznana wcale, nawet z imienia, bo książki europejskie nie dochodzą w te strony, nie mnie tu nie zalecało, chyba tytuł cudzoziemki, współrodaczki Gustawa, Adolfa i Krystyny; zaledwie dziesięć dni bawię w domu i już mnie uważają za siostrę. To mnie przekonuje o prawdziwym braterstwie ducha, silniejszym może niż wszelkie inne związki. Pani Karrera należy do osób, które kocham całą mocą serca, z którymi chciałabym żyć do śmierci.

Coraz to więcej kwiatów i owoców pojawia się w ogrodach. Wyspy oceanu południowego, ukochane dzieci słońca, obfitują szczególnie we wszelkiego rodzaju owoce i korzenie. Mnóstwo tu jadłam nowych, nieznanych mi

jarzyn. Miedzy innemi wyboray korzeń *jukki*. Kartofle za to bardzo tu rzadkie. Stwórca jak dobry ojciec, hojnie pomiędzy wszystkie dziatki rozdziela swoje dary, a najzdrowsze i niezbędne przedmioty rosną wszędzie obficie. I nam także pod naszym niebem czyż się mało dostało, gdy mamy kartofle, śledzie, chleb, mleko, a nadewszystko czystą kryniczną wodę?

Tańce murzynów odbyły się tu w taki sam sposób, jak te, które ci poprzednio opisywałam. Wszyscy, ile nas było, nie wyłączając pani domu i dzieci, należeliśmy do koła. W pośrodku płaśała para młodych murzynów. Mężczyzna tańczył z życiem, kobieta skromnie. Był to taniec improwizowany na prędce.

Długo w noc siedzieliśmy na tarasie, patrząc na latające kukullosy i ogniska zapalone w izdebkach murzynów. Murzyn nie może żyć bez ognia, wieczorem pali go u siebie, mimo letniego skwaru.

Jutro wyjeżdżam rano do Hawany, o ósmej wsiadam na statek i płynę do Charlestonu.

Hawana 5-go maja.

Duch prawdziwie chrześcijański żyje na wyspie Kuba, przekonałam się o tem, zwiedzając szpitale i domy sierot w Hawanie, żywotniej nawet objawia się tu, aniżeli w Stanach Zjednoczonych, ogarnia bowiem zarówno czarne, jak i białe plemię. Zakłady dobroczynne z równą miłością pielęgnują białego i murzyna. Zwiedzałam dziś z Alfredem Sauval ogromny szpital świętego Łazarza, którego jest intendentem. Wielki ten budynek czworokątny, jedną stroną wychodzi na morze. Czerstwy powiew ocean-

nu korzystnie działa na chorych. Młody intendent poob-
sadzał dziedzińce mnóstwem prześlicznych drzew i roślin,
między którymi odznaczają się kwitnące właśnie oleandry.
Każdy chory ma osobną i wygodną izdebkę. Miłość
Chrystusowa wniknęła tu w tajemne potrzeby nieszczęśli-
wego, dała mu nie tylko schronienie, ale i uroczy widok na
ocean i kwiaty, dała mu ciszę, modlitwę i spokój. W tych
warunkach, biedny chory, straciwszy nawet wszelką na-
dzieję zdrowia, czeka swobodnie chwili, w której rozebra-
ny z ciała, przejdzie w świat wiekuistej chwały i pokoju.

Inny dobroczynny zakład w Hawanie, „dom miło-
sierdzia,“ daje uchronę kilkuset małym sierotom. Każde
z nich odbiera właściwe wychowanie, a nawet gdy opusz-
cza zakład, dostaje na zapomogę pewien zasiłek pie-
niężny.

Ze szpitala świętego Łazarza pan Sauval zawiózł
mnie na cmentarz (Campo Santo), obwiedziony podłużnym
gmachem marmurowym, gdzie składają ciała zmarłych.
Każda rodzina ma swój oddzielny przedział, w którym
się mieści po kilka trumien.

O ile w szpitalu owiał mnie duch chrześcijański,
o tyle w Campo Santo uczułam pogańskie teńnienie.

Ciała bogaczów spoczywały zasklepione w wysokim
murze, złote litery głosiły światu ich wielkość; ciała ubo-
gich leżały w ziemi, bez żadnej zewnętrznej ozdoby. Na
środku cmentarza widziałam czworoboczną kostnicę, w któ-
rej pełno było trupich głów, szkieletów i kości. W tem
miejscu chowają ciała murzynów. Zwłoki czarnego wrzu-
cają w ziemię bez trumny i odzieży, posypują wapnem,
a w parę tygodni potem, odgrzebują je napowrót, kości
składają do kostnicy, a miejsce gdzie leżał, dla nowych
zachowują przybyszów.

Miałam niezmyśloną ochotę odbyć ztąd wycieczkę na wyspę Jamajkę. Uczyniłabym to niewątpliwie, gdybym miała więcej czasu przed sobą. Miłoby mi było widzieć murzynów, związanych w węzeł chrześcijańskiego społeczeństwa. Pan Tolné dał mi jednak o nich dosyć dokładne wyobrażenie. Zdaje się, że murzyni chrześcijanie, trzymają się w wielu rzeczach swoich afrykańskich nawyków. Zbudowano im wielkie domy, otoczone ogrodami, gdzieby mogli pracować razem i używać wszelkich korzyści spółki. Otóż wielkie domy kamienne stoją dziś pustkami. Murzyn ucieka od spółki jak od ognia; dla niego dosyć, gdy może kupić kilka pretów ziemi na wzgórk, obsiać kukurydzą, obsadzić trzciną cukrową, dosyć gdy może zbudować chatkę z brzoźowej kory, to dla niego raj ziemski, kres wszelkich jego nadziei. Gdy raz ten cel osiągnie, niczego już więcej nie żąda, ale używa w pokoju błogich owoców swej pracy. Chciwość i duma jest wyłącznym przywilejem białego plemienia. Murzyn woli śpiew i taniec, niż wszelkie zabiegi o bogactwo i złoto.

8-go Maja rano.

Rzuciłam okiem po raz ostatni na Hawanę i wyspę z tarasu pięknego domu Alfreda Sauval, po raz ostatni widziałam urocze gaje palmowe, błękitne niebo wyspy, cudnie odbite w równie błękitnym oceanie. Dziś po południu odpływam ztąd na zawsze, pożegniam na wieki zielone palmy, jasne kukullozy, wesole tańce i bębny afrykańskie, szczęśliwych mieszkańcy wyspy Kuby. Następny list odbierzesz odemnie ze Stanów Zjednoczonych. Napoiłam się tu nowem tehnieniem, a jednak żyćbym tu zawsze

nie mogła. Tylko ostry powiew Szwecyi napelni dostatecznie pierś moją.

XXXVI.

Sawanah, Georgia 12-go Maja.

Opuściłam wyspę słońca i znowu jestem na stałym lądzie. Wypłynęłam z Kuby ósmego maja pięknym statkiem parowym i bez przygody przybyłam jedenastego z rana do Charlestonu. Słońce letnie świeciło jasno, a mnie się jednak zdało, że owiane mgłą spływa na mury miasta i na wierzchołki drzew. Blade było w porównaniu ze słońcem Kuby.

Z radością powitałam panią Howland i jej rodzinę, spędziłam z nią cały dzień, rozповідаłam jej zdarzenia mej podróży, ale duch niespokojny pędził mnie znowu naprzód. Pragnęłam widzieć Florydę, dobra pani Howland umyśliła towarzyszyć mi w tej wycieczce, za co serdecznie jej byłam wdzięczna.

Nazajutrz, statek parowy odpływał do Sawanah, gdzie miałam znaleźć rodzinę Mac-Intosch i w jej towarzystwie według dawno ułożonego zamiaru popłynąć do Florydy, przesłiczną rzeką St. John.

To też nie wiele myśląc, nazajutrz rano w pogodny dzień majowy byłyśmy obiedwie na statku, przeznaczonym do Sawanah. W chwili, gdyśmy miały odbić od brzegu, pani Holbrook zjawiła się z bukietem w ręku w towarzystwie kilku znajomych mi osób. Miła to była niespodzianka.

Z radością powitałam w Sawanah panią Tefft, panią Burrows i innych dobrych przyjaciół. Wszyscy powtarzają mi, że odmłodziłam się w Ameryce. Ja jednak wiem czemu to przypisać i wszystkim którzy lękają się starości radzę podróż na czarodziejską Kubę.

Rodzina Mac-Intosh okryta żałobą po śmierci starszej córki, która zmarła w jesieni. Pułkownik z córką towarzyszyć nam będzie do Florydy, gdzie ma starszego syna. Powracając, zwiedzę plantację pana Kooper nad Altamaha; zobaczę tam, jak mówią, ideał plantacyj w stanach niewolniczych Ameryki.

Odpywamy pojutrze małym statkiem parowym w górę rzeki St.-John, aż do jeziora Munroe.

Panna Dix, która obecnie bawi w Sawanah, dowiedziawszy się o naszej wycieczce, przyłączyła się do nas. Pogoda prześliczna, księżyc w pełni, czuję w sobie dziwną podniecie, pragnę zobaczyć kwiat Stanów południowych, ów czarowny kraj, w którym hiszpanie szukali ukrytego źródła wiecznej młodości.

Na statku 17-go Maja.

Piszę do ciebie ze statku, który osiadł na łące. Jak długo zostaniemy w tem położeniu, zależy najprzód od księżyca, a potem od dobrych ludzi. W tej chwili jednak nie dowierzam ani pierwszemu, ani drugiemu.

Podróż nasza rozpoczęła się wesoło, rozmowa szła nieustająca. Wieczorem, piliśmy właśnie herbatę przy stole, gdy nagle statek podskoczył w górę, jakby uniesiony falą, a potem osiadł na miejscu. Kapitan powstał co żywo od stołu, pederóżni panowie wyszli za nim.

Odkryto, że sternik nie trzymał się prądu i wprowadził nas na brzeg zalany wodą, księżyc stanął właśnie w pełni, przypływ wody był największy.

Nazajutrz rano gdy woda ustąpiła, ujrzelśmy się na łące zarosłej wysoką trawą, nie daleko nas kwitnął prześliczny laszek magnoliowy, ptastwo przyspiewywało nam na dzień dobry, motyle płały swobodnie po nad łąką, murzyni zabrali się do roboty, zaczęli odkopywać zagrzeżły statek, ale wszelkie usiłowania były próżne. Nie tracąc jednak nadziei mówiliśmy do siebie: niech tylko woda przypłynie wieczorem! ale woda przypłynęła słabo, księżyc patrzył na nas obojętnie i radzi nie radzi pozostaliśmy w miejscu.

Czekaliśmy jak zbawienia. aby jakikolwiek statek pojawił się w bliskości. Jeden z nich przyszedł, ale niestety przeszedł obojętnie i zostawił nas własnemu przemysłowi.

Jutro wieczorem ma znów przechodzić inny statek, w nim cała nasza nadzieja. bo co nasz to chyba z przyszłą pełnią poruszy się z miejsca, woda ustępuje, a on ciśniony własnym ciężarem, coraz głębiej zakopuje się w piasku.

Pocieszamy się jednak jak możemy, wesołą rozmową, odbywamy wspólne przechadzki, zwiedzamy pobliskie plantacje. Dziś obchodziliśmy urodziny małej córeczki kapitana.

Jeden z naszych towarzyszków podróży wraca właśnie z Kalifornji, ma z sobą wiele odłamków surowego i topionego złota.

Chciałam dowiedzieć się od niego jakich ciekawych szczegółów o Kalifornji, o stanie mieszkańców, ale ten człowiek widział tylko złoto i nie więcej.

Jezioro Munroe.

Piszę do ciebie z głębi kwitnącej Florydy, płynę po pięknym jeziorze Munroe, a srogie aligatory okrążają statek w około. Brzeg niski, jezioro gładkie jak zwierciadło, w oddaleniu ciemnieją lasy. Nigdzie nie widać miast ani wieżyc, kraj młody, jeszcze na pół dziki, głucha, a poetyczna pustynia.

Muszę ci opowiedzieć, jak się skończyła smutna nasza przygoda. Oczekiwany statek przechodził wieczorem, zatrzymał się chwilę, wysłał po nas łódź z murzynami i uwolnił z więzienia. Wkrótce wpłynęliśmy w koryto rzeki Altamaha.

Pomiędzy towarzyszami podróży, spotkaliśmy bardzo zajmującą parę, ludzi ubogich, ale wyższych sercem i siłą woli. Pobrali się przed kilkunastu laty z prawdziwego przywiązania. W parę lat potem mąż przez nieoględność stracił szczupły majątek. Rodzice przyjęli do domu córkę z trojgiem dzieci, ale zamknęli progi swoje temu, który do ciężkiej nędzy przywiódł całą rodzinę. Mąż żegnając żonę poprzysiągł, iż dopóty nie wróci, aż własną pracą zapewni jej byt i stanowisko. Nie było go lat siedm. Młoda kobieta straciła wszelką nadzieję połączenia się z ukochanym małżonkiem. Aż nakoniec dnia jednego starszy syn wbiegł zadyszany. „Ojciec powrócił!“ — zawołał z rozpromienioną od radości twarzą. Matka nie dowierzając wyszła do sieni, a poznawszy męża, padła omdlała na ziemię. Zaczny człowiek pracował z niezmordowaną wytrwałością przez lat siedem i dokazał tyle, że zakupił spory obszar ziemi we Florydzie i zbudował dom, gdzie mógł pomieścić żonę wraz z rodziną. Tam właśnie

płyną oboje. Dom ich stoi nad jeziorem Munroe; małżonkowie po długim rozłączeniu rozpoczyną w nim nowe życie. Prawdziwa radość odbija w ich spojrzeniu. Postać męża zapowiada silną wolę, połączoną z wielką dobrocią, w oku kobiety jaśnieje głębokie zaufanie, spokój i miłość oparta na szacunku. W tej chwili są to może najszczęśliwszi ludzie na ziemi.

Ujściem rzeki Altamaha wpłynęliśmy na pełne morze, a po kilkogodzinnej żegludze dostaliśmy się na rzekę St. John. Rzeką tą (po indyjsku Welaka) przepływa wielką liczbę jezior różnej wielkości. Po obu stronach jej brzegów ciągną się dziewicze lasy, oplecione zwojami najpiękniejszych bluszczów i innych pnących roślin. Drzewa niebotyczne, krzewy i kwiaty rosną obok siebie, wspierając się nawzajem. Dobroczynny promień słońca ogarnia wszystkie zarówno, rosa niebieska jednakowo wszystkie orzeźwia.

Życie przyrody kwitnie tu pełnym blaskiem, a jednak stara to pogańska przyroda, państwo dobrego i złego, życia zarazem i śmierci. Pod temi sklepieniami których cień rozściela się po wodzie, mieszka spokojny żółw i srogi aligator, chciwie czyhający na zdobycz. Tu płąsa niewinny łoś, a tuż obok pantera, niedźwiedź i tygrys gniewdzą się w ponurych legowiskach. W około tych pniów, zielonym uwieńczonych liściem wije się wąż grzechotnik i roją miliony jadowitych owadów, a co gorsza nad to wszystko, z głębi kwitnącego lasu ulata woń zabójcza i roznosi zgubną zarazę na wybrzeża. Dla tego też nie widać tu osad ludzkich, kilka tylko chat obalonych świadczy, że człowiek próbował i tu szczęścia.

To właśnie pierwotne życie pustyni, silne własnem bogactwem, urągające śmiałej woli człowieka, ma dla

mnie niezrównany urok. Powietrze tu łagodne, zaprawione cudnie wonią magnolji, rzeka nadzwyczaj ożywiona. Aligatory i ryby poruszają się w wodzie, wodne ptastwo pluska po niej olbrzymiemi skrzydły, zwłaszcza wieczorem, gdy księżyc rzuca srebrne światło, na tajemnicze sklepienia i kolumnady tego przybytku, zbudowanego ręką Bożą.

Drugi dzień żeglugi po rzece prawdziwie mieliśmy uroczy. Płynęliśmy na przemiany raz ściśniętem korytem rzeki, to znów po szerokiej powierzchni jeziora, otoczonego wieńcem zieleni. Bogactwo życia roślinnego i zwierzęcego wzrastało co chwila, czuć było wyraźnie powiew zwrotnikowy. Trzcina cukrowa dziko rosła na brzegu, drzewa coraz większych dobiegały rozmiarów. Piękne kwiaty modre i różowe kołysały się na wysmukłych łodygach, a białe lilje i olbrzymie wodne rośliny jaśniały jak pochodnie na tle ciemno-zielonych sklepień. Roje małych zielonych papużek, przelatały z drzewa na drzewo. Dzikie indyki, większe od naszych, chodziły nad brzegiem wody, a ładne wodne ptastwo okrażało nas w koło. Aligatory podwójnym szeregiem otoczyły nasz statek, ryby podskakiwały w górę, nie wiem — z radości czy trwogi. Wspaniała to była żegluga.

Jeden z towarzyszków podróży niszczył jednak ogólną harmonję, strzelając bezustanku do aligatorów i wodnego ptastwa, bez najmniejszego dla nikogo pożytku. Opanowała go wyraźna chęć morderstwa. Smutno mi było patrzeć na biedne ptaki, jak trzepotały skrzydłami, wpośród trzciny. Ośmielona w końcu, prosiłam zapalczywego strzelca, aby dał pokój niewczesnej zabawie. Uśmiechnął się, ale strzelał na nowo.

Spędziłam cały dzień na pokładzie, rozmawiając z towarzyszami i czytając zajmujący dziennik Krzysztofa Kolumba, który pisał podczas pierwszej żeglugi, wśród czarodziejskich wysp Nowego Świata.

Wczoraj wieczorem wpłynęliśmy na jezioro Munroe, główny cel naszej podróży. Dalej ustaje wszelka żegluga.

Wylądowaliśmy blisko osady zwanej Entrepyrzą. Niedaleko stąd jest forteca Melun, którą zbudowano aby się uchronić od częstych napadów indyan. Para małżonków, o których wspomniałam powyżej, z trojgiem dzieci wysiadła na brzegu, pożegnałam ich serdecznie, życząc im trwałego szczęścia.

Mrok zapadł ciemny, gdy dochodzili do skromnego domku, który stał nieco opodal nad jeziorem. Znikli mi z oczu, ale niebawem błysło światelko w oknie. Patrzałam długo w tę stronę, siedząc na pokładzie statku. Jezioro gładkie było jak zwierciadło, wieniec mirtowy otaczał je wokoło. Muszki świecące przelatwały jak gwiazdy, ryby pluskiem poruszały wodę. Ptastwo śpiewało wieczorne pieśni, aligatory przywtarzały im basem. Murzyni z naszego statku wygrywali duet na skrzypkach i flecie, na wesołą i żartobliwą nutę. Noc zapadała coraz czarniejsza, a ognisko w chacie naszych osadników coraz jaśniej polyskało. Chmury gdzieś tam gdzieś przebiegały po niebie. Wiatr ustał, uroczysta cisza zaległa okolicę, światło zagasło w chacie, tylko ptaki nocne kwiliły w ciemnej puszczy; tylko ja bezsennem okiem patrzałam na uśpioną ziemię Bożą.

Później.

Murzyni z rozkazu kapitana łowili ryby w jeziorze. Odbili łódką od brzegu, zarzucili sieć, wyciągnęli ją w tej-że chwili i w kilka minut podano nam wyborny półmisek ryb, podobnych do naszych fląder. Dotąd jeszcze rybacy nie zamieszkali nad jeziorem, to też ryby aż się roją pod wodą.

Dziś po południu zabieramy się do odwrotu. Nie posunę się dalej na południe Florydy, ale tu już poznałam dokładnie charakter tego kraju. Wszędzie niski jest i bagnisty, poprzecinany sosnowemi lasami. Część puszczy zwana Everglades, zadziwia, jak mówią, cudowną roślinnością. Sławny naturalista Agassis, ujrawszy ją po raz pierwszy, złożył ręce zdjęty uwielbieniem, na widok nieznanych mu cudów. Ku zatoce Meksykańskiej płaszczyna zniża się coraz bardziej. Tam wśród puszczy zarosłych żywicznemi sosnami mieszkają indyane Seminole i Creosy; stąd też niebezpiecznie odwiedzać te strony. Zapewniają, że na południowym brzegu Florydy mogą się utrzymać palmy kokosowe i banany.

Plantacya Orteza (Floryda) 23-go Maja.

Znowu jestem na stałym lądzie moja Agato, w plantacyi kukurydzy, należącej do krewnego Mac Intoshów i używam miłego wypoczynku u gościnnego ogniska.

Nie mało drobnych przykrości użyliśmy w żegludze wracając od jeziora Munroe. Dokuczył nam przedewszystkiem zupełny brak wody, szczęściem, spostrzegliśmy

w puszczy mnóstwo dzikich pomarańcz. Grzeczny kapitan kazał przybić do lądu, murzyni wycięli ścieżkę toporami. Za potrząśnięciem drzew pomarańcze jak grad leciały na ziemię, niektóre z nich wielkie były jak głowa dziecka. Kazałam obciąć kilka długich i prostych gałęzi z których amerykanie piękne wyrabiają łaski. Zawiozę je do Szwecyi w upominku. W nocy trapiły nas okropnie muchy i jadowite owady, w dzień upał i dym z paropływu. Raz nawet pożar wybuchnął na statku, ale go niebawem ugaszono.

Panna Dix opuściła nas w drodze. Udała się do miasta St. Augustin, posuniętego najbardziej na południe w Stanach Zjednoczonych. Chciała zwiedzić dobroczynne tamtejsze zakłady i więzienia. Gdziekolwiek panna Dix się pojawi, wszędzie rozsiewa pomoc i wsparcie, jakby rosę z nieba, wszędzie niesie ratunek, ociera łzy, rzuca ziarno duchowego pocieszenia. Miała ze sobą mnóstwo małych książeczek z obrazkami dla dzieci, biblję dla starszych, serce i słowo dla wszystkich bez wyjątku.

Miasto St. Augustin założone przez hiszpanów, należy do starożytnych miast amerykańskich. Domy świadczą dotąd o hiszpańskim jego pochodzeniu. Upadło bardzo w ostatnich czasach, zwłaszcza gdy mróz poniszczył piękne plantacye pomarańcz, które stanowiły główną gałąź tutejszego handlu. Dziś miasto St. Augustin stało się główną ostoją chorych, którzy podczas zimy tłumnie tu przybywają, aby odetchnąć ciepłem morskiem powietrzem. Klimat nierównie tu zdrowszy niż w Nowym Orleanie. Floryda w 1819 roku przeszła od hiszpanów do związku Stanów Zjednoczonych, kraj to nieludny z powodu wielkiej wilgoci, mnóstwa jezior i bagien. Stolicą Florydy jest

miasto Tallihassée, położone wśród pięknych plantacyj i ogrodów.

Dobrze nam bardzo w tym gościnnym domu, lubo ciężki smutek krąży nad nim w tej chwili. Cóрка pani domu, zamężna od roku, umarła właśnie niedawno, osierociwszy matkę, młodego męża i maleńkie dziecko. Zabawimy tu parę dni oczekując na parowy statek, który poniesie nas do plantacyi pana Kooper, blisko Darika. ztamtąd powrócimy do Sawanah.

Plantacya, w której jesteśmy obecnie, bardzo piaszczysta, a więc nie wesoła. Są jednak piękne magnolje okryte kwiatem w tej chwili. Codzień przed wieczorem przechadzam się sama słuchając hasła grzechotnika, który jest tak grzeczny, że naprzód zapowiada swoje odwiedziyny. Dotąd jednak nie spotkałam jeszcze żadnego, lubo, jak mówią. Floryda bardzo w nie obfituje. Za to widziałam kilku zabitych; dziś właśnie murzyn przyciągnął jednego niepospolitej wielkości. Darowano mi jego grzechotkę o czternastu pierścieniach; zabiorę ją do Szwecyi. W zeszłym roku grzechotnik ukąsił w nogę tutejszego murzyna, trzeba było odjąć ją, mimo najtroskliwszych środków, jakich poprzednio użyto.

W ładnym domku na ustroniu mieszka stara murzynka, która wykarmiła właściciela tej plantacyi. Otoczono ją wielką miłością i staraniem, nie zbywa jej na niczem, ma nawet bujające krzesło w swej izdebce. Dzieci i wnuki pana domu odwiedzają codziennie jej siedzibę. Miała sama kilkoro dzieci, ale bardziej nad nie, kocha przybraną białą rodzinę. W ogólności przywiązanie mamek czarnych do dzieci które wykarmiły, zasługuje na uwagę. Nawzajem też dzieci dorosłszy odplacają hojnie ich poświęcenie miłością i staraniem.

Wyspa Saint-Simon 27-go Maja.

Jestem w tej chwili na wyspie pomiędzy odnogą rzeki Altamaha i oceanem Atlantyckim, u rodziny Kooper, w pośród ogrodów i gajów oliwnych. Tu rodzina chroni się zazwyczaj w lecie, podczas gdy febra zaczyna trapić wielką plantację Darien, miejsce jej zwykłego zamieszkania.

Pan Kooper, właściciel najbogatszych plantacji w Stanach Zjednoczonych, ma dwa tysiące murzynów, których używa do uprawy bawełny i ryżu. Słynie on w kraju z wyrozumiałego i ludzkiego obojętności z niewolnikami. Jest to przytem człowiek wysoko wykształcony, uprzejmy, prawdziwy dykeyonarz w każdym niemal rodzaju wiadomości. Oddaje się z zamiłowaniem naukom przyrodzonym, posiada piękny zbiór surowych produktów Ameryki. Słowa jego dzisiejsze gdy mi tłumaczył formację gór, obznajmiły mnie dokładnie z geologią tej części świata.

Sześć córek i dwóch synów zdobi to piękne ognisko. Pani Kooper, miła i wesoła kobieta, po macierzyńsku pielegnuje swoją liczną rodzinę.

Charleston 3-go Czerwca.

Spoczywam chwilowo w domu dobrej pani Howland po trzytygodniowym znużeniu. Cieszę się jednak, że poznałam piękną Florydę.

Zabawię jeszcze tydzień w Charleston, unuszę bowiem odnowić moją garderobę przy pomocy pani Howland. Więcej tu o tem myślę niż w domu, czuję bowiem, że re-

prezentuję Szwecję; powinnam zatem przedstawiać się ludziom przyzwoicie. Dla tego noszę zawsze suknię czarną jedwabną, z taką samą mantylą ozdobioną koronkami. Strój to wcale nie wyszukany, ale poważny, a nawet piękny.

Puszczę się ztąd przez góry północnej Karoliny i Georgji, naprzód do Genessée, a potem do Wirginji, gdzie zabawię czas jakiś, chcąc dobrze obznajmić się z miejscowością. Nadzwyczaj tu gorąco w tym czasie, aż siły odstepują. Mam wiele do czynienia, a jednak kołyszę się tylko w mojem krześle, niezdolna do niczego.

Roślinność w tych stronach doszła obecnie do najwyższego rozkwitu. Lasy rozsiewają daleko woń uroczą, w ogrodach kwitną róże i pomarańcze, figi uginają się pod bujnym owocem. Ludzie używają tych darów, ale wyczerpani zupełnie na siłach. Kobiety wybladły od znużenia, wieczorami tylko można używać swobodnej przechadzki.

11-go Czerwca.

Jutro porzucam na zawsze tę złą i miłą rodzinę, z którą tyle przyjemnych chwil przeżyłam, która mi dała tyle dowodów współczucia.

W sobotę wieczór byłam na targu murzyńskim, gdzie niewolnicy z okolic sprzedawali z wielkim bałasem swoje drobne wyroby, koszyczki, plecionki i t. d. Scena była bardzo ożywiona. Potem zwiedziłam parę murzyńskich szkółek i wielki ementarz w Charlestonie, zwany Magnolją.

Co do murzyńskich szkółek, są one dwoiste: pierwsze dla wolnych murzynów, urządzone zupełnie tak samo,

jak i dla białych dzieci. Widziałam w nich działość różnokolorową. Niektóre twarzyczki czarne były jak heban, inne mocno śniade. Są tu także drugie szkółki dla dzieci niewolników, utrzymywane potajemnie, gdyż prawo nie pozwala aby poddani murzyni umieli czytać i pisać. Z wielką trudnością zatem dostałam się do tajemnej izdebki, gdzie było kilkoro dziatek, półdzikich jak domowe bydłatka. Przełożeni usiłowali zrobić z nich rozumne i myślące istoty.

Cmentarz Magnolia prawdziwą stanowi ozdobę Charlestonu. Z trzech stron otacza go pyszny gaj magnolji i cedrów. z czwartej widać błękitne morze, pokopano tu kanały dla osuszenia gruntu, przez co potworzyły się małeńkie wysepki i półwyspy w miniaturze, co się nie mało przyczynia do ozdobienia tego miejsca spoczynku i śmierci.

Na tym nowym cmentarzu dwa tylko widziałam pomniki, ale do każdego z nich przywiązana smutna lecz zajmująca przygoda, opowiem ci obie w krótkości.

Pod jednym leży młoda dziewczyna jedynaczka. Zdarzyło się, że raz potarła przez nieuwagę oko, dotknąwszy się wprzód jadowitego zieleń, zwanego tu „Cieniem śmierci“ (*solanum nigrum*). Oko zatrute wypłynęło wkrótce, co więcej, jad przeszedł w krew dziewczynki. Wiedła pomału, aż nakoniec po dwóch latach cierpienia umarła z prawdziwie religijnem poddaniem, cierpliwością i słodyczą. W chorobie zjednała sobie serca wszystkich i stała się przedmiotem powszechnego zajęcia.

Drugi pomnik stoi na grobie młodziana, młodego oficera, który walczył w wojnie meksykańskiej. Raz siedząc u stołu z kolegami otrzymał rozkaz, aby się w tej chwili stawiał przed pułkownikiem. „Niech mnie djabli porwą jeżeli pójde“, zawołał niecierpliwie młodzieniec,

a jednak poszedł na drugie wezwanie. Powtórzono niebaczne słowa pułkownikowi, który za karę kazał aresztować młodego oficera i zakneblować mu usta dla przykładu. Zanim wymierzono karę, młodzian poprzysiągł sobie, że nie weźmie do ust najmniejszego posiłku, nie chcąc przeżyć wyrządzonej mu zniewagi. „Nikt mi przynajmniej wyrzucać nie będzie, że nosił knebel w ustach” — wyrzekł z oburzeniem. I dotrzymał słowa. W kilka dni potem umarł z głodu. Matka zmarłego nie chciała poszukiwać zemsty. Czyliż zemsta powróci mi syna? — mówiła ze łzami do przyjaciół.

Jutro puszczam się morzem, ale tylko na dwadzieścia cztery godzin. Wyląduję w Karolinie północnej, a potem ruszę lądem do Wirginji.

XXXVII.

Richmond 16-go Czerwca.

Pozdrawiam cię droga sestro ze stolicy Wirginji. Powracam z parku, gdzie przypatrywałam się zdaleka pięknej rzece St. James, płynącej doliną pod miastem.

Rzeki stanowią rzeczywiste bogactwo Ameryki północnej. We wszystkich bowiem kierunkach przecinają kraj jakby żywotne arterye, przejmując w łono swoje mnóstwo pomniejszych rzeczek, potoków i strumieni.

Pożegnałam panią Howland z głębokim żalem, dwunastego czerwca opuściłam Charleston. Po całonocnej żegludze, przy cudownym blasku księżyca, wysiadłam na

ład nazajutrz z rana i koleją żelazną przebiegłam Karolinę północną, kraj płaski, pełen sosnowych lasów, z kąd go zowią krajem smoły i terpentyny. Mieszkańcy jego słyną z rzetelności i prostoty obyczajów. Wieczorem nocowałam na granicy Wirginji, a dziś rano przybyłam do stołecznego miasta Richmond, położonego pięknie nad rzeką St. James, obejmującego do trzydziestu tysięcy ludności.

18-go Czerwca.

Od wczoraj przyjmuję mnóstwo odwiedzin i przyjacielskich zaprosin. Między innemi wezwano mnie na wieś w okolice miasta; przyjechałam zaprosiny bez namysłu, gdyż pani Lée wdowa i jej córka, które pragną mieć mnie u siebie, nadzwyczaj mi się podobały.

Pani Van Lée obwiozła mnie w koło miasta. Widziałam wielki cmentarz, podobny raczej do parku, o pięknych wzgórzach i dolinach, widziałam zbliżka wspaniałą rzekę St. James, która biegnie węzłem po zielonej dolinie, zasianej wzgórzami.

Potem poszliśmy do ogromnej fabryki tytoniu, gdyż ciekawa byłam widzieć zakład, gdzie się przerabia najgłówniejszy produkt Wirginji. Tu słyszałam przynajmniej stu murzynów, jak śpiewali chórem religijne hymny, podczas pracy. Nic piękniejszego nad ten śpiew połączony. Bóg nagradzając tym biednym istotom ich poniżenie, uczcił im daru pieśni, aby skracali nim długie godziny niewoli! Życie bowiem w fabryce tabaki jest bardzo uciążliwe. Zwijać liście tytoniu dosyć wprawdzie łatwo, ale za to nadzwyczaj ciężko tłoczyć je w prasę za pomocą ręcz-

nej śruby. Murzyni też ulegają tu często piersiowym chorobom i wielu z nich umiera młodo. Przykry wyziew i nieporządek zwyczajny w fabryce tabaki, zabójczo także działa na zdrowie. Praca kończy się o godzinie szóstej wieczorem, resztę dnia robotnicy spoczywają. Ponieważ godzina spoczynku nadchodziła, murzyni kończąc pieśń powtarzali chórem: „Alleluja, Amen.“ Smutna to była pieśń, smutni i robotnicy, panna Van Lee płakała rzewnie.

Gdym wychodziła z fabryki, właściciel jej ofiarował mi wielką paczkę, zgadnij czego? Oto tabaki do przeżuwania, przyjąłam dar z wdzięcznością, bo lubo sama korzystać z niego nie będę, znam przyjaciół w Szwecyi, którzy go nieodrzucają.

Wieczorem zaproszono mnie na bal, gdzie miało być kilkaset osób z pierwszego towarzystwa w Richemond. Bal dawał bogaty właściciel plantacyi, znany z okrucieństwa względem murzynów. Jego niewolnicy, jak mi mówiono, umierali z głodu po drodze.

Do takiego to człowieka świat piękny garnął się tłumnie; opinja powszechna nie wycisnęła na nim piętna hańby. Nie wiadomo czy ogromne bogactwa, czy dobroć żony i córki zasłaniały go chwilowo przed ohydą. Co do mnie, nie poszłam wcale na bal, mimo zaproszenia.

Widziałam w Kapitolu piękny posąg Washingtona, roboty rzeźbiarza francuzkiego Houdon. Nie pamiętam czym kiedy napotkała lepiej zidealizowaną rzeczywistość codziennego życia. Był to Washington, prezydent, z wydatnym podbródkiem, trochę sztywny, w staroświeckim ubraniu, prawdziwy typ Nowego świata, a do tego człowiek szlachetnego umysłu, świadomy sam siebie, ideał wewnętrznej równowagi i harmonji, pewien swej drogi i celu, gotów wytrwać do końca, uciekający się jedynie po

mądrą radę do Boskiego doradcy. Pomnik przedstawia Washingtona, w chwili gdy zawiesił miecz na słupie i stoi koło pługa, pełen siebie, bez wahania, bez pychy. Wzrokiem sięga w daleką przyszłość, prześliczny to posąg, za powrotem obejrzę go jeszcze, teraz uciekam z miasta.

Charlotte-ville 20-go Czerwca.

Jestem w domu współrodaka, pastora Sheele de Vere, który ożenił się tu z miluchną kobietką; oboje przyjęli mnie prawdziwie po bratersku. Śliczna to górzysta okolica, po jednej stronie łańcuch gór Błękitnych określa dolinę Wirginji, po drugiej sterczy pasmo gór Północnych, obadwa łańcuchy stanowią część gór Alleghany. Gmachy uniwersytetu zbudowane staraniem prezydenta Jeffersona, wspaniale się wznoszą wpośród wzgórków i dolin zasłanych wioskami. W tej żyznej okolicy brakuje tylko wody. Na najwyższym wzgórku panuje nad innemi piękna willa Jeffersona, zwana „Monticello.“ Ogromne ma drzewa i rozległy widok na pola i uniwersytet. Zwiedzałam „Monticello“ w towarzystwie moich nowych przyjaciół. Dom dziś pusty, upada widocznie, ale jego urządzenie dowodzi, że właściciel nie trzymał się republikańskiej prostoty. Salon wspaniale wyłożony mozajką, ale chłód jakiś powiewa do koła.

Jefferson był niedowiarkiem we względzie religijnym; w obyczajach nie trzymał się ściśle praw surowej moralności. Rysy jego tak na portretach, jak i w posągach wyrażają wielką siłę, ale zarazem i niepokój, znać w nich uporeczywą walkę, zresztą wyraz twarzy ożywiony

i wesoły. Na szerokiem czole nie ma tego szlachetnego spokoju który jaśnieje na czole Washingtona.

Wieczorem, widziałam wielu profesorów uniwersytetu z żonami. Niektórzy z nich bardzo mi się podobali. Ten uniwersytet słynie przed innemi gruntowną nauką i surowemi warunkami, jakich wymaga od uczniów. Młody człowiek, który posiada dyplom podpisany tutaj, może być pewien swej przyszłości, wszędzie bowiem otwartą ma drogę. Jest tu także zakład dla ubogiej a chciwej nauk młodzieży, w nim pewna część otrzymuje bezpłatnie pomieszczenie i życie, uczęszczając na kursa uniwersyteckie.

Gdy Jefferson założył uniwersytet, przepomniął w nim o czci religijnej. W całym gmachu nie było kościoła, ani kapłana. Amerykanie jednak po śmierci założyciela obrócili jedną z sal uniwersytetu na kościół, gdzie się odprawia nabożeństwo według obrzędu różnych sekt protestanckich. Uczniowie zgromadzają się na kazania i na wspólne modlitwy, a nawet własnym kosztem utrzymują predykanta.

Odjadę stąd dopiero po wielkim egzaminie i rozdaniu nagród, co nastąpi w czasie Zielonych świątek. Pragnę widzieć młodych synów Wirginji i kwiat tutejszego towarzystwa podczas tej uroczystości. Tymczasem odwiedzę góry Błękitne i piękną grootę Wejhera. Znalazłam w profesorze de Vere dobrego doradcę i przyjaciela.

Charlotte-ville 26-go Czerwca.

Powracam w tej chwili z wycieczki. Odbyłam ją wczoraj sama jedna, małym parokonnym powozikiem, murzyn Dawis powoził wybornie, a co więcej czuwał nade-

mną z wielką troskliwością. Wieczorem stanęliśmy u podnóża gór.

Nazajutrz o wschodzie słońca przebiegłam góry piechotą. Ranek był piękny ale chłodny, droga równa wiodła lasem pod górę; poczciwy murzyn szedł za mną i wskazywał mi co piękniejsze widoki, którym do zupełnej piękności brakło jedynie wody. Gdyśmy przybyli na wierzchołek góry, ujrzałam przed sobą całą dolinę Wirginji, okrążoną z przeciwnej strony łańcuchem gór północnych. Dolina śliczny przedstawiała krajobraz, zasiana cała kwitnącemi osadami, wpośród bujnych pastwisk i szerokich łąnów. Nie ma tu ani pysznych zamczysk, ani chat ubogich, domy Boże tylko odróżniają się kształtem od białych dworów rozrzuconych po dolinie.

Zstąpiłam z góry i odjechałam powozem do sławnej groty, u stóp której płynie wesola rzeczka Schenandoah. Dawis wraz z innym przewodnikiem szli przedemną, trzymając w ręku zapalone kagańce.

Wchodzi się w pieczarę przez maleńki otwór, trudno się zrazu precisnąć, ale to wynagradza hojnie widok wspaniałych sal podziemnych, które długim ciągną się szeregiem. Przez parę godzin przebiegłam najgłówniejsze. Stalaktyty tworzą tu dziwaczne kształty, jedne w festonach spadają poniżej sklepień, drugie mają postać organów, gotyckich wież i wodotrysków. Za uderzeniem ich, dźwięk głośny rozlega się po całej pieczarze. Dalej ciągną się galerie pełne potwornych postaci i ludzi i zwierząt, widziałam tam bohatera jak dobywa miecz z pochwy, mędrca zagłębianego w myślach i młodą matkę z dziećciem na ręku. Rzeźby można, iż życie skamieniało tu nagle, zanim z sennego przeczucia przeszło w rzeczywistość. Zimno było w tym podziemnym świecie, woda tylko spa-

dając po kropli, przypominała, że jest świat inny. świat życia i ruchu. Z trudnością też wychyliłam znów głowę, czerpnęłam w pierś ciepłego powietrza i powitałam słońko Boże!

Wieczorem używałam miłej przechadzki po nad rzeczką, na łące grabiono właśnie wonne siano, a w polu rozpoczęto żniwa. Złote kłosa podcinane kosą ostrą i szeroką, padały w grubych garściach na zagon. Mężczyźni sami pracują w polu, do nich należy wszelka zewnętrzna robota, nie wyłączając doju krów. Kobieta krząta się tylko w obrębie domowym. Mówię tu o białych kobietach, murzynki pracują zarówno z murzynami.

Wyszedłszy z grotu spotkałam pięknego starca, który siedział na murawie pod drzewem i czytał wielką księgę. Zaczęłam z nim rozmowę. Powiedział mi, że należy do sekty Zjednoczonych braci, zwanych także Nurkami (plongeurs).

Zgromadzenie braci Nurków odbyło się parę tygodni temu, koło jaskini Weihera. Dwustu ludzi o długich brodach, z długimi włosami, roztrząsało pospołu sprawy sekty. Radzili najdłużej nad ważnem pytaniem, czy jest grzechem zaprowadzać na domach konduktory? Po dwudniowych rozprawach stanęło na tem, że kto je zaprowadził, nie powinien ich niszczyć, w przeciwnym jednak razie lepiej powierzyć Bogu opatrzność opiekę nad domostwem. Nurki chrzczą nawzajem jedni drugich, zanurzając się w rzece, z kąd pochodzi zapewne ich nazwa. Przy powitaniu ściskają się starożytnym obyczajem i obmywają nogi przybyłemu gościowi. Trudnią się uprawą roli, w ogólności pomyślnego używają bytu; dobroczynni względem swoich, patrzą z uczuciem pychy na tak zwane dzieci świata.

Podczas gdy bawię w domu zanego współrodaka, oczekując na egzamin, czytam starożytną kronikę Wirginji i rysuję obrazki, które w niej znajduję. Po nad kolebką tego kraju poetyczne krąży podanie. Opowiem ci je w krótkich słowach; rysuję także dla ciebie portret bohaterki powieści, młodej indyaanki *Pokahuntas*.

Gdy żeglarze angielscy zwiedzili po raz pierwszy wschodnie brzegi Ameryki północnej, za panowania Elżbiety, takie rozpowiadali o nich cuda, że królowa nadała nowo odkrytej ziemi, nazwę Wirginja, dziewica, nazwę której sama używała zazwyczaj.

Awanturnicy angielscy wprzód jeszcze przedarli się w strony południowej Wirginji poszukując złota; wielu z nich nędznie zginęło skutkiem niewłaściwego klimatu i innych rozlicznych przygód. John Smith, awanturnik dumny, zuchwały i przedsiębiorczy, założył osadę nad rzeką Saint-James i zbudował nawet miasto, które nazwał Jamestown. W miejscu gdzie jest dziś stolica Wirginji, Richemond, mieszkał nad rzeką Powhatan potężny wódz indyjski, którego zwano także Cesarzem. Mnogie pokolenia indyjskie, podwładne jego rządowi, koczowały tu i owdzie po kraju i uprawiały rolę. Gdy John Smith usiłował przedrzeć się dalej wzdłuż rzeki Saint-James, musiał nie jedną bójkę stoczyć z indyanami. Wielu z towarzyszków jego poległo, on sam dostał się do niewoli. Nie pierwszy to raz podobna spotkała go przygoda. Niegdyś podczas awanturniczej wyprawy po Europie, Azji i Afryce pojmano go i sprzedano w niewolę turecką. Znał więc niebezpieczeństwo i umiał stawić mu dzielnie czoło. Spokojny pomiędzy indyanami, których okrucieństwo znał dokładnie, pragnął otumanić ich, okazując dowody głębokiej nauki i rozległych wiadomości. Igłą magnesową

zwrócił naprzód ogólną uwagę i głośnie ściągnął poklaski. Oprowadzano go od jednego pokolenia do drugiego i uważano za czarodzieja. Sam cesarz Powhatan miał stanowczo rozrządzić jego losem. Podczas gdy cesarz naradzał się z naczelnikami pokoleń, co czynić z nieznanym cudzoziemcem, John Smith robił bojowe toporki dla cesarza i naszyjniki z pereł dla młodej jego córki, dwunasto-letniej księżniczki Pokahuntas. Przechodziła ona pięknoscą wszystkie młode indyanki, to też lud nazwał ją „Niezrównaną,“ była nią bowiem tak pod względem ciała, jak i duszy. Cesarz i naczelnicy pokoleń skazali Smitha na śmierć; miano go poświęcić w ofierze bogom i głowę jego rozbić maczugą.

Czyniono przygotowania jak do uczty. Pozapalano ogniska przed bałwanami bogów. Powhatan zasiadł na tronie, orszak wojowników otoczył go w koło. Przyprowadzono Smitha, położono na ziemi, głowę jego oparto o kamień. Kaci podnieśli maczugi, gdy nagle córka cesarska, mała Pokahuntas przybiegła do Smitha, otoczyła go rękoma, głowę swoją utuliła na jego głowie. Maczugi rozbijając głowę Smitha, musiałyby rozbić głowę młodej księżniczki. Daremne groźby i przedstawienia. Dziecię nie chciało odjąć opiekuńczych rąk od szyi nieszczęśliwego. Widok taki przeniknął w końcu serce Powhatana i jego wojowników. Dzięki młodziuchnej księżniczce Smith ocalał, wodzowie pokoleń zawarli z nim przymierze i pozwolili mu bezpiecznie powrócić do swoich.

Nieufność jednak panowała pomiędzy anglikami i indyanami. Dziecy szukali pierwszej sposobności aby zaczepić anglików. Ale Pokahuntas była ciągle opiekuńczym aniołem Smitha. Raz gdy głód wielki dokuczył anglikom, przysłała im wiele zboża i żywności, drugi raz w ciemną

noc, sama pobiegła lasem do obozu, blada, z rozwianemi włosami, ostrzegając, że indyanie gotują się do napadci.

W kilka lat potem piękność Pokahuntę rozkwitła w całym blasku. Stary jakiś awanturnik ułudzony wdziękami księżniczki, porwał ją z ojcowskiego namiotu. Ale szlachetny i młody anglik, nazwiskiem Rolfe, stanął walecznie w jej obronie. Zdało mu się, że słyszy ciągle, nawet we śnie, tajemniczy głos, który mu nakazuje, aby nawrócił młodą indyankę do chrześcijańskiej wiary i pojął ją w małżeństwo, aby ślepej ukazał ścieżkę żywota. Rolfe długo walczył sam z sobą, uległ nakoniec sile tajemniczego głosu. Pozyskał ufność indyanki i został jej mistrzem. Pokahunta skłoniła ucho ku słowom młodziana i wkrótce potem przyjęła chrzest święty w małym kościółku w Jamestown, którego sklepienia wspierały się na pniach nieociosanych sosen. Wkrótce potem obchodził zaślubiny z nawróconą indyanką z wiedzą i przyzwoleniem cesarza Powhatana i jego rodziny. Stryj młodej dziewczycy, wódz Opachisco, poprowadził ją do ołtarza. Wszyscy, anglicy nawet, przyklasnęli temu związkowi, a Rolfe w roku 1616 popłynął do Anglii z młodą żoną, którą przedstawił u dworu, pod nazwiskiem lady Rebeki. Indyanka zachwycała wszystkich pięknnością i dziecięcą prostotą, przytem wyborną była żoną i matką jedyne go syna. Ale młodzi małżonkowie krótko tak pełnego kosztowali szczęścia; klimat Europy szkodził młodej amerykance, która umarła w Anglii w dwudziestym drugim roku życia. Syn jej zamieszkał w Wirginji. Dotąd żyją potomkowie tego rodu, chlubi, iż pochodzą od pięknej indyanki Pokahuntę. Nie dziwię się temu, wspomnienie jej świeci prawdziwie czystym blaskiem.

Portret młodej indyanki przedstawia ją w stroju wielkich dam z czasów Elżbiety. Plecionki z twardych włosów, spadające na piękne lica, świadczą o indyjskiem jej pochodzeniu. W rysach panuje wyraz dobroci i niewinnej prostoty.

Portret Smitha, który przerysowałam także, wyobraża śmiałego wojownika z gęstą i długą brodą. Wiele tu krąży podań o rozlicznych jego przygodach.

Richemond 1-go Lipca.

Wróciłam już do stolicy Wirginji. Mieszkam na przedmieściu w ładnym domku letnim nad rzeką, u pani Van Lée, która podjęła mnie prawdziwie po bratersku.

Wczoraj opuściłam dom państwa Vere w Charloten-ville. Uroczystość uniwersytecka odbyła się w zeszłą sobotę przy liczmem zgromadzeniu. Rozdano dyplomy, uczniowie mieli pożegnalne rozprawy. Jedna z nich, w której młody Brown dotknął ważnego przedmiotu niewolnictwa, nadzwyczaj mnie zajęła. Uważałam, że amerykanie uprzedzeni w tym względzie, obojętnie słowa jego przyjęli. Co do mnie, zazdrościłam matce młodziana!

Napatrzyłam się do woli na ładne amerykanki. Rzadko tu można spotkać doskonałą piękność, ale za to wszystkie prawie ładne i przystojne, nie zobaczysz prawie brzydkiej pomiędzy niemi. Mężczyźni w ogóle wysocy i kształni. Amerykanie nie mają wydatnego typu, jak naprzykład anglicy, irlandczycy, francuzi, hiszpanie, Niemcy itd., żadne wyraźne piętno nie nadaje im własnego charakteru. Wszyscy w ogóle, tak mężczyźni jak i kobiety, mają twarze owalne, nosy proste, kształtne, nie zdarzyło mi się

spotkać u nikogo nosa jak kartofel, których nie brak pomiędzy nami, czego i ja dowodem. Włosy i oczy jasne należą tu do wielkich osobliwości.

3-go Lipca.

Zwiedziłam dziś z obywatelem tutejszym, niemcem, więzienia murzynów. W jednym z nich siedział ponury jak sęp, wysoki murzyn z obwiązaną ręką. Zapytałam czy chory? „Bynajmniej—odpowiedział dozorca — ale to wielkie ładaco. Pan jego, który mieszka niedaleko ztąd nad rzeką, odłączył go od żony i dziecka za karę i umyślił sprzedać go do Południowych Stanów. I cóż on zrobił? Oto przez zemstę nad panem, uciął sobie palec u prawej ręki, aby odstręczyć kupca.“

Zbliżyłam się do murzyna, który wcale nie miłą miał postać i zapytałam: „Czy jesteś chrześcijanin?“—„Nie“—odpowiedział sucho. „Czy słyszałeś przynajmniej o Chrystusie?“—„Nie, nigdy.“—„Szkoda—rzekłam—gdybyś słyszał o nim, nie popełniłbyś tego czynu. On cię i tak nie opuści — dodałam. Ten co wyrzekł do ludzi: „Chodźcie do mnie wszyscy którzy obciążeni jesteście,“ ten i ciebie ukrzepi i pocieszy.

Murzyn słuchał z razu ponuro, zwolna jednak twarz jego nabierała wyrazu. Znać dusza jego przepełniona gorczą, gotowa była otworzyć się na miłosierne słowo. Promyk słońca oświecał ściany więzienia, w którym siedział murzyn okuty w kajdany, ale żaden chrześcijanin nie przyszedł powiedzieć mu o Bogu.

Stany południowe, mają, jak twierdzą, ducha chrześcijańskiego, wysyłają misjonarzy do Chin i do Afryki,

ale więźniów swoich pozostawiają w ciemnocie. Czegożby tu nie dokonały kobiety? Wszakże sama słyszałam, jak niektóre chlubiły się, że są amerykankami, że pochodzą z Wirginji, ojezyny Washingtona!

W domu w którym jestem, stosunek z murzynami bardzo jest przykładowy. Uważałam u kilku z nich wysokie muzykalne zdolności, jeden zwłaszcza, młody murzynek, który podczas obiadu odgania muchy wielkim piórem, przyspiewuje sobie do taktu prześliczną piosenkę.

Przeczytałam do końca dzieło Bankrofta. historię Stanów Zjednoczonych. Na ostatniej stronie tego tomu znalazłam śliczny obraz Washingtona, który powtarzam tu dosłownie:

„W chwili, gdy kongres akwizgrański zapewnił stały pokój światu, w chwili gdy potężni władzcy ziemi podpisali traktat uroczyste, wtedy właśnie wzrastał pod cieniem lasów Wirginji, syn wdowy, młody Washington, urodzony nad brzegiem potoku, pod dachem ubogiego dzierżawcy z Westmoreland. W dziecinnych latach odumarł go ojciec, żaden uniwersytet nie dał mu uchrony, żadna szkoła nie ozdobiła go wieńcem, nauka jego nie sięgała daleko, umiał tylko czytać pisać i rachować. W szesnastym roku, pracując z wielkim mozolem na życie, pisał te słowa do przyjaciela szkolnego: „drogi Ryszardzie, zarabiam dziennie sześć pistoli.“ Sam sobie jeść gotował, rzadko kiedy sypiał w łóżku, skóra niedźwiedzia była mu pościelą, garstka siana potrząśnięta przy ognisku, przechodziła wszelkie jego życzenia. Błądził po górach Aleghany, wzdłuż rzeki Shenadoah, przyglądał się z upodobaniem pięknym drzewom i żywej okolicy, lub też obchodził koczowiska indyan, pokryte grubymi skórami. Przebiegał puszcze w towarzystwie nieumiejętnych pro-

staczków z bussolą w ręku i łańcuchem mierniczym, jakaż to różnica od wspaniałego dworu w Akwizgranie. A jednak Bóg nie wybrał Kaunitza, ani Newkastla, ani księcia z rodu Habsburgów, ale wybrał ubogiego młodziana z Wirginji, aby dał nowy popęd sprawom ludzkim, jemu powierzył los milionów.“

Gdy wielki mąż dokonał swego dzieła, gdy wywalczył niepodległość Ameryki, wtedy uwieńczył chwalebny żywot, wyzwolił swych murzynów i zapewnił im byt niepodległy.

Długoż jeszcze Wirginja nie pójdzie w ślady najszlachetniejszego ze swych synów?

XXXVIII.

Filadelfia 14-go Lipca.

Od ostatniego listu mego nie jedną zrobiłam wycieczkę, nie jednej doświadczyłam przygody, wszystko ci zatem po kolei opiszę. W niedzielę ostatnią pożegnałam nowych przyjaciół moich w Richemond i puściłam się rzeką Saint James, aż do miasta Baltimore. Dzień był nadzwyczaj skwarny, trudno było odetchnąć, a jednak brzegi wydawały mi się bardzo piękne. Nie dziwi mnie wcale, że pierwsi europejczycy którzy je zwiedzili, uważali kraj ten za raj ziemski.

Zwaliśka pierwszego kościoła w Jamestown czerwieniły się w zaroślach po nad rzeką.

Upał trwał całą noc bez przerwy, chociaż byliśmy na pełnem morzu. Kilka zaledwie kobiet siedziało w salonie. Dwie sędziwe matrony rozmawiały o różnych przygodach życia, o przyjaciółach i znajomych, pomiędzy innymi o jakimś bezbożniku, który na łożu śmierci nie chciał rzucić okiem w przeszłość, nie ukorzył się Bogu. Czyniły różne uwagi w tym względzie, a w ich postaci odbijała słodycz i powaga. Trzy młode dziewczeczki od dwunastu do piętnastu lat, biegały przez ten czas jak małe zrebriątka wypuszczone na łąkę. Dwie matrony zmierzyły je okiem.

— Jakież wy roztrzepane dzieci — rzekła jedna napominając je łagodnie.

— Niech sobie używają swobody — przerwała druga łagodniej jeszcze, życie poskromi je niedługo.

Przybyłam rano do Baltimore, wkrótce potem wsia-
dłam na kolej, do Harper. Tyle mi mówiono o piękności tego miejsca, że pragnęłam poznać koniecznie ten uroczy kwiat Wirginji.

Kolej żelazna idzie tworząc mnogie zagięcia wzdłuż małej rzeczki, wpośród zielonych zarośli. Pędziliśmy jak strzała, mniemałam co chwila, że wpadniemy w wodę, szczęśliwie jednak dojechaliśmy do miasta Harper. Zostałam tam trzy dni sama jedna, nieznana. Używałam w całej swobodzie miłej przechadzki po górach i parowach. Miejsce to przypominało mi górzystą część Dalekarlii. Wesoła rzeczka Shenandoak łączy się tu z poważnym Potomakiem i tworzą razem wielką rzekę Potomak, która płynie ztąd do Washingtonu, a ztamtąd zawraca ku Oceanowi.

Głębiej wśród doliny jest wielka fabryka broni, gdzie panuje ruch nieustanny. Na pochyłości wzgórza mnóst-

wo widać kamiennych domków, zupełnie do siebie podobnych.

„My tu wszyscy równi“ — mówiła do mnie młoda kobieta, w której domu spoczęłam chwilę. Siedziałyśmy w pokoju niewielkim, ale urządzonym wygodnie, a nawet ładnie. Młoda kobieta piastowała ślicznego chłopczyka na rękę, a jednak nie była szczęśliwa, znać to było od razu. Słodki ale smutny wyraz twarzy zapowiadał, że domowe szczęście nie gościło w ich progach. W innym domu poznałam kobietę w wieku, której rysy nosiły ślad głębokiej boleści. Straciła męża, a z nim całą pociechę życia, mówiła o nim z tak głębokim żalem, że musiałam z nią zapłakać.

Podczas pięknych wieczorów letnich drzwi owych domków zwykle bywają otwarte, a kobiety siedzą przed sienią z dziećmi. Zawijałam naprzód znajomość z dziećmi, a następnie i z matkami.

Wszyscy w okolicy równe posiadali mienie, a jednak pod względem wewnętrznych darów odwieczna panowała nierówność.

Trzeciego dnia pobytu mego w mieście dowiedziano się kto jestem, otrzymałam kilka zaproszeń, ale dla bólu zębów i znużenia nie mogłam wyjść z hotelu.

Wyjechałam z Harper do Filadelfji w piękny letni poranek, ale nieustanne przesiadania z kolei żelaznej na statek i znów ze statku na kolej, strudziły mnie okropnie; zwłaszcza, że musiałam sama dźwigać moje rzeczy. Nie miałam nikogo znajomego, nieznanym trudzić nie chciałam, wreszcie byłam zdrowa i silna. Z żalem za to patrzałam na jakąś słabą kobiecinę, która ugiwała się pod ciężarem swego podróznego worka, gdy tymczasem ludzie barczyści jak dęby przechodzili obok niej z próżnemi rękami.

koma, żaden nie spojrzał na nią. „I gdzież tu owa sławiona grzeczność amerykańska pomyślałam w duchu.“ Rada byłabym szczerze przyjść w pomoc biedaczce, ale sama okropnie byłam obładowana, a do tego trzeba było pośpieszać, aby pociąg nie odszedł.

Wprawdzie amerykanie w ogólności nie zasługują na ten zarzut, ja sama wielokrotnie doznałam ich uprzejmej uczynności, ale dobrze mówi przysłowie: „nie ma reguły bez wyjątku.“

Dziwna rzecz jednak, że w Ameryce, gdzie tak wszystko obmyślane dobrze ku wygodzie podróżnych, nie ma na stacyach ludzi którzyby za opłatą przyjść mogli w pomoc słabszym, zwłaszcza kobietom.

Przyjemną miałam podróż w towarzystwie słabej, o której wspominałam dopiero. Słońce zaszło wspaniale, księżyc wypłynął na widnokrąg. Wieczorem spoczęłam w wygodnym domu państwa Townsend.

Siostra mojego gospodarza, Marya Townsend, anielska istota, którą w zeszłym roku widziałam o tej porze odzianą białą na łożu boleści, od kilku dni leży w ziemi pod staremi drzewami cmentarza. Śmierć jej równie pogodną była jak i życie, to też i w grobie obrócono ją twarzą ku wschodzącemu słońcu. Ta która z upodobaniem pisała o przemianie owadów, już rozwinęła skrzydła do lotu i ubiegła w górę. Poszłam wieczorem odwiedzić jej mogiłę w towarzystwie rozżalonego brata.

15-go Lipca.

Z prawdziwą przyjemnością byłam w akademji rysunku, założonej dla młodych dziewcząt w Filadelfji.

Wzorowy ten zakład rozwija się widocznie. Nie jedna papienka znajdzie tu prawdziwą przyjemność, połączoną z pożytkiem. Młode dziewczęta (ubogie bezpłatnie, bogatsze za małą opłatą), uczą się w tej akademji rysunku i malowania; układają desenie na jedwabne i bawełniane wyroby, na papierowe obicia, na litografje, robią drzeworyty i t. p., a tyle mają obstalunków, tak przytem wielkie czynią postępy, że w kilka lat zapewne zakład wystarczy sobie na własne utrzymanie.

Jest to ta sama szkoła, którą widziałam w zeszłym roku u pani Peter, żony konsula angielskiego. Gdy się rozwinęła stanowczo, przyłączono ją do instytutu Franklina i odtąd wzrasta o własnych siłach. „Pan Hart, wydawca „Magazynu“ mówił mi, że Stany Zjednoczone tyle potrzebują podobnego rodzaju prac do pism literackich i rękodzielni, że wszystkie kobiety z całego kraju ledwie by wystarczyć im mogły. W żadnej szkole nie widziałam nigdy tylu wesołych i ożywionych twarzy. Jedna z najzdolniejszych tutejszych artystek robiła dawniej suknie, dziś znalazła w sztuce utrzymanie dla siebie i rodziny.

Cieszę się z tej instytucyi która otwiera pole dla ubogich kobiet, rozwija uczucie piękności w dziewczętach i byt im na całe życie zapewnia. Takie zakłady byłyby wszędzie wielce pożądane. Zabieram ze sobą mnóstwo próbek i wszelkie potrzebne objaśnienia. Usiłujemy nieść pomoc starcom, niedołężnym i chorym, ale zarazem otwieramy młodym pole pracy i współzawodnictwa, wskazujemy im szlachetny cel życia, dajemy im możność rozwijania wrodzonych zdolności.

18-go lipca.

Doktór Edler, który mi towarzyszył do akademji rysunku, poprowadził mnie dziś do szkoły medycyny, urządzonej przed rokiem dla kobiet, która otwiera im drogę do tego chlubnego zawodu. Nim powstała ta szkoła, założyciele jej wielkie znaleźli zapory, ale dziś przełamali wszystko i dokonali swego. Wytrwałość i zdolność młodej amerykanki, sława jej u obcych, zapewniły byt szkole. Elżbieta Blackwell wychowawszy z niezmordowaną pracą kilka siostr młodszych od siebie, poświęciła się lekarskiemu zawodowi, pewna, że tym sposobem otworzy sobie i drugim kobietom pole do nowego działania. Na drodze swojej napotkała trudne do zwalczenia przeszkody, przesąd i złą wolę ogółu, ale przemogła wszystko wytrwałością, dozwolono jej uczyć się, przeszła stopnie w Genewie (w Stanach Nowego-Jorku), potem popłynęła do Europy i dokazała tyle, że ją przyjęto do szkoły medycyny w Paryżu. Dyrektor szkoły zatrwożył się posłyszawszy jej żądanie.

— Musisz się pani przebrać po męzku—rzekł—inaczej niepodobna.

— Nie zmienię nawet wstążki u kapelusza—odparła Elżbieta — czyni pan jak chcesz, ale świat będzie wiedział o twem postępowaniu. Widziałeś pan moje dyplomy, nie masz prawa odmawiać mi przyjęcia.

Doktór L. musiał uledeć. Godność w ułożeniu Elżbiety oraz głęboka jej nauka ocaliły ją przed lekceważeniem profesorów i uczniów. Uszanowano młodą kobietę, której jedyną strażą była prawdziwa godność i powaga. Z powszechnym poklaskiem zakończyła nauki w Paryżu, poczem

udała się do Londynu, gdzie zebrała nowe wieńce jako lekarz i chirurg. Ma w tym czasie powrócić do Ameryki i rozpocząć praktykę lekarską. Pan Edler chce żebym poznała tę młodą kobietę, którą ocenia wysoko.

Siedmdziesiąt uczennice instytutu używa obecnie wakacyj, ale nauki rozpoczną się wkrótce. Dobrze by było, gdyby instytut rozwijał zdolności kobiet w właściwym im kierunku. Wszakże w każdej sferze czy to życia czy nauki, sztuki czy przemysłu, jest pole wyłącznie przeznaczone dla kobiety, odpowiednie jej wrodzonej zdolności. Tak też i na polu medycyny powinny przedewszystkiem nieść ulgę kobietom i dzieciom; powinny ile możności łagodzić cierpienia, w tym względzie mogą zająć daleko, a instynkt serca postawiony obok nauki, będzie im przewodnikiem. Medycyna lepiej im przypada niżli chirurgja.

We wszystkich krajach i po wszystkie czasy, kobiety wspierane instynktem i doświadczeniem, zwykły prostemi środkami nieść ulgę bliźniemu w chorobie. Zakład naukowy powinien udoskonalić rozpoczęte przez naturę dzieło. Przeciwnie zaś, praca chirurgiczna, wymagająca wytrwałszych nauk, śmielszego działania, pewniejszej ręki, winna być wyłącznym udziałem mężczyzny.

20-go Lipea.

Smutny wypadek zatrzymał mnie tu jeszcze. W tydzień po śmierci Maryi Townsend, poszła za nią ukochana jej siostra. Pan Townsend który miał mi towarzyszyć do Nowego-Jorku, musiał pozostać tu dla pogrzebu. Obie dwie młode panienki, słabe na ciele, zdrowe były na duchu. Kochały się szczerze za życia, miło też im było za-

pewne połączyć się w grobie. Ale wielka pustka pozostała po nich u domowego ogniska. Ostatnia z nich miała śliczne widzenia w chwili śmierci. Siostra pojawiła się jej oczom i wzywała ją w świat nieskończonej chwały.

Pogrzeb odbył się według zwyczaju kwakrów, bez wystawnej uroczystości. Mężczyźni i kobiety przemawiali na przemiany w krótkich słowach, idąc za chwilowem natchnieniem. Rodzina i przyjaciele zebrali się w domu żałobnym, stara matka złamanym głosem wyrzekła te słowa: „Serce moje ciężkiej doznało boleści, ale Bóg spojrział na mnie okiem miłosierdzia.“

Wszystko co mówiła, płynęło z serca matki-chrześcijanki, pełnego miłości i poddania zarazem. „To mnie jedynie pociesza, dodała w końcu, że znam czystość i świątobliwość jej życia.“ Gdy matka umilkła, a obecni równie płakali, jedna z matron przemówiła słów kilka, potem starzec jakiś odezwał się jeszcze. Wszystko to po słowach matki wydało się czeze i bez znaczenia. Pojechaliśmy potem na cmentarz, burza z ulewą i grzmotem towarzyszyła nam w drodze. Ale gdyśmy wysiedli na miejscu, gdy złożono trumnę pod drzewami, słońce przebiło chmury, burza ustała, a krople wody lśniące od zachodzących promieni, jakby deszcz złoty, spadały z drzew na ziemię. To samo było, jak mówią, na pogrzebie Maryi. Obiedwie siostry leżą obok siebie w jednym grobie.

21-go Lipca.

Dziś odjeżdżam do Nowego-Jorku. Przez cały ciąg pobytu mego w Filadelfji, nic nie robiłam z powodu wielkiego upału. Po wczorajszym deszczu ziemia odświeżona,

powietrze czyste. Cieszę się serdecznie, iż wkrótce ujrzę i powitam dobrych przyjaciół w Rose Cottage.

Rose Cottage 24-go Lipca.

Jestem znów pomiędzy nimi szczęśliwa i swobodna. Wszystko różową barwę przybrało w oczach moich. Przyjaciele z Nowego-Jorku odwiedzają mnie tłumnie, zapytują o zdrowie. Trzeba przyznać amerykańkom wiele serdeczności i świeżego uczucia. Zastałam z radością i twoje listy. Myślę stanowczo o powrocie, ale tracę głowę na myśl, co mi tu jeszcze pozostaje do czynienia. Wyjeżdżam niebawem do Bostonu, ztamtąd odwiedzę góry Białe, New-Hampshire i t. d. W pierwszych dniach września opuszczam Amerykę, cieszę się i smucę zarazem.

Wielkie zmiany zaszły przez ten rok w Rose Cottage. Przeszło sto domów zbudowano w różnych kierunkach. Ze wsi zrobiło się miasto. Mała przestrzeń w okół domu Springów, ocieniona drzewami, pozwala wszakże odetchnąć mi swobodnie.

XXXIX.

Nahant (Massachussets) 1-go Sierpnia.

Dziś niedziela, obchodzę ją na skale, otoczona płasającemi falami oceanu, jestem u pani Bryant w jej willi *Cottage de Nahant*, o kilka mil na północ od Bostonu. Ca-

ła arystokracja tego miasta posiada własne wille, gdzie używa co lato morskiego powietrza i kąpieli. W tych małych domkach otoczonych zielonemi ogródkami, zebrało się małe, ale nadzwyczaj dobrane towarzystwo. Jest między innemi pani Lée, matka mojej gospodyni, pan Pre-skott, sławny historyk z rodziną, poeta Longfellow z żoną i wiele innych osób. Schodzą się wszyscy codziennie na herbatę i miłe prowadzą życie. Amerykanie w ogólności lubią niezmiernie towarzystwo. Przybyłam tu z umysłu, aby pożegnać dobrą panię Bryant.

Bawiłam cały tydzień w Bostonie. Przez ten czas odwiedziłam w Konkord Emersona i Elżbietę H. Chciałam ich pożegnać zanim na zawsze porzucę Amerykę.

Przybyłam do Konkord po południu, wysiadłam u Elżbiety, poszliśmy potem do Emersona, ale ani jego, ani żony nie było w domu. Weszłam na chwilę do pracowni Emersona; pokój to obszerny, urządzonej z wielką prostotą i wygodą. Uczucie piękności nie przebija w niczem, nie ma żadnych ozdób w sanktuarium filozofa-stoika, sprzęty poważne i wygodne służą wyłącznie do użytku, a nie do parady; w całym gabinecie jeden jest tylko obraz przedstawiający *Parki Michała Anioła*.

Na wielkim stole w środku pokoju mnóstwo było porozrzucanych papierów. Stałam chwilę milcząca i nieruchoma. Zdało mi się, że duch Emersona krążył w spokojnej atmosferze.

Widziałam Emersona wieczorem u Elżbiety, przyjacielski był i uprzejmy. Chciałam odjechać nazajutrz o świcie, oparł się temu stanowczo. „Nie, nie myśl pani o tem — rzekł — pragnę cię zawieść do ładnego jeziora w lesie, a potem trzeba abyś odwiedziła moją matkę, abyś przyjęła jej błogosławieństwo.

Nie mogłam się oprzeć tym słowom, zostałam. a na-
zajutrz potem, Emerson przybył po mnie małym kabryo-
letem i pojechaliśmy do lasu. Przybyliśmy nad jezioro
podobne do owalnego zwierciadła w ciemno-zielonych ra-
mach. Patrzałam na spokojny krajobraz i na Emersona,
który głęboko zamyślony, z uśmiechem na ustach, stał na
brzegu jeziora. Rzekłby kto, że to uosobiony genjusz.
Ten obraz nie zatrze się nigdy w mej pamięci.

Rozmawialiśmy przez drogę. Pamiętam, że mu za-
dałam pytanie, czy uważa cywilizację nowej Anglii jako
doskonały wyraz amerykańskiego społeczeństwa.

— Bynajmniej — odpowiedział Emerson —wiele ma
jeszcze germanizmów i innych europejskich a nawet azya-
tyckich wyobrażeń, które z dziedziny myśli zaczynają
wnikać w życie i z czasem coraz większego nabierają roz-
winięcia.

Widać, że Emerson ma przekonanie, że Ameryka na-
da kiedyś wyższy rozwój wyobrażeniom, które od począt-
ku dziejów zrodziły się w innych częściach świata. Oka-
zał wyraźne niezadowolenie z ustępstw politycznych, uczy-
nionych obecnie przez Stany Północne niewolniczym
stanom.

— Tu jest źródło czystej wody — rzekł, zatrzymu-
jąc konia w ocienionem miejscu. Może pani zechcesz jej
zakosztować. To mówiąc przywiązał cugle do drzewa, od-
dalił się i za chwilę powrócił niosąc w szklance czystą,
kryniczną wodę.

Przyjęłam ją chętnie, w tej wodzie widziałam godło
Emersona. Słowa jego nie budzą zapału, nie dają pod-
niety, ale chłodzą i rzeźwią umysł, nakształt czystej kry-
nicy.

Widziałam także w Konkord siostrę Margaretę Fuller, panią Channing. Przybyło jej z jakie dziesięć lat życia; tak strata siostry dotknęła biedną kobietę. Matka jej również niepokieszona.

Odbyłam także przejażdżkę do kolegium młodych nauczycielek w West-Newton, założonego przez Horacego Manna. Widziałam go, równie jak i Maryę Child. Byłam podczas lekeyi w zakładzie, w którym sześćdziesiąt panienek sposobi się do nauczycielskiego zawodu. Jedna z nich wstąpiła na katedrę, podczas gdy młode towarzysзки siedziały na ławkach w jasnej i obszernej sali. Wykładała formę rządu Stanów Zjednoczonych, porównując ją z administracją innych krajów. Młoda nauczycielka ładna była i miała wiele wdzięku w układzie. Gdy zeszła z katedry, zaproszono inną, aby ją skrytykowała i wskazała błędy jej poglądu; kilka głosów odezwało się z uwagami. Jedna zarzuciła, że mówiąca nie ukloniła się schodząc z mównicy. Potem druga nauczycielka, mniej piękna, ale bardziej ożywiona i zdolniejsza od pierwszej, wykładała geografję statystyczną z zapałem, który mimowoli pociągał słuchaczy. Gdy zeszła, inne krytykowały ją znowu. Tym to sposobem młode osoby trzymają się na baczności i sposobią do przyszłego zawodu ochmistrzyń i nauczycielek.

Wielką tu zwracają uwagę na układ powierzchowny. Ochmistrzyni nie powinna w niczem budzić odrazy, ani szyderstwa uczennic. Z tej to szkoły, rozbiega się cały rój nauczycielek na południe i zachód Stanów Zjednoczonych.

Widziałam potem Horacego Manna, przewodnika całej nowej generacji i Maryę Child, autorkę pełną zdolności, kobietę szlachetną i tkliwą. Mieszka w małym

domku. Młoda panienka, hiszpanka, którą wyrwała w nędzy, poświęca jej się wyłącznie; przyjaciele wielkim ją otaczają staraniem. W Ameryce ktokolwiek liczy jakiegokolwiek zasługi, nie może być opuszczony.

W Bostonie czas był zimny i dżdżysty, zupełnie jak u nas w październiku. Klimat amerykański ciągle przechodzi z jednej ostateczności w drugą. Marzłam jakby w zimie. Mimo to zdrowsza jestem niż kiedykolwiek, a siły potrzebne mi przy tak ciągłym utrudzeniu. Onegdaj naprzykład od godziny siódmej rano do wpół do dwunastej w nocy byłam w ustawicznym ruchu, toczyłam rozprawę o teologii, sztukach, polityce z najznakomitszymi uczonymi w tych przedmiotach. Więcej mnie to jeszcze zajmuje niż trzodzi. Widziałam tu miłą bardzo kobietę, pannę Perens. Słaba z natury, duszę nadzwyczaj ma rozbudzoną. Jest jasnowidzącą na jawie i może czytać list zamknięty przycisnąwszy go do czoła, lub trzymając w dłoni, odgaduje położenie i uczucia osoby, która go pisała. Nie chciałam wierzyć w taki rodzaj jasnowidzenia, ale musiałam uchylić głowę w obec oczywistych dowodów. Podałam jej twój list i odgadła ciebie zupełnie. Nie ma szarlatanizmu w tej osobie, ale duch jej żyje kosztem ciała i trawi je pomału.

Poniedziałek.

Wczoraj wieczorem mówiłam z kilkoma światłemi kobietami o stanowisku amerykańskich kobiet. Brak im w ogólności szerszego poglądu na rzeczy, niezdolne są nawet prowadzić porządnej rozmowy. Potrzeba im koniecznie podźwignąć się na duchu, jeżeli chcą zachować szacu-

nek mężczyzn, którzy je nieskończenie przewyższają. Mężczyźni w ogóle bardzo tu grzeczni i względni dla kobiet, ale raczej uważają je za ładne bawidełka, niż za towarzyszek trudów życia. Jest wprawdzie wiele innych przykładów, ale te zawsze uważać można za wyjątki.

Silna jednak budzi się w tym względzie reakcja, dowodem tego zaprowadzone w Stanach północnych publiczne zebrania, mające na celu: *Uznanie praw kobiety*. Wiele tam wprawdzie hałasu i zuchwałych pomysłów, ależ to zniknie jak cień, gdy przyjdzie prawdziwe udoskonalenie. Wiele zdrowych myśli wypowiedziano podczas ostatniego zebrania w Massachusecie, tysiące kobiet i mężczyzn zgromadziło się ze wszystkich stron kraju. Niektóre kobiety miały bardzo piękne mowy. Paulina Davis, ładna prezydentka zgromadzenia, te wyrzekła słowa porównując życie i cywilizację starożytności, z życiem i cywilizacją nowych czasów:

— Zatrudnienia i cele życia nie rozdzielają dziś ludzkości na dwie oddzielne połowy, jak to niegdyś bywało. Mąż nie żyje dziś wyłącznie dla wojny, nie potrzebuje przedewszystkiem sposobieć ramienia na rycerskie przygody. Życie jego i wielkie czyny spełniają się w dziedzinie ducha. Mąż i niewiasta zbliżyli się w sferach wyższego życia, w ognisku ucywilizowanego społeczeństwa. Niewiasta coraz wyraźniej staje się towarzyszką, połową drugiej części ludzkiego rodu. Moc ducha i inteligencya mężczyzn wzrastać będzie lub gasnąć, w miarę jak znajdą w niewiastach to, co ich podnieca lub wątli. Wstrzymując moralny postęp kobiety, oddziaływa się szkodliwie na postęp ogólny cywilizacji.

Poznałam historyka Prescott. Wyobrażałam go sobie jako starca pochylonego laty, oślepego nad książka-

mi. Zdziwiłam się mocno, widząc w nim człowieka krzepkiego, w sile wieku i umysłowych zdolności. Mówi z niepojętym zapałem, słowa jego noszą piętno geniuszu.

Góry Białe (New-Hampshire) 10-go Sierpnia.

Pożegnałam w Bostonie przyjaciół i znajomych i pojechałam do Salem, gdzie mer tamtejszy pan Silsbée oczekiwał mnie z obiadem. Wieczorem było mnóstwo gości. Nazajutrz zabawiłam z tą miłą i ukształconą rodziną. Rozmawialiśmy wiele o sławnych czarownicach z Salem, które w roku 1692 męczono na torturach i więziono po lochach, kilka z nich nawet spalono na stosie.

Dziś Bogu dzięki oddaliliśmy się od tych krwawych czasów, więcej jeszcze duchem niż latami, mówimy teraz o tem, jakby o szaleństwie minionem bez powrotu. W zeszłym roku, czwartego lipca, w rocznicę tych okropności, wyprawiono w Salem dziwnego rodzaju widowisko. Postępował uroczyste orszak historyczny, złożony z czarownic i sędziów. Wszyscy poprzebierani byli w właściwe szaty.

Wystawiono potem w żywych obrazach postęp zaprowadzony w przeciągu pięćdziesięciu lat ostatnich. Naprzód jechał konno rycerz z napisem: „Z Salem do Bostonu, czterdzieści ośm godzin.“ Dalej postępował ciężki dyliżans z napisem: „Z Salem do Bostonu godzin dwanaście.“ Później szedł pociąg po żelaznej drodze z napisem: „Z Salem do Bostonu pół godziny.“ Nakoniec przeciągnięto drut elektro-magnetyczny z napisem: „Z Salem do Bostonu w mgnieniu oka.“ W Ameryce mało jest dotąd tradycyjnych uroczystości, a jednak popęd ku nim zaczy-

na się objawiać. W maju i czerwcu obchodzą w niektórych miejscach uroczystość kwiatów. Dotąd praca uciążliwa, zabierając wszystek czas amerykanom, nie dała im swobody myśleć o zabawach. Wyjechałam z Salem 9-go sierpnia ku Białym Góróm w towarzystwie pani Silsbée i jej syna. Wdzięczna jej byłam szczerze iż mi chciała służyć za przewodnika wśród gór, lasów i strumieni swego rodzinnego kraju.

Pierwszego dnia podróży odwiedziliśmy towarzystwo Trembleurów w Kanterbury, nad brzegami rzeki Merri-mack. Pragnęłam widzieć ich ogrody botaniczne i dowiedzieć się czegoś więcej o tej szczególnej sekcie. Panna Hunt, mój doktor z Bostonu, dała mi listy do starszych zgromadzenia, których odwiedza często jako lekarz. Dojechawszy do stanu Hampshire koleją żelazną, wysiedliśmy w boru i najętym jednokonnym wózkiem udaliśmy się do wsi Trembleurów. Deszcz rozpadał się na dobre, poroztwieraliśmy parasole i po dwóch godzinach uciążliwej drogi ujrzelśmy żółte domy na pagórkach.

Ledwieśmy zsiadli z wózka, dwie siostry otworzyły nam gościnnie podwoje ładnego domu. Oddałam list, siostry wypytywały troskliwie o pannę Hunt, którą jak widać oceniają wysoko.

Było już dosyć późno. Podano natychmiast herbatę, chleb, masło, smażone owoce. Na moją prośbę siostry śpiewały nam pobożne psalmy podczas uczty, wydawały się zupełnie spokojne, lubo nie wesołe. Po herbacie zaprowadziły nas do gościnnego pokoju, jasnego i czystego ale bez najmniejszej ozdoby. Siostra Lawinia szczerze zajęła się nami.

Nazajutrz słońce oświeciło uroczo okolice, w której widać było dokoła żółte domy trembleurów. Głęboka ci-

sza panowała wszędzie. Zdawało mi się, że jestem w kraju duchów.

Po obfitem śniadaniu siostry zaprowadziły nas do szkoły. W obszernej sali dwadzieścia małych dziewczynek uczyło się pod dozorem siostry Dory, której uroczą piękność zachwyciła mnie prawdziwie. Dora młoda i hoża jak kwiatek, kazała dziewczynkom odegrać symboliczną scenę: stanęły wszystkie w koło, nieco opodal od siebie i zaczęły śpiewać melodyjnie następujące słowa:

„Czyż sama jedna pozostanę na ziemi? Czyliż nikt kochać mnie nie będzie, czyż serce moje nie ukocha nikogo.“

Wtedy jedne dziewczynki przystąpiły do drugich, wzięły się za ręce, przycisnęły je do serca i śpiewały razem:

„Chodź do mnie siostro ukochana, chodź, z radością zbliżę się do ciebie, znajdziesz we mnie szczerą przyjaciółkę. Twoje cierpienia podzielę chętnie, ty podzielisz moje wesele. Nikogo nie wyłączemy z koła sióstr ukochanych.“

I wszystkie dzieci utworzyły koło, zaczęły tańczyć zrazu pomału, powtarzając ostatnie słowa pieśni. Potem zbliżyły się bardziej jeszcze, oplótły ramionami, tworząc jakby wieniec kwiatów, na koniec padły na kolana i śpiewały hymn pobożny w te słowa:

„Ojciec niebieski rzuć okiem miłosierdzia na to małe grono zjednoczone w Imię Twoje. Spuść nam ducha swego i t. d.“

Po śpiewie, klęcząc jeszcze, wszystkie uściśnęły się, poczem powstały i rozeszły się na strony. Piękna myśl symboliczna tej gry, wdzięk i prostota dziewczynek przejęły mnie głęboko. Nie mogłam wstrzymać łez, pani Silsbée płakała także, czem zniewoliłyśmy sobie dobre siostry.

Zdziwiłam się, widząc jak dzieci znały dobrze gramatykę, pismo, rachunki, geografję i inne światowe nauki. Dla zachęty dawano im kolorowe kartki, na których były drukowane różne moralne sentencye.

Odwiedziłyśmy mleczarnię i kuchnię, siostry w białych fartuszkach zajmowały się obiadem ochoczo. Potem obeszłyśmy ogródki lekarskie, gdzie było wiele ziół uzdrawiających, a najwięcej sasaparelli. W dystylarni przepędzano wielką ilość różanej wody. Nakoniec byłyśmy w sali robót, siostry szyły, a starcy ubrani jasno, bawili się rozmową. Trudno sobie wyobrazić do jakiego stopnia starzy doznają tu opieki. Siostry otoczyły nas w około, rozmawiały z nami, musiałam im zaśpiewać religijną pieśń szwedzką, która bardzo przypadła im do myśli.

Wrysowałam portret siostry Dory; pozwoliła na to z warunkiem, że nie ogłoszę światu jej rzeczywistego imienia, reguła bowiem sprzeciwia się temu. Mówią tu o niej, że miewa widzenia, w rzeczy samej wyraz jej oczu prawdziwie natchniony.

Podziwiałam ład panujący we wszystkim. Mężczyźni byli na żniwie. Ci, których widziałam, wyglądali ponuro i wcale nie duchowo. Dobre siostry obdarzyły nas wodą pachnącą, owocami i mnóstwem drobnych upominków. Nie chciały przyjąć najmniejszej zapłaty, oświadczając, że nie biorą pieniędzy od przyjaciół. Kazały zaprządz do wielkiej parokonnej bryki i sześć z nich odwiozło nas do kolei. W drodze siostry wraz z trembleurem który powoził śpiewały wspólnemi głosy.

„Tańczcie drzewa, tańczcie! Wody unosić fale w górę, książę pokoju się zbliża.“

Przybyliśmy na stacyę. Siostry pozostały z nami, dopóki pociąg nie nadszedł, przeglądaly ciekawie rysunki

w mojem album. Uścisnęliśmy się serdecznie na pożegnanie.

Stowarzyszenie trembleurów w Kanterbury składa się z pięciuset osób. Postępują względem siebie nadzwyczaj łagodnie i przyjacielsko. Tutejsze towarzystwo ma główny dochód z uprawy roli i hodowania ziół lekarskich, tudzież z wełnianych wyrobów.

W Stanach Zjednoczonych jest ośmnaście zgromadzeń tej sekty. Główne zgromadzenie mieści się w New-Libanon, do niego wszystkie inne odnoszą się w sprawach dotyczących ogółu.

Wieczorem przepłynęliśmy statkiem parowym wielkie jezioro Winnepaseoga (Źródło wielkiego ducha). Prześliczny z niego widok na okoliczne wysepki i wspaniałe pasmo gór Białych. Szczyty gór przezwane imionami słynnych republikanów: Washingtona, Jeffersona, Adamsa, Lafayetta i innych patrzyły na nas majestatycznie, tonąc w świetle zachodzącego słońca. Ostatnie jego promienie uroczyście gasły na jeziorze. W chwili gdy znikło za górami, dopłynęliśmy do brzegu. Wieczór piękny był i chłodny, cieszyłam się niewymownie czując się blisko państwa olbrzymów. Milczenie w koło nas panowało głębokie, ale późno w noc liczne grono podróżnych szturmem zdobyło oberżę, szczęściem, żeśmy ich uprzedzili.

Nazajutrz z ochoczem sercem powitaliśmy ranną zorzę i pośpieszyli w góry najętym wózkiem.

Nie było w tej chwili śniegu na wierzchołkach, tylko na szczycie Washingtonu czepiały się grube kłęby obłoków. Krajobraz przypominał mi część górzystą Szwecyi. Brzozy i sosny odbijały pięknie obok kasztanów i jaworów, u podnóża ich rosła paproć i dzikie maliny. Góra Washington, najwyższa ze wszystkich, ma zaledwie trzy

tysiące stóp wyniesienia, ale postać jej dziwnie wspaniała, kształt ma piramidalny, z wierzchu podobna do wulkanu. Ale zamiast krateru wytryska tam źródło czystej wody. Głębokie parowy poorwały ją w koło jak bruzdy. Inne góry, ciągnące się po obu jej stronach łańcuchem, podobne do niej wprawdzie, ale żadna nie dorównywa jej wspaniałością. Wszystkie wznoszą się piramidalnie, zaokrąglone nieco u wierzchołków.

W miarę jakieśmy zbliżali się do gór, powietrze było chłodniejsze. Olbrzymy przywdziewały oponę z chmur i nas obwijały razem z sobą. Niegościnnie to było przyjęcie, mnie jednak rzeźwił chłodny ich powiew. Mój przyjaciel księżyc wstał, walczył chwilę z rojem obłoczków, pokonał je, ale mgła ćmiła jego oblicze. Samotną ścieżką zapuściliśmy się głębiej w góry, przez cały dzień nie napotkaliśmy na nich żywej duszy. Około północy przybyliśmy napowrót do oberży.

Franconia Notch, Hotel La Fayette 15-go Sierpnia.

Od kilku dni żyję wpośród Gór Białych, w towarzystwie olbrzymów uwieczonych chmurami, wśród pieśni i płosów strumieni po głębokich dolinach, na łonie tej dzielnej i zuchwałej przyrody, której zawdzięczam tyle błogich chwil w naszej Dalekarlii. Tu jednak przyroda rozmaitsza, fantastyczniejsza i bogatsza pod względem roślinności. Ścieżki i drogi ciągną się wśród nieprzedartych zarosli z olch, leszczyny, klonów, brzoź, jodeł, sosen i mnóstwa innych drzew i krzewin. Wszędzie huczą wody, połykując srebrną wstęgą na murawie. Tak było zimno

w niektórych miejscach, że ledwie mogłam utrzymać pióro w ręku, mimo to zdrowa jestem na ciele i na duchu. Pani Silsbée równie krzepka i ożywiona jak ojczyste jej góry, prawdziwie mi przypada do myśli.

Właściwą cechę Białym górcom nadają skały wychylające się tu i owdzie, w kształcie olbrzymich ludzkich twarzy, obróconych profilem. Zabawiły mnie bardzo, a kilka z nich narysowałam w albumie. Mieszkamy blisko jednej z tych figur, którą tu zowią *Starcem z góry*. Brak jej powagi w rysach, ale podobna do starego zrędy w szlafmycy, która ciekawie przygląda się Bożemu światu. Poniżej głowy olbrzyma jest małe prześliczne jezioro, jakby zwierciadło oprawne w zieloną ramę. Starzec patrzy w nie, a chmury przepływają mu pod brodą. Inna postać przedstawia rycerza w przyłbicy, pyszny mech tworzy mu bokobrody. Udało mi się odkryć parę nowych figur, nigdzie dotąd nie wspominanych. Jedna z nich rysuje się opodal na tle błękitu, w kształcie pięknej kobiety, smutno poglądającej w niebo. Stara sosna tworzy krzyż nad jej głową, prześliczny to profil. Powyżej owej szlachetnej postaci, nieco opodal, jest inna, straszna, z wielką brodawką na czole. Znać, że srogi ten olbrzym trzyma w mocy swojej uwięzioną królową. Widzę jeszcze mnóstwo innych postaci, odgadłabym ich znaczenie, gdybym miała więcej czasu i dłużej mogła zostać w towarzystwie kamiennych olbrzymów.

Mówią, że indyanie czcili te postacie jako bóstwa i u stóp ich składali ofiary. Mnóstwo podań krąży dotąd z tego względu. Za to pogromcy i następcy indyan pozostawili tu tylko krwawe ślady. Wskazują dotąd miejsce, gdzie zmarła młoda dziewczyna, córka okolicznego dzierżawcy. Dnia jednego pogniewała się z narzeczoną, mło-

dzian opuścił ją w gniewie, dziewczyna wybiegła w rozpacz, noc zaskoczyła ją w górach, zamieć śnieżna powstała, zmarzła biedna, a narzeczony dostał pomieszania zmysłów.

Niedaleko ztamtąd jest dolina zwana „domem Willeys,” dziś pusto w niej i samotnie, a jednak temu lat niewiele mieszkała tu rodzina. Jednej nocy straszny łośkot zbudził uśpionych. Bryły śnieżne waliły się z góry. Rodzina wybiega w noc ciemną, szuka schronienia opodal, ale śnieżne bryły toczą się w jej ślady i zasypują dziewięć osób. Dom jednak ocalał, nietknięty. Hawtorn wziął ten okropny wypadek za przedmiot do jednej z najpiękniejszych powieści.

Cała ta górzysta okolica nadzwyczaj dzika i bezludna. Nie dojrzeć mieszkań ludzkich, oprócz kilku oberży, gdzie spoczywają podróżni. Huczą tu korki szampana bezustannie, mężczyźni grają w karty, kobiety rozmawiają o modach. Na chwilę przejadą się powozem pomiędzy górami śmiejąc się i szczebiocąc, wracają czemprowadz i to się zowie podróżowaniem!

Jakże to życie czeze i bezmyślne dalekiem jest od tego potężnego życia przyrody! Tu obłok spływa pomału na wierzchołek góry, otula ją i pieści, szepcze jej tajemne słowa, chłodzi jej czoło rosą poranku. W dolinie tymczasem gwarzą spienione potoki, drzewa i kwiaty sieją woń jak błogosławieństwo, a po nad tem wszystkim światłość walczy z ciemnością, promienie słońca łamią się w wodotryskach, płasają ze skały na skałę, wielkie postacie kamienne patrzą na to w milczącym zdumieniu, ptastwo świegocze w zaroślach, tak tu żyje, tak mówi przyroda! Wrzawa ludzka wpośród tych cudów przejmuje mnie smutkiem. A jednak pomnę i ja w młodości mojej nie umia-

łam patrzeć na przyrodę, nie umiałam zbadać i pojąć jej tajników.

Obiedwie z panią Silsbée z wdzięcznością i mileżeniem poglądałyśmy na cuda Boże, to siedząc u stóp srebrnej kaskady, to przebiegając cieniste parowy.

Ale dosyć już tego, przejdźmy teraz od Białych Gór Hampshiru, do zielonych gór w Wermoncie.

Burlington, nad jeziorem Champlain, 19-go Sierpnia.

Piszę do ciebie z pięknego domu nad jeziorem Champlain, z pysznym widokiem na wodę i góry. Nie widziałam dotąd tak pięknych gór, oprócz Alp nad jeziorem Genewskim w Szwajcaryi. Góry Zielone nie równają się wielkością z Alpami, ale mają kształty rozmaitsze i śmielsze, na całą okolicę spływa w tej chwili blask zachodzącego słońca i czarodziejsko złoci obłoki. Góra zwana „Lwem,“ ożywia się nagle, olbrzymia ta postać panuje nad brzegiem. Wszystkie mają symboliczne kształty.

Mieszkamy u ex-prezydenta uniwersytetu, pana Wheeler, który zaprosił mnie do siebie, miłe bardzo ma córki; piękna to i szlachetna rodzina. Brak tylko matki u ogniska. Umarła przed dwoma laty, trzy córki i dwóch synów dotąd ją oplakują.

Ojciec, surowy purytanin, wzrost ma olbrzymia, postać piękną, wzrok przenikliwy, pełen zapału. Willa jego leży blisko miasta, urządzona wewnątrz wytwornie z amerykańskim ładem.

Wczoraj popłynęłyśmy na drugą stronę jeziora i zapuścili się w góry Aderondack, odgraniczające długim łańcuchem Stany Nowego-Yorku. Dzień był prześliczny, wi-

doki wspaniałe, szkoda tylko, że zgromadzenie było zbyt liczne. Niektóre panie zarzucały mnie nieskończonemi pytaniami: „gdzie pani jedziesz? z kąd przybywasz? gdzieś była? kogoś poznała?“ i t. d. Mieliliśmy jednak w towarzystwie naszym prawdziwie miłe osoby, z którymi czas płynął uroczco.

20-go Sierpnia.

Skończyły się chwile spoczynku mego w tym gościnnym domu. Nacieszyłam tu oczy, prześlicznym widokiem, który z okien moich roztaczał się na rozległą przestrzeń. Okolice tego jeziora słyną wspaniałą grą światła o zachodzie. Nigdzie nie widziałam tak malowniczych i tak różnobarwnych obłoków. Kształt gór pociągał mnie także, „Lew“ coraz bardziej ożywiał się w oczach moich. Jezioro Champlain przybrało nazwę od walecznego francuza, który odkrył i rozkolonizował te strony. Stany New-Hampshire, Vermont i Maine pierwszą ludność winny francuzom. Dziś pozostały po nich tylko nazwiska miejsc i rzek, tudzież kilka kościołów i szkół katolickich. Rozległe lasy, wielkie góry i jeziora, nadają rys charakterystyczny tym stanom: rolnictwo, hodowanie trzód i handel drzewny stanowi główny ich dochód. Wyrabiają tu także cukier z klonu. Na wiosnę nacinają korę, zbierają sok z drzewa, gotują i krystalizują na cukier. Słodki jest bardzo, ale szary.

Wczoraj wieczorem zebrało się tu dosyć liczne zgromadzenie. Między innymi była ochmistrzyni szkoły z Burlington, osoba szanowana i kochana powszechnie. Od młodości pracowała sama na utrzymanie rodziny, a to

z takim powodzeniem, że mogła wychować młodsze od siebie rodzeństwo, spłacić długi ojca i zaspakajać wszelkie potrzeby starej matki, dla której zbudowała dom wygodny. Dziś ma lat trzydzieści, idzie za mąż wkrótce, zapewniwszy byt i szczęście drugim. Spodziewa się użyć chwil swobodnych u własnego ogniska.

Saratoga 22-go Sierpnia.

Z pomiędzy Gór Białych i Zielonych, z towarzystwa gardzących światem sektarzy trembleurów, wpadłam w odmęt światowego życia. Wody w Saratoga są miejscem zebrania wytwornego świata Stanów Zjednoczonych.

Wczoraj opuściliśmy Burlington. Miły gospodarz z młodszą córką są tu także z nami. Reszta rodziny towarzyszyła nam na drugi brzeg jeziora. Wieczorem przybyliśmy do Saratogi: rozgościwszy się w hotelu, zeszliśmy do sali, gdzie było zgromadzonych ze sześćdziesiąt osób. Pary mężczyzn i kobiet przesuwwały się oświecone blaskiem wielkiego żyrandola. W gronie starszych pań była jedna ubrana po dawnemu, z głową upudrowaną i na wysokich korkach. Bardzo jej z tem było dobrze. Dziś wielki bal w zakładzie wód, zaproszono mnie także.

23-go Sierpnia.

Widziałam bal i nie mam co o nim powiedzieć. Kobiety nadzwyczaj były postrojone, niektóre z nich ładne, mężczyźni niezgrabnie wykręcali się w polce. Gmach prześlicznie oświecony, wieczerza wytworna.

Mówiłam z wielu amerykańkami, w ogólności wszyscy pełni narodowej pychy. Nie zapomnę nigdy trafnego zdania jednego anglika.

„Nie zaprzeczam— mówił on— że amerykanie zdziałali wielkie rzeczy, ale brak im bohaterskiego ducha.“

I ja mniemam, że aby ten naród prawdziwie został wielkim, trzeba mu się wprzód ukorzyć i uczuć szlachetny gniew na samego siebie.

Nowy-Jork 24-go Sierpnia.

O moja Agato, żyję prawdziwie jak we młynie. Załedwie, że mam czas wziąć pióro do ręki i teraz piszę dopadkiem, oczekując na przyjaciół, którzy porwą mnie ztąd za chwilę.

Z Saratogi pojechaliliśmy do Lenox w Massachussecie, gdzie według poprzedniej umowy zastałam miłą rodzinę Osgood z Bostonu. Rozłączyłam się z dobrą panią Silsbée, na którą mąż także tu oczekiwał.

Kraj około Lenox prawdziwie uroczy, pełno tu małych jezior, ocienionych drzewami. Panna Sedgewich i Nathaniel Hawthorne mieszkają w tej stronie. Zaprosili mnie oboje oddawna. Spędziłam całą dobę w domu dobrej i miłej pani Sedgewick i jej rodziny. Użyłam w całym znaczeniu przyjemności w towarzystwie kilku znakomych kobiet. Mężczyzny nie było żadnego, mało ich bywa w tym domu, ale nie czuć wcale ich nieobecności bo kobiety bardzo gruntownie wykształcone, a niektóre prawdziwie wyższe siłą i podniesieniem ducha.

W ogólności uderzył mnie brak mężczyzn u domowych ognisk wschodnich Stanów, zwłaszcza po wsiach

i małych miasteczkach. Mężczyźni po większej części przebywają w wielkich miastach, lub też w Stanach zachodnich, gdzie prowadzą handel, budują drogi żelazne, słowem szukają zarobku. W Stanach wschodnich wiele kobiet miłych i rozumnych nie idzie wcale za mąż. Kilka z nich żaliło się, że brak im pola, aby rozwinąć całą działalność myśli, aby żyć pożytecznie.

Spędziłam z panną Sedgewick dzień prawdziwie przyjemny, z Hawtornem za to mniej przyjemnie zbiegł mi wieczór. Rozmowa nam nie szła, nie wiem doprawdy czy w tem jego, czy moja wina. Mówiłam prawie sama, w końcu zabrakło mi przedmiotu, czułam upadek sił moralnych. Hawtorn miał jednak przyjacielską i życzliwą postać, ale mówić nie mógł. Miło mi było wszakże patrzeć na jego piękną, lubo nie harmonijną głowę. Czoło ma szerokie, czyste jak niebo, otoczone niby koroną pierścieniami krętych i ciemnych włosów. Głęboko zapadłe oczy zdobią brwi zarysowane kształtnie i po ustach przebiega niekiedy jasny uśmiech, niekiedy jednak cień gorzkiego szyderstwa. Wyższa część twarzy klasycznie piękna, w niższej brak stanowczego wyrazu.

Przed domem Hawtorna jest małe jezioro otoczone gęstym borem. Poeta lubi tę na pół dziką okolicę. Miła żona żyje wyłącznie jego szczęściem. Hawtorn ma być najlepszym mężem w świecie. Ich dom podobny do gniazda jaskółek.

Jechałam z rodziną Osgoot z Lenox do Nowego-Jorku przez piękną dolinę Housatonia. Dym i kurz lokomotywy nie dozwalały mi nie widzieć. Ogromny pociąg obejmował przynajmniej tysiąc osób, gdyśmy się zbliżyli do miasta. Szczęśliwa byłam czyniąc rozbrat z koleją żelazną amerykańską.

Wagony wprawdzie wybornie urządzone, miejsca tanie, ale sposób podróżowania nadzwyczaj nużący i niekorzystny. Niepodobna odetchnąć czystem powietrzem. Dymu i kurzu nierównie więcej niż na europejskich kolejach.

W Nowym Jorku chciałam zgłębić nieznaną mi stronę tego wielkiego miasta, która rzuca smutny cień na resztę obrazu. Towarzyszył mi anioł światłości, młoda kwakierka pani Gibbons, córka sławnego kwakra Izaaka Hoppera. Odziedziczyła po ojcu umysł czynny, wielką miłość ludzkości i wytrwałość niezłomną. Pani Gibbons większą część życia poświęca nieszczęśliwym i obłąkanym zbrodniarzom. Wszyscy ją znają w Nowym Jorku, na jej głos otwierają się drzwi więzień i zakładów dobroczynnych, a ktokolwiek przy jej boku przebiega miejsce najśroźszego zepsucia, czuje się zupełnie bezpiecznym.

Byłam z nią w części miasta zwanej Cinq-Points, jest to jaskinia bezprawia, stek wszystkich niegodziwości w Nowym-Jorku. Niedawno jeszcze cudzoziemiec nie śmiał się zapuścić w tę otehłąń. Ale metodyści zbudowali tam kościół, osadzili pastora, pozakładali szkoły, chcąc wygnać szatana z piekielnej jego dziedziny. Walka dobrego ze złem już się toczy w Cinq-Points, zwycięstwo stanowczo przechyla się na stronę światła.

Nie będę ci opisywać tych okropności, tych łachmanów, tej ohydnej nędzy, tych ludzkich postaci napiętnowanych zbrodnią, których obraz tak zasmuca serce.

Ztamtąd odwiedziliśmy dom missyi i missyonarza, człowieka wielkiej prawdziwie chrześcijańskiej odwagi; następnie zaś udałyśmy się do ogromnego więzienia zwanego „Groby.“ Ten gmach w stylu egipskim, zbudowany z granitu, wspaniała ale ciężką ma postać, cały obwiedziony granitowym murem jak forteca. Wszedłszy tam, zdaje

nam się rzeczywiście, żeśmy w olbrzymim grobie. Co tylko najniekczemniejszego miasto w sobie mieści, wszystko tu spływa jak brudne szumowiny. Wielu zbrodniarzy skazują tu na śmierć, innych wysyłają ztąd na wyspę Blackwell, do domu poprawy.

Przy drzwiach od strony dziedzińca siedział w wygodnem krześle przełożony więzienia starannie przybrany z brylantową szpilką w chustce i takimże pierścieniem na palcu. Pani Gibbons podała mu kartę wolnego przejścia, kazał nas wpuścić. ale nie raczył uchylić kapelusza.

W wielkiej sali więzienia ład panował przykładny. Więźniowie przechadzali się, niektórzy palili cygaro, inni kupowali od kramarzy różne drobne przedmioty. W celach było po dwóch więźniów, niektórzy z tych skazani już na śmierć. Przy nas właśnie przyniesiono pijanego starca i bez żadnych względów wrzucono go jak bydlę do celi. Więzienie w Filadelfji nierównie mnie więcej zadowoliło.

W części więzienia przeznaczonej dla kobiet zupełnie było inaczej. Pełna serca dozorczyni, panna Forster, wywiera tu wpływ prawdziwie dobroczynny. Wesoła i dobra z natury, ma obok tego wielką moc duszy, konieczną w jej stanowisku. Gdy panna Forster pojawi się w celi, kobiety przemawiają do niej jak do przyjaciółki i opiekunki. Jedna z nich, uwięziona niegdyś za pijaństwo, tak się do niej przywiązała, że od tej chwili nie chciała jej opuścić, ale najgorliwiej dopomaga jej w pełnieniu uciążliwych obowiązków.

Pani Gibbons zniewoliła sobie jedną młodą dziewczynę, która za kilka dni opuszcza więzienie, za jej namową pójdzie do „Ogniska“ (tak się zowie przytułek dla ko-

biet), gdzie nauczy się robót i porządku, poczem znajdzie służbę w jakim uczciwym domu.

Podczas rozmowy mojej z temi upadłemi kobietami, przekonałam się, jak chętnie przyjmują dobre słowo. Serce człowieka gotowe zawsze otworzyć się na promień światła i miłości.

Ruch wielki powstał nagle w dziedzińcu, otwierano drzwi z hałasem. „Czarna Marya! czarna Marya!“ szeptali więźnie między sobą. Spojrzałam w okno i spostrzegłam wielki parokonny omnibus, pomalowany czerwono. Tym omnibusem zwożą tu codzień podejrzane istoty. Zowią go „Czarną Maryą“ na pamiątkę murzynki, którą najprzód przywieziono nim do „Grobów.“

Porzucając „Groby,“ uścisnęłam szczerze pannę Forster, jedyną jasną postać w całym tem więzieniu. Jej serdeczność, cierpliwość, wytrwałość i dobry humor, przejęły mnie głębokim ku niej szacunkiem. Ta kobieta od kilku lat żyje w tem ohydny miejscu, czerpiąc siłę w głębi własnego serca.

Założyła niedawno mały ogródek pod oknami kobiecego więzienia. Gerania i rezeda napełniają wonią powietrze. Panna Forster daje kwiaty kobietom w nagrodę dobrego postępowania, pociesza niemi najsmutniejsze. I ja dostałam pączek róży, zachowałam go na pamiątkę.

Następnego dnia zwiedziłam z panią Gibbons dobroczynne zakłady na wyspie Randall. Zbudowano tam wielkie domy sierot i szpitale dla dzieci. Wszystko wybornie urządzono na oko, a jednak przypatrzwszy się bliżej, znać, że tysiąc kilkaset dziatwy żyje bez matek, a nawet bez macierzyńskiej opieki. Nie ma tam drugiej panny Forster.

W szpitalu dzieci smutniej mi jeszcze było. Wszystko prawie urządzone porządnie, ale dzieci chore na oczy, siedziały smutno z założonemi rękoma, bez zajęcia, bez zabawek. Życie tak bezduszne jakże łatwo może je zamienić w idyoty.

W owym szpitalu u dobrych zakonnic, o którym ci dawniej pisałam, były także dzieci chore na oczy, a jednak wesołe i pełne życia. Wszystkie umiały śpiewać ładne piosenki, a zakonnice pielegnowały je po macierzyńsku.

Checiałam jeszcze odwiedzić dom poprawy na wyspie Blackwell, ale Markus Spring zaprosił mnie i Channinga do Falansteru północnej Ameryki. Popłynęliśmy więc 29-go sierpnia.

Czas był prześliczny, łagodny wiatr chłodził powietrze. W Nowym-Jersey czekał na nas powóz z Falansteru, Markus Spring wyjechał naprzeciwko nas do lasu kabrioletem w jednego konia. I koń, i powóz, i on sam, przybrani byli w kwiaty. Zasiadłam obok niego i zwołna ruszyliśmy ku Falansterowi. W parku napotkaliśmy mnóstwo dzieci i młodzieży, uznojeni pracownicy jedli ogromnego arbuza.

W ciągu zeszłego roku Markus Spring kazał sobie zbudować ładny domek przy Falansterze, gdzieby mógł co lato używać świeżego powietrza i morskich kąpeli. Mieszka z żoną w tym domku, ale stołują się oboje w Falansterze. Jak niegdyś w Rose Cottage, znalazłam pokój w domu dobrych przyjaciół. Wraz z niemi poszłam do Falansteru na obiad.

W ogromnej sali z oknami po trzech stronach, stało 12 owalnych stołów. Czyste powietrze wpływało przez otwarte okna. W głębi sali na ścianie, wielki obraz dobrego pędzla, ale trochę fantastyczny, wyobrażał Falanster

w stanie idealnej doskonałości. Po nad obrazem jest napis: „Wielka radość,“ litery poukładane z zielonych gałązek. U każdego stołu siedziało około dwunastu osób. Bielizna odznaczała się czystością. Chłopczy i dziewczęta w zielonych wieńcach na głowie posługiwali do stołu. Trudno wyobrazić sobie weselszy obiad, potrawy jakkolwiek skromne, sporządzone były wybornie. Nie było ani wina, ani toastów, ani pieśni, ale szmer przyjacielskich głosów mieszał się z szmerem letniego wiatru. Wszystko miało uroczystą, prawdziwie świąteczną barwę.

Wielkie zmiany zaszły od dwóch lat w Falansterze. Przybudowano drugi gmach i drugą jadalną salę, zwaną „Mała radość.“ W kuchni zaprowadzono maszynę parową, która oszczędza wiele czasu, pieniędzy i pracy przy gotowaniu i praniu. Sto osób należy obecnie do stowarzyszenia, wiele osób jak Spring, pobudowało w około domki i bacznie okiem śledzą stopniowy rozwój Falansteru.

Po obiedzie część towarzystwa poszła do ogrodu. Przyniesiono ogromne kosze pełne melonów, każdy raczył się niemi do woli. Nigdzie nie widziałam takiej ilości melonów, gatunki w ogóle doskonałe, zwłaszcza kantalupy. Cała okolica Nowego Jorsey słynie wybornymi owocami.

Przepędziłam trzy dni w Falansterze. Channing zwołał zgromadzenie i miał mowę o stanowisku kobiety w obec społeczeństwa. Wystawił naprzód długi szereg boleści dręczących kobietę w dzisiejszym stanie rzeczy. Słuchałam go z głębokiem przejęciem.

Prawdaż to?—pomyślałam—a więc ten człowiek rozumiał i ocenił każde westchnienie, każdą łzę, każdą boleść, których doznałam w ciągu większej połowy mego życia, które nie raz doprowadzały mnie do rozpacz, pod

ciężarem których uległo tyle kobiet? A więc mężczyzna przemawia w imię kobiety, pracuje nad ich usamowolnieniem, ogłasza czasy lepsze, sprawiedliwsze i świętsze. Nie jestże to sen! czyliż czasy cichej boleści ustaną kiedy na ziemi.

Spojrzałam po obecnych. Niektóre kobiety, przykładkiwały mówcy w głębi duszy, inne słodkie, pełne macierzyńskiej dobroci, jak Rebeka i pani Arnold, siostra Markusa, w obec szczęścia domowego jakiego same doświadczały, nie czuły potrzeby żadnej zmiany. Channing zapalony wymową, poważny Arnold, dobry Markus, wyobrażali w oczach moich sumienie ludzkości.

Przedmiot ten obszerniej będzie rozwinięty na wielkiej naradzie o prawach kobiety w Worcester, w pierwszych dniach września. Wybierają się tam członkowie Falansteru. Markus i Rebeka pragną abym im towarzyszyła, ale ja wybieram się do Europy 13-go września. Muszę zwiedzić z powrotem Anglję i przed zimą powrócić do Szwecyi.

Co się tycze kobiety, dodam jeszcze moje zdanie. Kiedy kobieta nabierze samowiedzy o sobie, gdy będzie miała głębokie przekonanie, czem może zostać za dni naszych, wtedy wyływ jej dobroczynnie da się uczuć wszędzie! Dotąd, zbyt powierzchowne wykształcenie kobiety, nie odpowiada wysokiej godności macierzyńskiej jaką piastuje, dla tego to tak mało prawdziwych obywateli i obywaterek wychodzi w świat z cienia domowej strzechy.

Nie wierzę, aby nowy porządek miał przywieść rzeczy do doskonałego stanu. Niestety, nie napróżno żyję pięćdziesiąt lat na świecie, nie darmo znam własne i cudze błędy, wiem zatem, że stan doskonałości nie jest udziałem człowieka. Może być *lepiej*, ale zupełnie *dobrze*, nie bę-

dzie podobno nigdy. Jednak, kiedy matki i nauczycielki rodu ludzkiego będą o tyle mądre, o ile mogą być niemi na ziemi, gdy promień Bożego światła, zabłyśnie u domowego ogniska, wtedy i na życie społeczne oddziała on niewątpliwie.

Ciemność, w której pogrążone są matki, rzuca cień na ich potomstwo. Światło matek opromienia dzieci z pokolenia w pokolenie.

Ale powróćmy jeszcze do Falansteru.

Wieczorem drugiego dnia mieliśmy bal i widowisko, młodziź odegrała wesołą a moralną sztukę. Na balu wiele kobiet wystąpiło w kostiumie Blumra. Ten strój dogodny może przy codziennej robocie, na balu nie ładnie wygląda; pozbawia kobietę właściwego jej wdzięku.

Ten bal jednak lepiej mnie zajął niż arystokratyczny bal w Saratodze.

Pomimo całego wzrostu Falansteru, nie wierzę ja w jego przyszłość. Zdaje mi się, że tego rodzaju stowarzyszenia nie przeżyją swoich założycieli. W każdym razie jednak, szlachetne to próby. Żywioł moralny, główną nadaje im cechę, ten żywioł zaczyna wciskać się w dzisiejsze spółki handlowe, przemysłowe i naukowe Ameryki północnej. Z prostych stowarzyszeń zamieniają się one pomалу w chrześcijańskie bractwa.

Ostatniego wieczoru który spędziłam w Falansterze, nauczyłam całe zgromadzenie tańczyć szwedzkiego poloneza z pokłonami.

Poznałam młodą panienkę jasnowidzącą na jawie, która w obec nas rozmawiała z duchem ojca, prowadząc rękę po alfabecie i wskazując litery. Odpowiedzi były zwyczajne, mało znaczące. Wiem, że nas zwodzić nie chciała, ale pytanie czyli sama nie była w złudzeniu. Bardzo

podobno kochała ojca, po jego śmierci wpadła w ten stan szczególny.

W Stanach Zjednoczonych, mianowicie północnych, mnóstwo spotkać można jasnowidzących w różnych stopniach. Wiele osób szydzi z nich bez litości. Inni znowu biorą tę rzecz z bardzo poważnej strony. Co do mnie, widziałam wiele jasnowidzących; pewna jestem, że im nie brak nadprzyrodzonego światła, ale nie mogę im przyznać nieomyślności. Niektóre rzeczy widzą jasno, w innych błąkają się widocznie. W każdym razie fenomen jasnowidzenia nadzwyczaj jest ważny, odkrywa bowiem nowe władze duszy, niezależne od ciała.

Po kilku dniach spędzonych w Falansterze, powróciłam do Nowego Jorku, gdzie przy pomocy miłych przyjaciół zaczęłam na dobre sposobić się do podróży. Zamówiłam dziś właśnie miejsce na statku parowym Atlantyku, który odpływa 13-go tego miesiąca z Nowego Jorku do Liverpoolu. Statek to pierwszego rzędu, kapitan człowiek bardzo przyzwoity, popłynę więc bezpiecznie. Do jutra pozostanę u Springów, jutro zaś Downing przybywa z Washingtonu i zabiera mnie z sobą do ładnego swego domu nad Hudsonem. Będą to już moje ostatnie odwiedziny w Ameryce. Wiele mam jeszcze zaprosin, ale czas nagli, nie podobna poradzić wszystkiemu. Tu zaś ciągnie mnie i przyjaźń i obowiązek.

Wczorajszy wieczór, ostatni w Nowym Jorku, spędziłam z panią Gibbons, u jej ojca, sławnego kwakra, Izaaka Hopper. Starzec ten ma lat ośmdziesiąt cztery, a jednak dobrze jeszcze wygląda i cieszy się najlepszym zdrowiem. Na obliczu jego znać zapał i wytrwałość. Przez ciąg czynnego życia, które poświęcił wyłącznie uciśnionym, odbił przeszło tysiąc zbiegłych murzynów z rąk ści-

gających ich właścicieli, kilkakrotnie nawet narażał własne życie w ich obronie. Znieważano go, włóczono po ulicy, wyrzucano oknem, (raz nawet strącono go z trzeciego piętra), mimo to zawsze wytrwały, stały, swobodny, pełen odwagi i siły, idzie uparczywie raz obraną drogą i odnosi stanowcze zwycięstwo nad niechęcią przeciwników. Na proźby córki, opowiadał nam ciekawe przygody swego życia.

5-go Września.

Jestem nad Hudsonem! ostatnie dni pobytu mego w Ameryce spędzam u ogniska, gdzie mnie tak gościnnie podjęto za przybyciem w te strony. Czuję ból niewysłowiony gdy pomyślę, że opuszczam rzeczywiście i to na zawsze, wielki i wspaniały kraj, w którym życie moje tyle zdobyło bogactw, który mnie przyjął z tak nieporównaną gościnnością, gdzie się szczerze przywiązała do tylu istot dobrych i szlachetnych. Nie myśl Agato, żebyś niechętnie powracała do domu. Bynajmniej, tylko w Szwecyi żyć i działać mogę. A jednak odjeżdżam z boleścią.

Szczęśliwa byłam ujrzawszy Downinga, pierwszego przyjaciela mego na ziemi amerykańskiej, młodego brata amerykanina, jak go lubię nazywać. Markus Spring odwiózł mnie na statek, siedział właśnie przy mnie w wielkiej sali, podczas rozmowy naszej zjawił się Downing. Tylko co przybył z Washingtonu; Markus oddał mnie w jego ręce. Przeszło półtora roku zbiegło, jakeśmy się nie widzieli.

Płynęliśmy Hudsonem jak dawniej. Downing po przyjacielskiem powitaniu siedział koło mnie milczący.

I ja także milczałam, ale rozumieliśmy nawzajem myśli nasze. Czas był piękny, wiatr poruszał wody rzeki, przyroda cała wyglądała świątecznie. Jeszcze przymrozki nie przeszły po zielonej murawie, tylko mgła jesienna otaczała brzegi przezroczystą zasłoną. Księżyc wypłynął na niebo i powtórzył się w pomarszczonej fali. Milcząc myślałam o blizkiem rozłączeniu.

Karolina Downing wyszła naprzeciwko nas, zdała mi się młodszą i piękniejszą niż dawniej.

10-go Września, nad Hudsonem.

Już ztąd pisać do ciebie nie będę, brak mi czasu i serca. Listy i różne zobowiązania pochłaniają mi wszystkie chwile, a myśl, że niebawem opuszczę ten kraj i w nim tylu dobrych przyjaciół, kole mnie w serce jak ciernie. Upał przytem odbiera mi siły, wieczór tylko można się przechadzać nad rzeką, w dzień wyjść nawet z domu niepodobna. Wczoraj późno wieczorem wyszłam sama do parku, smutno mi było w duszy. A więc, pomyślałam, ten czas, te węzły przyjaźni, te związki serc tak miłe, tak serdeczne, wszystko to przeszło jak sen znikomy, wszystko to przepadło na zawsze! I zapłakałam z głębi serca. Ale po chwili podniosłam oczy w niebo, księżyc świecił mi nad głową, promień jego wniknął mi w duszę i poszeptał tajemnie: „Nie, ten czas się nie skończył. Wzmocnij twe serce na przyjęcie światła, które nigdy nie przeminie. Co człowiek znalazł, co doświadczył, to posiada na własność, to nie zamrze w nim nigdy, nieśmiertelne to ziarno odrodzi się i wyda bujne plony w królestwie wiecznej światło-

ści.“ Te słowa poszepnął mi przyjaciel mój księżyc i uczu-
łam w duszy pociechę, spokój i wdzięczność. Jutro po-
wracam do Nowego Jorku, przyjaciele mi towarzyszą.

Rose Cottage 12-go Września.

Kilka słów dodam tylko, bo zasypana jestem listami,
a do tego cierpię ból głowy skutkiem wysilenia.

Pożegnałam Downingów w hotelu Asterhouse, tam
gdzieśmy się po raz pierwszy powitali. Czuję, że ich nie
zobaczę na ziemi. Markus zawiózł mnie i zabrał do siebie.

Już późno, ostatni dziś wieczór pobytu mego w No-
wym świecie. Upał okropny, w nocy nawet gorąco i dusz-
no. Sama nie wiem jak się wygotuję na jutro. Dobranoc
Agato, wkrótce powitam Szwecję.

Próżno oczekiwałam tu listu od ciebie, nie nadszedł,
a dwa ostatnie takie były krótkie. Żyję nadzieją rychłe-
go powitania, tymczasem ściskam cię z całego serca i ca-
łuję ręce drogiej matki.

Na morzu, Wrzesień 1851 r.

P. S. Stało się, opuściłam na zawsze Amerykę i
drogich przyjaciół. Zupełnie jestem odurzona. Chwała
Bogu, że ta smutna chwila już przeszła. Ledwie żem na
czas wydażyła ze wszystkim. Uścisnęłam Rebeke i jej
dzieci i wyjechałam z Markusem.

W porcie otoczył mnie tłum znajomych, mężczyźni
przynosili mi pisane przez siebie książki, kobiety zasypały
upominkami; znajomi przedstawiali mnie swym znajomym.

W którą stronę zwróciłam głowę. wszędzie spotkałam twarz przyjacielską. W tem dzwon zadzwonił, przyjaciele usunęli się na bok, spojrzałam ostatni raz na dobrego Markusa. Poszłam potem do kajuty i siedziałam kilka godzin nieruchoma. Markus Spring zawiesił mi na ścianie śliczną wiązkę żółtych i różowych nieśmiertelników zerwanych w Rose Cottage, wraz z karteczką nakreśloną ołówkiem. Patrzałam długo w te kwiaty i uczułam w końcu, że się oplotły wiankiem w koło mego serca.

Odplynęliśmy w południe. Przed wieczorem wyszłam na pomost, chcąc po raz ostatni ogarnąć okiem Amerykę. Na tle wód błękitnych ujrzałam pas ciemno-zielony. Chmurki fioletowe strzępione złotem i różowym odblaskiem zachodu spływały malowniczo nad ziemię. Słońce zapadło w końcu za ląd stały, w świetle gasnących jego promieni ujrzałam Amerykę po raz ostatni w życiu.

W tej chwili widzę tylko ocean i niebo, jestem znów na ogromnej przestrzeni, między dwoma światami. Gdyby mnie zapytano w czem nowy świat przechodzi Europę, powiedziałabym pod wpływem świeżego wrażenia, że serce żywiej mu bije, że silniejszy bo młodszy.

Dziś czas burzliwy, bałwany uderzają mocno. Siedzę spokojnie w mojej kajucie i patrzę na wiązkę nieśmiertelników. Mówi mi o Ameryce, o tych, których pozostawiam za sobą. Już oczy moje nie spoczną na drugim przedmiocie, aż gdy zobaczę brzegi Szwecyi i ciebie!

Nie ujrzałam już tej, do której pisałam te listy, matka przyjęła mnie sama w progach mego domu i wyrzekła te słowa: „Już jej nie ma!“ Ona już zwartwychwstała! Smutnoż mi było u samotnego ogniska, stara matka we

łzach tonęła. Ta, która była życiem i słońcem domu, znikła jak cień. śnieg przysypał już jej mogiłę.

Miałam naprzód zamiar opowiedzieć w dodatku rozliczne przygody murzynów, których byłam świadkiem w Stanach niewolniczych i na wyspie Kubie. Ale książka pani Becher-Stowe, uprzedziła mnie w tym niemiłym zadaniu. Cześć szlachetnej amerykance, która z pełnem zapamiętaniem sercem, podniosła głos w tak chwalebnym celu; która przemówiła w imię ludzkości silniej niż wszystkie inne kiedykolwiek kobiety. Bodajby Stany południowe skłoniły ucha ku jej słowom, a chwała jej stanie się nieśmiertelną.

Sztokholm, Maj 1853 r.

OBRAZY PRZESZŁOŚCI.

KACPER MIAKOWSKI,

POETA Z EPOKI ZYGMUNTÓW.

Dokończenie.

III.

Kto z nas nie pomni jak swojego czasu,
Szumiała lipa piewcy z Czarnolasu,
Jak pogwarzały uroczo jej liście
Czarowne dźwięki polskiemu lutniście,
Które na skrzydłach przynosił z przestworza,
Wiatr, przebiegając od morza do morza!
Wtórzyła lipa nad dachem zagrody
To chlubne dźwięki Lubelskiej ugody,
To zasłyszany w noc głuchą z oddali,
Szczęk bohaterskiej Batorego stali,

A śpiewak słucha, i na podziw świata
W pieśń nieśmiertelną one dźwięki wplata.
Cudnaż to lipa! kto o lipie nie wie?
Lecz równie cudny był dąb w Smogorzewie,
Co w skwar południa lub noc księżycową
Szumiąc nad piewcy uznojoną głową,
Z ust mu dobywał dźwięk złoty a szczery,
Lecz go zgłuszyły lipowe poszmery!
Zmilkła pieśń Kacpra przy Janowej lutni,
Bo brzmiała tęskniej, żałośniej, a smutniej
A nad jęk żalu, nad skargę boleści,
Milej pieśń chwały ludzkie ucho pieści!

Nad starym dachem panuje dąb stary ¹⁾
Chroniąc go w koło silnemi konary,
Ostatnie puszczy Wielkopolskiej dziecię
Sześć wieków dźwiga na garbatym grzbiecie,
Nim pień on zarosł mchem szarym w około
Grom się nie jeden strzaskał o to czoło,
Co zdobne w wieńce nadobnej zieleni,
Wędrowne ptastwo przygarnia z przestrzeni.
On-że, co gromy odpiera w swej pysze,
Szumem uśpione pisklęta kołysze.
I czyste dźwięki z przeszłości dalekiej
Co je zaklęły tajemniczo wieki,
W zielonych jego konarów poszmerze
Skląda pocie i skrzepia go w wierze,

¹⁾ Dąb stary istniał rzeczywiście w Smogorzewie, czyni o nim wzmiankę p. Rymarkiewicz, przy wydaniu rymów Miaskowskiego w 1855 roku.

Której zabrzmiało pierwsze słowo wieszczce
Gdy on słabiuchną drzewiną rósł jeszcze
W ojczystej kniei, nim ojczyste bory
Brańców Chrobregc strzebiły topory.

Już ubieżało z górą lat trzydzieści,
Już dąb poecie gwarzy stare wieści;
Jak uganiając znikomą nadzieję,
Młodzian porzucił Włoszczonowskie knieje.
I tu, kwiat życia skoszony w rannej dobie,
Zagrzebił w małżonki i dziecięcia grobie,
Tu kładł nadzieje po jednej na mary,
Aż w nim pomału *zamartł Adam stary* ¹⁾.
Tu gdy z otuchą wyciągał ramiona,
Z myśli mu blada spadała zasłona.
I chyżym lotem, by ptak złotopióry,
Wybiegał duchem wysoko do góry!
Kędy z rozkoszą napawał pierś młodą
U źródła łaski, nadziemską pogodą.
Tu, gdy dąb stary liśćmi zielonemi
Wieści wyszepce o rodzinnej ziemi,
W krzepkiej mu piersi krew żarem rozplonie,
I lutnię w drżące podejmuje dłonie.
I od Bałtyku po łoża Dunaju,
Dźwięk cudnej pieśni rozsyła po kraju.
Gdzie z hukiem rusznicy brzmi trąba bojowa,
Wtórzą śpiewaka uroczyste słowa;
Gdzie dzwon pogrzebny zajęczy na wieży,
Wraz pieśń żałobna ku niebiosom bieży.

¹⁾ Własne wyrażenie Kacpra Miaskowskiego.

Nie pieśń czczey chwały! lecz gdzie godne cnoty,
Złotego pióra i *litery złotej*.

Zkąd bije promień jak od rannej zorzy,
Miłości ludzkiej i miłości Bożej.

Tam śladem pszczoły, pieśń czysta a szczera,
Z kwietników życia miód pożywny zbiera ¹⁾.

I u królewskich brzmi ona podwoi,

Gdzie młode ramię dorasta do zbroi.

I dźwięk jej w serce królewicza wnika,

Rychłoż oblecze pancerz Warneńczyka,

Rychłoż za czarne Euxynu wody,

Na wieki zagna pogańskie narody? ²⁾.

Lecz dziś brzmią głucho rzewnej lutni tony,

Bo mgłą ponurą widnokrąg zamglony.

Bo dzwon pogrzebu z nad grobu kanclerza,

Godzinę zguby proroczo uderza ³⁾.

¹⁾ Wyrażenia własne Miaskowskiego, w rymach któremi czeił pamięć współczesnych mu mężów, gdy śmierć zamknęła im oczy. Wiele takich pogrzebowych upominków zostało po Kacprze Miaskowskim. Wszędzie jednak czei on prawdziwą zasługę, nigdzie nie ma śladu nikezemnego pochlebstwa.

²⁾ Takie rady dawał Miaskowski młodemu Władysławowi, synowi Zygmunta III-go, któremu poświęcił rymy swoje.

³⁾ Miaskowski wielce ubolewał nad zgonem Jana Zamojskiego, kanclerza W. K. Przewidywał bowiem, że gdy braknie dzielnej jego dłoni, naród upadnie w odmet wojny domowej, której wybuch ten mąż powagą swoją powstrzymywał. Obawy poety ziściły się rychło. Ledwle kanclerz wielki zamknął oczy, wybuchnął rokosz w Małopolsce pod przewodnictwem Mikołaja Zebrzydowskiego i Janusza Radziwiła. Rokosz zakończył się klęską pod

Któż po nim złotą podejmie buławę?
 Kto dźwignie z prochu starą ojców sławę?
 Kto krzepką dłonią chwyci rządu wodze?
 Gdy naród jęczy w sieroctwie i trwodze.
 Kto straszny pożar ugasić podola,
 Co już pustoszy Małopolskie sioła?
 Kto śmiało z gardła krwawe łupy wydrze,
 Domowej zwady siedmiogłowej hydrze?
 Gdzie padł mąż wielki przed ludźmi i Bogiem,
 Co nie dał prawdzie spoczywać odłogiem,
Co królów tarczą i radą był zdrową,
Narodu świecą, zwierciadłem i głową ¹⁾.
 Tak smutny śpiewak boleje i biada,
 A dąb mu głuchym szmerem odpowiada.
 A lutnia z cicha, jak drżąca sierota,
 Gdy w opuszczone zajrzy ojców wrota,
 Zadrgnie boleśnie i łzawe jej głosy,
 Brzmia niby świerszcze na łące bez rosy.
 Dziś im ułudną nie dzwonić nadzieją,
 Kiedy domowe zgubą wichry wieją.
 Gdy łą, nie ziarnem sieje oracz niwy,
 Które zjadliwe zarosły pokrzywy,
 Gdy napojone krwią swojską żelazo,
 Oblicze dziejów plugawą ćmi skazą.
 Gdzie między braci domowymi płoty,
 Z wiatru poświstem krzyżują się groty.

Guzowem w Sandomierskim, którą wojska królewskie zadały rokoszanom.

¹⁾ Słowa te wyjęte są z elegji żałobnej Kacpra Miaskowskiego na skon W. Kanclerza Jana Zamojskiego.

*Gdy ślepy naród nie znosząc praw swory,
Miasto z Niebiosów zaczerpnąć pokory ¹⁾,
Trwoni daremnie swą krzepkość i siłę.
I ziemię znosi na głuchą mogiłę.*

Smutno dąb stary przygwarza tej pieśni,
Kłosiste niwy wtórzą jej boleśniej.
Bo nim je słońce uzłoci do syta,
Może je końskie uzłocą kopyta.
Innym odgłosem wtórzyły równiny,
Pieśni rycerskiej od Dniepru i Dźwiny ²⁾,
Gdy z pod Kircholmu buława hetmana,
Spłoszyła mnogie hufce Sudermana.
Lub gdy pogonią zbity Tatar z tropu,
Stepem jak strzała mknął do Perekopu.
Dziś gdy pogrążon naród w ciężkim znoju,
Jeno co patrzeć szłyka ³⁾ lub zawoju,
Na polskie łupy już tatarzyn chciwy,
Gotuje łuki natęża cięciwy.
Gdy czaty zwada od granic odwiodła,
Już on bieguny wiatronogie siodła.
Szyderczo bratniej urąga niezgodzie,
Gotów zanurzyć sieć w zmaconej wodzie ⁴⁾.

¹⁾ Własne wyrażenia Kacpra Miaskowskiego, przeciw rokoszowi.

²⁾ Karol Chodkiewicz, hetman W. Lit. odniósł roku 1605 wielkie zwycięstwo w Inflantach, nad wojskiem Karola księcia Sudermanii, stryja Zygmunta III-go. Kacper Miaskowski uczcił tryumfem to zwycięstwo.

³⁾ Szłyk, czapka tatarska.

⁴⁾ Takie następstwa wojny domowej wróżył Kacper Miaskowski.

Milknął pomału dźwięk pieśni proroczej,
Śpiewak ku niebu łzawe poniósł oczy,
Ale przez chmury białawe tumany,
Nie spływa słońca promień pożądany.
Dąb jedno, liści koroną wspaniałą,
Wieńczy lutnisty głowę posiwiąłą,
Cisza osiadła na tem wzniosłem czole,
Snać go żywota nie zwalczyły bóle.
Błękitu oka nie przyćmiły burze,
Snać je napawa w przeczystym lazurze;
A czy na lica spadnie łza perłowa.
Czy pierś wyszepcze cichej proźby słowa,
Czyli modlitwą duch kołacze w niebo,
To jedno, bratnią wiedziony potrzebą,
Choć śpiewak stopy ziemię depcze szarą,
Dorósł on nieba miłością i wiarą.
Gdy ziemskie złudy niby liść w jesieni,
Czas mu na skrzydłach rozniósł po przestrzeni
On nawet myślą w ich ślady nie bieży,
Nie pragnie czasu odbijać grabieży,
Lecz w karby ducha okuł harde ciało,
Jak szermierzowi Chrystusa przystało;
I anielskiego dobiega już stanu,
Żyje na ziemi, ale żyje w Panu!
Przeciw boleści duchem się nie miota,
Cicho ją spełnia z kielicha żywota,
Wie, że nie darmo grzech oplótł świat żywy
W koło, twardemi niedoli ogniwy,
Wie, że rozłączył Pan brzemię ofiary
Równy na grzeszne, jak niewinne bary.
Choć człek więc ciała pokruszy okowy,
I w sercu Panu wzniesie ołtarz nowy,

Wszak póki dzielne drga mu w piersi życie,
Czuje w niej bratniej boleści odbicie.
Jemu nie wytchnąć, aż w boleści progu,
A więc on cierpi, ale cierpi w Bogu!

Na jego padoł mrok zapadł bez końca,
Oko wilgotne nie ogląda słońca,
Matka spokoju, cicha noc nie może
Snu zbolełemu sprowadzić nad łożę ¹⁾.
Na świat on płacze nie na własne rany,
Z świata mu płynie źródł łez nieprzebrany,
A zwiędłe lica skrył rumieniec sromu,
Bo widzi ściany odwiecznego domu
Dźwignione w Bogu sześciu wieków pracą,
Jako w nie wichry domowe kołaczą,
Niosąc zarzewie na on dach wysoki,
Co niegdyś wiarą sięgał pod obłoki!
O! płacze śpiewak, bolejeż on krwawo,
Patrząc jak ludzie depczą Boże prawo,
Prawo miłości, co człeka wznieść zdoła
Z ziemi w aniołów promieniste koła.
Płacze, bo widzi jak przewrotne głowy
Rzucają kąkol w posiew Chrystusowy,
I głuszą prawdy nieskalane ziarno,
I w sieć wymowy świętokradzko garną
Wnuki cnych dziadów, co niegdyś na straży
Sprawiali czaty u Pańskich ołtarzy,
I usty sławiąc cześć Boga-Rodzicy,
Pierśmi jak murem słonili granicy,

¹⁾ Własne wyrażenia K. Miaskowskiego.

A dziś, te ryte mianem Maryi kordy,
Pławią się niecznie braterskimi mordy.
Ziemia krwi strugi wypija cierpliwa,
Lecz woła w niebo i dnia pomsty wzywa,
A Pan, miecz kary naostrza już w gniewie,
Rychłóż go spuści? na kogo? nikt nie wie.

Może grobowa pochodnia zapłonie
W karę bezbożnym na przyszłości łonie!
Nad głową piewcy dąb zaszumiał głucho,
On zdjęty trwogą bije pierś ze skruczą,
„Wstrzymaj ich panie! — zawoła w zapale,
Nim złe przeciąży miłosierdzia szalę,
Nim fałsz ich serca zaleje potokiem!
Oni upadli Panie! pod Twem okiem,
Niewierne Tobie kaimowe plemię,
Krwia znowu bratnią zrumieniło ziemię,
Bo szatan spletał ścieżki Twej czeladzi.
Nim on zbłąkanych w bezdroża sprowadzi,
Ty skrop im grzbiety hizopem o Panie,
A rychło ciemne porzucą otchłanie,
I znów powstaną tak czysci i bieli,
Jak śnieg gdy zimą pola uweseli;
Usta ich zabrzmią anielskimi słowy,
I bluszcz zielony oplecie im głowy
I zaślą oko po twych tropach wszędzie,
I duch Twój wodzem i światłem im będzie,
On. w dłoń im poda złote wiosło wiary,
Prawdy nad nimi rozwieje sztandary,

I przez głębokie łez pokutnych morze
Do tronu Twego, powiedzie ich Boże!“

Umilkł, i w górę łzawe podniósł oko,
Mrok szary niebo zaściela szeroko,
Cisza na ziemię spływa uroczyście,
Tylko niekiedy zadrzą dębu liście,
Czasem na gruszy odezwie się sowa,
I ziemia stęknie, gdy od pól Guzowa
Z rosą huk rusznic pomknie po jej łonie.
Czasem światelko w moczarach zapłonie.
Marny to robak, albo-li duch może
Rzuca chwilowo cmentarzowe łoże.
I głucho ziemi senne wróży sieje,
Nim hasło świtu czujny kur wypieje.
W około cisza, żałoba i trwoga,
A przyszłość drzymie na łonie u Boga,
Nim On, Wszechmocny na ziemi i niebie,
Złotą jej przędzę wysnuje sam z siebie.

IV.

Pamiętasz, dzisiaj rocznica oto:
Jako w purpury zdobni i złoto,
Z berły, w zawojach litych na głowie,
Od wschodu słońca szli trzej królowie;
A wiernych ludów mnogie orszaki,
W ślad królewskiemu ciągnęły znaki,
A cudna gwiazda blaski drżącemi,
Znaczyła naprzód drogę przed niemi;

Aż gdy stanęła nad Betlejemem
 Padli królowie w przejęciu niemem,
 I uderzając czołem w pokorze,
 Uczcili w żłobie dzieciątko Boże,
 A porzuc przestrzeń złotemi pióry,
 Gwiazda z nad żłobu pomkła do góry.
 I odtąd ziemi jasno a stale,
 Swieci przez modre powietrza fale.

Ubiegły wieki, o teźże dobie,
 Już nie w stajenki ubogim żłobie,
 Nie z promienistym wieńcem na czole,
 Płaczem witało ziemię pachole.
 Jemu radosne Aniołów głosy,
 Chwałą nie brzmiały aż pod niebiosy,
 Ni mu pastusze grały multany,
 Jedno na białe komnaty ściany
 Jakby ogniwa tajemne łaski,
 Gwiazdy mu ciche spłynęły blaski.
 Wszak i to człowiek! więc dziecię Boże,
 I jemu twarde świat ściele łoże,
 Ostre mu gwoździe członki przeboda,
 I tarń oplecie skroń jego młodą,
 On także w duchu i czoła pocie
 Twardy poniesie krzyż ku Golgocie.
 I wyciągając w niebo ramiona,
 W łzach dni przeżyje, w boleści skona.
 Aby więc śmierci odegnać trwogę.
 Pan nam śle promyk na cichą drogę.

O! wiódł go stale on zwiastun Boży,
 Wśród żywota ciemnych bezdroży,

Po nad kołyską świecił mu społem,
Ze złotopiórym Stróżem Aniołem,
Karmił go wiary i piersi mlekiem;
A gdy łza dziecię czyni człowiekiem,
Kiedy łódź jego na mętnej wodzie
Głucho kołysze wiatr w niepogodzie,
Gdy mu żaloba duszę oblecze,
I utkwia w piersi boleści miecze,
Gwiazda mu z góry pociechę niesie,
Aby nie zbłądził w żywota lesie.
A kiedy młodzian dorasta męża,
Ona go zbroi miasto pawęża,
Pod godłem onej chorągwi złotej,
Potężnie ciemne rozgania rotę.
I w drżące lutni potrąca struny,
By z piersi bratniej spadły całuny,
W które niewiara w dzień jasny mroczy,
Zakrzepłe serca, zagasłe oczy.
I pieśń też jego słodka a szczerą,
Oczy i serca prawdzie otwiera,
Choć świat w posadach drży zdjęty trwogą,
A złe ogarnia ziemię pożogą,
On z czystą pieśnią krąży po świecie,
Lotny jak sokół, ufny jak dziecię;
Aż brnąc przez zgliszczą, skazą nie tkniony,
Z pieśnią starości dobiegł zielonej,
W niezamąconem z Bogiem przymierzu,
I dziś jak łabędź w bieluchnym pierzu,
Dobiegłszy zwolna wieczności progu,
Śpiewa on jeszcze ludziom i Bogu,
A gwiazda z nieba sieje mu wieści,
A dąb o ziemi głucho szeleści.

Siła lat zbiegło jak w starem gnieździe,
Orle zwróciło oczy ku gwieździe,
Gdy mu raz pierwszy zalsniła jasno.
Gwiazdy promienie wszakże nie gasną.
Lecz oko pierwszej dogasa zwolna,
Nie sprostą chęci dłoń nieudolna,
Lat i boleści podwójne brzemie
Bezsilne barki pociąga w ziemię,
I drżącą głowę ku piersi kłoni,
A puchy śnieżne sieje na skroni;
Złotą pociąga krasą jagody,
Jedno nie zgania z czoła pogody,
O! bo je zdawna od burz i chmury,
Anioł białemi osłonił pióry.

Cudny dziś promień zdobi to czoło.
Gdy miłych druchów przyjazne koło,
Z którymi starzec przeżył wiek młody,
Odwiedza progi cichej zagrody,
Pragnąc narodzin dzień uroczysty
Uczcić, w ubogim dworku lutnisty,
Pół wieku w bratniej Kacpra drużynie,
Święto Trzech Króli nad inne słyńie.
Kto z nim zażyłość zachował ścisłą,
Czy to nad Wartą, czyli nad Wisłą,
W dniu tym samotne odwiedza progi.
Niegdyś tu poczet przyciągał mnogi;
Niby jaskółka wiosną pod strzechę,
Biegli tu dzielić bracia uciechę.
Lecz jak pod sierpem kłosów we żniwa,
Tak serc na ziemi bratnich ubywa!

Wszak gdy jesienna zamieć nastaje,
 Lecą jaskółki w szczęśliwsze kraje,
 Kędy im z nieba promyk radosny
 Wśród wiekuistej przyświeca wiosny!

Z mnogiej drużyny niegdyś Kacprowej,
 Trzech dziś obsiadło płomień domowy,
 Co jeszcze słabo na ścianach błyska,
 Oj! to ostatnie kłosy ścierniska,
 Z pod sierpa żeńca uszłe szczęśliwie,
 Sterczą samotnie na pustej niwie!
 Wszyscy trzej niby siwe sokoły,
 Ziemię i niebo dzierżą na poły,
 Każdy żywota wieniec dopłata
 Sięgając duchem na krańce świata.

Przy gospodarzu zasiadł na ławie
 Starzec jak gołąb' stuletni prawie,
 Krzepkiego ducha, silnego ciała,
 Stanisław Rybski, herbu Grzymała.
 Szczery to Mazur; jego to plemię,
 Pokryło bujno gostyńską ziemię,
 Jak kłos pszeniczny w roli tej czarnej,
 Co stokrotnemi rozkwita ziarny.
 A każdy z rodu z licem wesołem,
 W górę jak dębczak wybiega czołem,
 I siła tego w różnych lat dobie
 Rośnie ojczyźnie g'woli ozdobie.

Nie masz bo ziemi, jako Mazowsze!
 Myśl tu czerstwiejsza, powietrze zdrowsze,

Wszak na Mazurach w tej roli złotej,
Mają gospodę domowe cnoty;
Szczera poczciwość, miłość i praca,
Z wiarą tam ojców jeszcze popłaca.
Slepi co prawda, lecz na *złe ślepi*,
Złe się ich rodu nie łąco czepi,
Kiedy kościoła niewierne syny
Sieją genewskie w koło nowiny,
Gdy małopolskie pola i miasta,
Posiew bezbożny bujnie zarasta,
Gdy w Dobromilu, w Książu, w Rakowie,
Nie poprzestając na żywym słowie,
Księgi ku Bożej obrazie tłoczą,
Mazur za pługiem stąpa ochoczo.
I torem ojców idąc wytrwale,
Śpiewa godzinki ku Maryi chwale.

Slepe mazury przysłowie prawi,
Niech tę ślepotę Bóg błogosławi!
Slepi w dzień biały, lecz jako sowy;
Gdy ziemia zdrzymnie w ciszy grobowej,
Skupiając dzielnie źrenicę czarną
Słabe w nią światła odbłyски garną,
I widzą jasno siłą tajemną,
Gdy innym w koło pusto i ciemno.

Za Rybskiem siedzi mąż ćwiczon w słowie.
Jarosz na Brzanach i Podwodowie,
Krzyż na nim złoty, z atłasu szata,
Zrazu dostojność jawią prałata.
Stróż to niezłomny obory Bożej,
Co na odstępce jak lew się sroży.

Wczasu on w nocnej nie zazna dobie,
Gdy drudzy drzymią na oczy obie.
Lub gdy przybrani w komże trefione,
Pieją różanec i antyfonę,
On strzegąc murów Bożego domu,
Gromadzi zapas strzelb do odgromu ¹⁾,
Wiernie zasłania pierśmi ołtarze,
W proch jadowite ściera potwarze,
Ledwie bezbożni łuki natężą,
Wnet je ojczystą gromi pawężą,
Sztandar kościoła roztacza górą,
I stałą prawdy hartowne pióro
W wiary ożywczym nurzając zdroju,
Srogą wyzywa hydrę do boju.
A walcząc w Imię Bożego Syna,
Łby jej po jednym z karku odcina,
To obosieczny on *miecz Jechowy,*
Młot co kacerskie roztrąca głowy ²⁾,
Filar co ramię podpięra Skargi ³⁾,
Gdy Piotr złotemi czci Trójkę wargi.
O! pierś Jarosza to strumień żywy,
Co wiarą żyzni zgorzałe niwy.

¹⁾ Własne słowa Kacpra Miaskowskiego, wyrażone w wierszu do Hieronima Podwodowskiego, który w owym czasie zapasów religijnych był jednym z głównych filarów kościoła katolickiego w Polsce.

²⁾ Tak w owym czasie przezwano Podwodowskiego.

³⁾ Piotr Skarga, toczył zacięte walki piśmienne z różnawiercami. On się stanowczo przyczynił do podźwignienia zachwianego w tym czasie kościoła w Polsce.

Z niej się słów przędą urocze sidła,
Co karki pyszne jarzmią w *wędzidła* ¹⁾,
I Judaszowe przywodzą plemię ²⁾,
Że z bark zrzucając bezbożne brzemie,
Bije pierś grzeszną w żalu i skrusze,
I w łzach pokuty skąpaną duszę,
Gwałtem wydartą z hydry obłowu,
Panu na chwałę powraca znowu.

A trzecim w gości dostojnych gronie
Mnich, co dni przeżył w pańskim zakonie;
Słynny mądrością, sędziwy wiekiem,
Zrodzon przed laty w gnieździe dalekiem,
W pobliżu grodu, gdzie moc tajemna
Pociąga Wilją w objęcia Niemna.
Równie pociąga mocą pokory,
Mąż co porzucił litewskie bory.
Przed pychą świata i blaskiem dworu.
Głowę w zacisze schronił klasztoru.
Stary Wołłowicz mnogie już lata ³⁾,
Dzierży w Lublinie godność opata.
Nieraz gdy srogie wichry zagnały
Korab' ojczysty pomiędzy skały,
I mnich porzucił klasztorną celę,
Rzekł braciom słowo mądrze a śmieie.

¹⁾ Wędzidła na błędy Ariusza, dzieło polemiczno-religijnej treści, Jarosza Podwodowskiego.

²⁾ Inne dzieło Podwodowskiego p. n.: „Judasz z potomstwem.

³⁾ Eustachy Wołłowicz, opat Benedyktynów w Lublinie, przyjaciel Kacpra Miaskowskiego.

I znów w samotne powrócił mury,
 Kędy z pokorą jak Mojżesz wtóry,
 Gdy swoich klęski pierś mu przebodły,
 Stał ku niebiosom żarliwe modły.
 Dostojny opat wysoko ceni,
 Anielski urok Kacprowych pieni,
 Czy nad żywotem rozmyśla Pana,
 W celi zginając kornie kolana.
 Czy w chórze społem z Benedyktyny,
 Opiewa krwawej męki godziny,
 Czy przy organach hymnem wesela,
 Sławi przybycie Emmanuela;
 Wciąż mu radośniej alboli smutniej,
 Przywtarza brzmienie kacprowej lutni.
 A i śpiewaka miłuje szczerze,
 On jak w krynicy skąpał go w wierze,
 Gdy mu tęsknoty długa posucha,
 Spaliła serce, zwałowała ducha.

Starce zimowym skurczeni chłodem
 Pierś zagrzewają stuletnim miodem,
 Z rąk do rąk czara krąży koleją,
 Już blade lica wdzięcznie kraśnieją,
 I snadno dojrzeć w zwierciadle oka
 Jak z myśli mętna spada powłoka.
 Snać w sercu jaśniej, cieplej i szczerzej,
 I słowo samo na usta bieży.

— Czyż — rzecze Kacper — głos mój wypowie,
 Ilem wam wdzięczzen święci ojcowie,
 I tobie niemniej druchu kochany,
 Żeście uczcili me puste ściany.

Z wyroków Pana, dźwięk głosu bratni
Zabrzmi w nich dzisiaj po raz ostatni.
Już się rozpada pod stopy memi,
Chłodna a wierna pierś matki ziemi;
Jeszcze dni kilka, a głowę złożę
Na wypoczynek w to ciche łóżę.
Już duch mój ziemskie targa okowy,
Gotów wybieżeć w on przestwór nowy,
Gdzie żywot pełnym kagańcem gore!
Już mu nie ciało ożywiać chore,
Ani mu ziemską poić się rosą,
Gdy wyżej lotne skrzydła go niosą,
Tam, skąd w żywota ciemnej zawiei
Wciąż mu świeciła gwiazda nadziei!

— Synu! — wyrzecz Jarosz — nie tobie
Z trwogą o chłodnym przemyślać grobie,
Kto, jak ty, wiedzion wolą wytrwałą,
Tchnął żywą wiarą, żył niebios chwałą,
Kto ścieżki pańskie potrzasał kwiatem ¹⁾,
Kto ziarnem pieśni posiał bogatem,
Puste ugory wyschłe niewiarą,
Kto w sercach wskrzesił pobożność starą,
Komu chleb ducha winni rodacy,
Ten jako oracz po znoonej pracy,
Gdy ostatniego doorał łanu,
Bezpieczny może odpocząć w Panu.

¹⁾ Najpiękniejsze z pieśni Kacpra Miaskowskiego są te które mi uczył naródenie, żywot i mękę Zbawiciela.

— Tak miły synu — opat wyrzecz —
Nad lotne strzały, nad ostre miecze,
Snadniej pieśń wnuknie w głąb ludzkiej duszy.
Strzała zabija, żelazo kruszy,
A pieśń tchnie łaski żywotne zdroje,
Rozmyka niebios zwarte podwoje,
Przybytki kłamstwa obala czarem.
Kiedy pod prawdy zabrzmi sztandarem.
Wszak gdy przed arką trąby zagrzmiały,
Wprost się skruszyły Jerycha skały!
I twoja synu pieśń nieskalana,
Brzmiała w dzień trwogi przed arką Pana,
Gdyś ją wyśpiewał w szczerym zapale,
Wraz przestępstw bratnich zważyła szalę;
On żar, co wiernie tlał w twojem łonie;
Wnikł w serca braci i niebu płonie.
Już dokonane synu twe żniwo,
Pochyl w milczeniu głowę sędziwą,
A gdy cię wyrok święty powoła,
Idź osłoniony skrzydły anioła.
Tam, kędy mocą niezłomnej woli,
Drogą ofiary, łez i niedoli,
Ścieżkę-ś wydeptał, święcie w pokorze,
Z pieśnią na ustach, jak dziecię Boże!

Po licu piewcy łza bieży z cicha,
Wyciągnął drżącą rękę do mnicha:

— Ojczy! — zawoła wzruszon do głębi.
Aż włos na skroni zadrżał gołębi —
Prawda, jam stopy poranił srodze
Sam po krzyżowej stąpając drodze,

Prawda, jam cierpiał, łez wylał zdroje,
Lecz święte Panie wyroki Twoje!
(Tu obie dłonie uniósł do góry,
A gwiazda cicha zbiegła z za chmury.
I blask po oknie rozsiewa złoty),
Panie! Ty byłeś ojcem sieroty!
Z twojej ja lutnię podjąłem ręki,
Tyś błogosławił drżące jej dźwięki,
One mi były rosą na rany,
One mnie wiodły w przestwór nieznany,
Gdzie wszystko światłem, pieśnią i wonią,
Gdzie aniołowie Twą chwałę dzwonią,
Gdzie jasne światów słonecznych kręgi
Drżąc przed obliczem Twojej potęgi,
Zwiastują cuda miłości Twojej,
Gdzie strumień łaski pierś ludzką poi,
Gdzie pęd tajemny pcha nas ku Tobie,
Coś zdrój żywota zawarł sam w sobie!
Gwiazdo moja! tyś mnie wiodła,
Do żywego prawdy źródła,
Gdy ty zaśnisz w nocną ciszę,
Widzę cuda, cuda słyszę,
Tają lody, ciemność kona,
Z promiennego niebios łona
Spływa niebios odkupienie.
Harf anielskich słyszę brzmienie,
Widzę, górą przez lazury,
Płynie zastęp złotopióry,
Jakby rosę ziemi sieje,
Miłość, wiarę i nadzieję,
Brzmi już pieśnią przestrzeń cała,
Chwała Panu! Wieczna chwała!

Widzę, spływa blask różowy
 Na pastuszków ciche głowy,
 By majowe kwiaty wiosną,
 Czyste serca niebu rosną,
 Brzmia w multany, dma w fujary,
 Do Betlejem niosą dary,
 Kędy w żłobie dziecię kwili,
 Co shołduje świat po chwili.
 Słyszę zdala tentent koni,
 Po pustyni wichry goni;
 Świetny poczet pędzi żywo,
 W trop za gwiazdą złotogrzywą,
 Aż ta światłem błysnie całem,
 Gdzie cud żywy, słowo ciałem!
 Dalej mędrce! na kolana!
 Bijcie czołem u stóp Pana,
 To, co wróżył głos proroczy,
 Oglądają wasze oczy!
 Widzę, w prochu ukorzeni,
 Toną w świetle tych promieni,
 Co blask siejąc rubinowy
 Z pacholęcia cudnej głowy,
 Ziemskich koron błyski gaszą,
 Piją radość pełną czasą,
 I składają przed żłób miły
 Z gór murzyńskich złote bryły.
 Dar to zwykły w królów progu;
 A kadzidło niosą Bogu,
 O! i miry pełne czary,
 Godło śmierci i cfiary,
 To odwieczne grobu znamię,
 Który siłą On rozłamie!

O pachole! widzę Ciebie,
Jak moc czerpiąc z Ojca w Niebie,
Wygorzałe niwy ziemi,
By kroplami perłowemi,
Sycisz słowa świętą rosą,
Aniołowie w koło niosą
Wiekuiste zgłoski Twoje.
I tryskają żywe zdroje
Z piersi ludzkich twardej skały.
Świat topnieje skamieniały,
Bo miłości Twej potęga,
W słodkie jarzmo serca wprzęga,
Już zaklęty Twemi słowy
Rozwarł bramy Eden nowy,
O! i czemuż w grzesznej złudzie
Od bram jego stronią ludzie?
Jeszcze chwila, z mętnej fali
Krew Barauha ich ocali,
I nakarmi w ducha głódzie.

Widzę Pana, sam, w ogrodzie,
Pod oliwnych drzew osłoną
Chyli głowę nieskażoną,
Pot strumieniem z lic mu spływa,
Piers do głębi drży trwożliwa.

— „Czemuś — woła — mnie o Boże!
Na tak twarde rzucił łoże,
Oddał srogi kielich męki,
Twej wszechwładnej mocą ręki,
A gdy woła Twoja Panie,
Tobie zadość niech się stanie!“

Widzę, ciągnie od bram grodu,
 Bluźniąc straszna ćma narodu,
 Ludzka sroży się ciemnota,
 W obec prawdy, klątwy miota!
 Niby burza huczy w lesie,
 A pod górę Chrystus niesie
 Krzyż cedrowy, skrwawion srodze
 Po skalistej stąpa drodze.
 Tarni mu wrosła w sine skronie,
 A Marya z mieczem w łonie,
 Między ławym wiernych gminem
 Postępuje w ślad za synem.
 Woła zgraja: „*Oto człowiek!*“
 Z pod spalonych znojem powiek
 Łez mu krwawe płyną zdroje.
 Nie na rany płacze swoje
 Zbawca, ciężkim zdjęty żalem,
 Lecz nad tobą Jeruzalem!
 Nad plemiony płacze twemi,
 Co jak zwiedły liść po ziemi,
 W urąganie wszego świata,
 Czas jak plewę porozmiata,
 A Pan na twym pustym grobie,
 Z głązów wskrzesi wierne sobie,
 Gromy głoszą śmierci hasło,
 Drży wskróż ziemia, słońce zgasło,
 Już w przybytku Salomona
 Sama pęka w pół zasłona,
 Co tajemnic świętych strzeże.
 Dokonane znać przymierze!
 Krzyż zakuty w twardą skałę,
 Wszerz ogarnia ziemie całe,

Górą sięga pod niebiosą,
A krwi świętej ciemna rosa
Odkupując krew Ablową,
Z prochu dźwiga świat na nowo.

Ciemno, pusto, w grzesznem mieście,
Tylko jęki brzmią niewieście,
Kamień święte ciało tłoczy.
Gлуcho drzymie świat w omrocy,
A na niebios zgasłem łonie,
Tylko złota gwiazda płonie,
Co w stajenki ciche progi,
Wiodła mędrców poczet mnogi,
W jej promieniu drżącym z góry,
Spływa anioł złotopióry,
Nieśmiertelną wsparty siłą
Głaz odwała nad mogiłą,
I w powietrzne mknie przestrzenie.
I rozprasza mroczne cienie,
I zapala zorzę jasną
Której błyski nie zagasną,
A gdy w modrej fali tonie
W Serafinów lotnem gronie.
Z słońcem, z rosą, z wonią kwiatu
Alleluja zsyla światu.

Coraz to ciszej brzmi głos lutnisty,
Spływa rumieńca blask przezroczysty,
Co rozpromieniał lica przed chwilą
Lecz się ku ziemi barki nie chylą,
Jeszcze nie odjął z tej gwiazdy oka
Co strumień światła sieje z wysoka,

Przez mchem obrosłe czarne konary.
 W które oplata strzechę dąb stary;
 Jeszcze myśl w górze duch lotny pędzi,
 Jeszcze nie dosnuł pieśni łabędziej.
 A wierne druchy z pochyłą głową,
 Każde w głąb myśli składają słowo,
 Bo przeczuwając snąć dusze bratnie,
 Że to śpiewaka słowo ostatnie,
 Po wszystkich trwogi obiegły dreszcze;
 On spojrział w niebo, ozwie się jeszcze,
 Ale tak drżąc głoś jego spada,
 Ale twarz starca tak dziwnie błada,
 Jakby mu z piersi w ducha zachwycie,
 Z słowem gasnące zbiegało życie.

— Tyś mi gwiazdo moja złota
 Upiękniała dni żywota,
 W twem promieniu biedny, mały,
 Czułem odbłask Pańskiej chwały,
 Gdyś mi zbiegła z niebios łona,
 Czysta, jasna, nieskażona,
 Jam anielskie zaznał gody,
 I w krynicy żywej wody
 Napoiłem pierś zboląłą,
 I wybiegłem w przestrzeń śmiało.
 O! wybiegam coraz dalej,
 Choć skwar letni głowę pali,
 A z pragnienia pierś usycha —
 Gdy mu szepniesz gwiazdo z cicha
 Twe zaklęcia tajemnicze,
 Łez nie liczę, ran nie liczę,

Lecz ukrzepion mocą wiary,
 W lazuruwe mknę obszary,
 Piór mych polot wzbijam hyżej,
 Coraz wyżej, coraz wyżej!
 A im dalej duch skrzydłaty,
 W nadpowietrzne pędzi światy,
 Tchnienia ziemi mniej mi trzeba;
 Dość mu ciszy, blasku, nieba,
 O kwieciste niedbam zdroje,
 Dość, gdy suchą pierś napoje
 Łzami rosy perłowemi,
 I co ziemskie, rzucam ziemi,
 Jak liść zwiędły po niej sieje.
 Sny, ułudy i nadzieje.
 A im więcej z bark mych zleci
 Żłud, któremi ziemskie dzieci,
 Złocą szarych dni pustkowie,
 Lżej mi w sercu, ciszej w głowie.
 I ku mojej gwiazdzie złotej,
 Wolen troski i tęsknoty,
 W przezroczystej pływę fali,
 Coraz dalej, coraz dalej!
 A tam gwiazda w ślad przedemną,
 Płynie lekko i tajemno,
 Lecz zwolniła już w pochodzie...
 O Betlejem!... cudny grodzie
 Czyż twe bramy niedaleko?...
 Tylkoż twarde grobu wieko,
 Ową przestrzeń dzieli bliską?
 Ale gaśnie już ognisko!...

Już gwiazda mi złota,
 Spłynęła na wrota
 Stajenki ubogiej;
 Skończony kres drogi,
 Kres bólu i prób!
 Poglądam bez trwogi
 W rozwarty już grób...
 Bo za nim w oddali
 Stajenka i żłób.
 Pragnienie pierś pali,
 Wątleje duch mój;
 A tam się kryszkali
 Nieznany mi zdrój,
 Zdrój cudów i łask!
 Nad żłobkiem, u bram
 Mej gwiazdy lśni blask,
 Zbawienie, o tam!
 Tam światło, tam moc,
 Tu boleść, tu chłód,
 Tu ciemność i noc,
 Tu praca i trud,
 Tu gwoździe, tu głóg,
 Tam prawda i Bóg!

I upadł śpiewak drżący na ławę,
 Przymknął pomału powieki łzawe,
 Zbiegła już słaba z oblicza krasa,
 W stygnącej piersi zwolna dogasa
 Czysty kaganiec, który w noc ciemną,
 Promieniem gwiazdy sycon tajemno,
 Cudem zażegnał błędne tumany,
 I złoty wątek wiary starganej.

Ku chwale nieba w serca wsnuł bratnie.
 Zmilkło śpiewaka słowo ostatnie,
 Resztki żywota rychło on prześni!
 Jak śpiewakowi wyżyć bez pieśni!
 Jeszcze o puste komnaty ściany
 Odbrzmiewa głucho dźwięk lutni znany,
 Jeszcze nad strzechą jękiem boleści
 Czasem odwieczny dąb zaszeleści,
 Gdy wiatr mu konar odtrąci suchy,
 W komnacie płaczą sędziwe druchy,
 Gaśnie pomału płomień ogniska,
 Tylko przelotnie gwiazda połyska,
 A wśród ciemności nocy ponurej,
 Nad starym dębem On, srebrnopióry,
 Co twarde grobów głązy odwala,
 Z pochodnią w dłoni stróżuje zdala,
 Rychło wyrwaną z śmiertelnych progu,
 Duszę przeczystą poniesie Bogu.

Skreśliwszy obraz poety chrześcijanina i obywatela, którego duch ożywiał mię w tej pracy i w niej odbija się o tyle, o ile zdolność moja wystarcza, udzielię wiadomość historyczną o życiu i pracach tego następcy nieśmiertelnego Jana z Czarnolasu; następcy, który stratę jego jeżeli nie wynagrodził, to przynajmniej zmniejszył.

Obok słynnych poetów Zygmuntowskiej epoki, którzy podniosłością ducha i pięknością mowy, nadali swoim czasom nazwę złotego wieku literatury polskiej, obok Jana Kochanowskiego i Klonowicza, słuszne miejsce przy-

należy się Kacprowi Miaskowskiemu. Przyznali mu współcześni, przyznała je i dzisiejsza krytyka. Herbut z Dobromiła, sam również poeta i uczony z czasów Zygmunta III-go, nazwał go polskim Pindarem, a pienia jego religijne, wyżej stawiał nad pienia Jana z Czarnolasu. „Kto je porówna — mówi on — z płodami Kochanowskiego, ten rzecze, że te Dawid, a tamte Anioł pisać musiał.“ Zowie go ozdobą języka i sławy sławiańskiej, powiada, że u niego piękności lirycznych tyle ile kwiatów w lesie. Niemniej chlubnie współczesny Miaskowskiemu Lechowicz (Szkot spolszczony) wspomina o naszym poecie: „Miaskowski nowe światło kujawskiej strony, gdzie jeno zamierzył:

Tam dowieipu pióry,
Dochodził wierzehu niedostępnej góry.

Później jednak cień zapomnienia pokrył na długo piękną postać naszego religijnego wieszczu. Dzisiejsi dopiero uczeni wydobyli go z pomroku wieków i przynależne stanowisko naznaczyli mu w literaturze polskiej. Słynny poeta Woronicz, mówiąc o uczniach Jana Kochanowskiego, Grochowskim, Rybickim i Kochanowskim, wyżej nad nich stawia Miaskowskiego. „Prześcignął tych wszystkich — mówi on w rocznikach Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk — mąż niepospolity w poezyi Kacper Miaskowski, ziemianin Wielkopolski. Rytmu jego religijne powadze i dostojności religji naszej odpowiadające, są najszcowniejszym w tym rodzaju zabytkiem tamtego wieku.“

Sąd tak pochlebny wieszczu-kapłanu, mógł zaprawdę rozradować popioły polskiego liryka, od dwóch wieków złożonego w grobie, a co gorsza przysypane prochem niepamięci. Dzieła bowiem Miaskowskiego, policzone do osobliwości

bibliograficznych, spoczywały na półkach bibliotek, a naród zapomniał o tym, który był niegdyś jego chlubą, wyrazem religijnych jego uczuć. Dziś dopiero, gdy z nowym zapalem zwrócono się ku Bogu, gdy odwieczna wiara naddziadów ożywiła ducha, piękna postać naszego poety wychyliła się z łona czasów, ozdobiona wieniec niezwydłym. Wkrótce po Woroniczu, przemówił za nim Joachim Lelewel, żaląc się (w księgach bibliograficznych), że dziś mało kto może się przekonać o poetyckich zaletach Miaskowskiego. W „Bibliotece polskiej“ wychodzącej w latach 1825—1826, redaktor tego pisma F. S. Dmochowski skreślił wiadomość o życiu i pismach Miaskowskiego, jaką mógł zebrać z niedokładnych materiałów, które miał wówczas pod ręką, umieścił kilka jego poezyj i zwracał uwagę współziomków na wartość tego wówczas prawie zapomnianego pisarza. Później uczony W. A. Maciejowski porównyując go w piśmiennictwie swoim z Kochanowskim, uznał Miaskowskiego wyższym „natchnieniem, zapalem, wyobraźnią, lubo nie dorównywałemu mu uczuciem, prostotą i tkliwością serca.“

Gdy więc powszechna uwaga zwróciła się na naszego poetę, znalazł się i nakładea, który z krytycznym rozbiorem wydał na nowo jego prace ¹⁾, a tem samem uprzyściplenił poznanie słynnego piewcy, którym naród słusznie poszczycić się może. Rozbiór utworów Miaskowskiego przez Juliana Bartoszewicza ²⁾, ogłoszony po wydaniu tego zbioru, obznajmił dokładniej jeszcze ogół z wzorowym naszym poetą i wielce ożywił natchnioną jego postać.

¹⁾ Jan Rymarkiewicz wydał w Poznaniu w r. 1855 „Zbiór rymów Kacpra Miaskowskiego.“ Nakładem J. K. Żupańskiego.

²⁾ Drukowana w „Dzienniku warszawskim“ 1856 roku.

Pięknym był żywot Miaskowskiego, a lubo ani poeta sam, ani współcześni mu rodacy, nie przekazali nam żadnych szczegółów, któreby ów żywot uwydatnić mogły, wszakże pozostały nam pełne wdzięku i wzniosłości pienia, z których jakby ze złotej przędzy możemy bez trudności odtworzyć bogaty wątek dni przeżytych w Bogu, uświęconych prawdziwie wyższem religijnem namaszczeniem.

Jak Klonowicza, tak i Miaskowskiego cierpienie uczyniło poetą. Ale ponieważ cierpienia obudwóch z odmiennego wypływały źródła, tak też odmienne na ich pracach wycisnęły piętno. Klonowicz w stosunkach społecznych, skutkiem niskiego rodu (co za jego czasów tak wiele znaczyło), na fałszywem postawiony stanowisku, czując się jednak pasowanym na prawego szlachcica, nie ludzkim ramieniem, ale łaską Boga, który wlał szlachetne uczucie w jego duszę, Klonowicz boleje nad zepsuciem podnoszącem głowę w narodzie, a bronią satyry chłoszcze niesforne karki. Nienawiść jaką obudził, podnosi jeszcze jego zapal, ale zarazem wlewa gorycz w serce, czyni go męczennikiem prawdy, wprowadza w progi szpitala, gdzie kończy opłakany żywot w samej sile wieku. Odgłos jego niedoli, rozchodzi się rychło po kraju, a ogólne współczucie otacza grobowiec poety. Potomność uważa w nim polskiego Tassa i Kamoensa ¹⁾, a podwójny wieniec z wawrzynu i ciernia uwieńcza nieśmiertelną jego pamięć.

Taż sama niedola, mniej głośnie, niemniej jednak rzeczywista, stargała żywot Miaskowskiego, ale zarazem

¹⁾ Tasso, słynny poeta włoski, uwięziony był w domu oblężonych, przez Alfonsa księcia Ferrary. Kamoens, poeta portugalski, umarł w szpitalu przywieziony do ostatniej nędzy.

wysoko podniosła jego ducha. Bóg chłoszcząc go boleśnie a nieustannie, nie używał do tego pośrednictwa ludzkiej ręki, ale sam po jednym odbierał mu wszystkie kwiaty życia, osierocił go przedwcześnie z wszelkich rodzinnych związków i pozostawił samego na świecie z sercem tkliwem, z wyobraźnią ognistą, z duchem wzniosłym i chciwym prawdy. I duch poety zwyciężko wyszedł z ciężkiej walki. Widząc w około siebie same pustki i grobowce, czując, że żadne ziemskie źródło nie zdołają napoić spragnionej jego piersi, zwrócił się poeta wyłącznie ku niebu, umiłował Boga całą siłą stęsknionego serca, ku jego chwale nastroił tony swej lutni, ukochał krzyż cisnący mu barki, oswobodził serce z ziemskich chęci i rozwinięszy potężnie skrzydła wiary, wybiegł duchem tam, gdzie żadna burza zmącić nie mogła jego wewnętrznego spokoju.

Oto są wnioski, wyprowadzone ze szczerych a wzniosłych pieni Kacpra. Przebiegnijmy teraz zwyczajne, ciche, ale niemniej ważne wewnętrznem znaczeniem koleje życia jego, których ślad pozostał w samychże pismach poety.

Kacper Miaskowski urodził się w Wielkiej-Polsce, w dziedzicznym gnieździe swego rodu Smogorzewie. Ojciec odumarł go w dzieciństwie, gdy zaledwie dobiegał lat dziesięciu, matka dotknięta morową zarazą osierociła go wkrótce potem, wraz z kilkorgiem pozostałego rodzeństwa.

Odebrawszy pierwsze wychowanie w rodzicielskim domu, młody Kacper pobierał nauki w klasztorze, następnie zaś, w akademji Lubrańskiego w Poznaniu. Że nie był zagranicą według ówczesnego zwyczaju, świadczą o tem same jego pisma, nacechowane staropolską pobożnością, oraz ściśle narodowe stanowisko, z którego zapatrywał się na ówczesne polityczne sprawy.

Ukończywszy nauki akademickie odwiedził Lwów i Podole, aby, jak mówi, przedrzeć się nieco w świecie. Nakoniec po kilkoletniej peregrynacji, objął dzierżawę w okolicach brata swego Balcera (później sufragana włoszczańskiego), wieś Włoszczonów ¹⁾ pod Gombinem, w ziemi gostyńskiej, w województwie rawskim. Tu, jak sam mówi, rozpoczął w cichości swój zawód pisarski.

Trzy lata przeżył nasz poeta na Mazowszu, a obraz spokojnego żywota, pędzonego w Włoszczonowie, zostawił w pożegnalnej pieśni:

Żegnam was pola Włoszczonowskiej kniei,
Gdzie mnie powrócić nie masz i nadziei,
Żegnam cię nizki z twemi dworku ściany,
Snopkiem odziany.

Ta pieśń rzuca światło na cichą postać poety: widzimy go, jak z pod ubogiej strzechy, wychodzi do małego wirydarzyka ²⁾ na dumanie, jak układa wiersz prosty, próżen żółci, chodząc wśród pól i kwiatów włoszczonowskiej kniei, jak dogląda poddanych, a lekkim jest nawet danem? wołkom od pług; jak odwiedza przyjaciela i sąsiada Stanisława Rybskiego, jak wyjeżdża przed świtem do gombińskiego kościoła, gdzie w plebanji czeka na pierwsze uderzenie dzwonków, jak przestaje z gorliwym tamecznym kapłanem księdzem Markiem, który karmi go chlebem żywota, a ojczyznę ukazuje mu w niebie.

¹⁾ Włoszczonowa dziś nie ma w okolicach Gombina, ale jest wieś Łuszczanów, która była zapewne chwilową siedzibą naszego poety.

²⁾ Wirydarz, ogród kwiatowy.

Z Włoszczonowa poeta nasz przeniósł się do Smogorzewa, dziedzicznej wioski, zarządzanej dotąd przez starszego brata Macieja, który:

Zażył dni różnych w czoła swego pocie,
Ale więcej wesółych przy ojczystym płocie.

Tam pojął Kacper za żonę Zofję ze Szczodrowa, niewiastę zacną i urodziwą, krótko jednak trwało domowe jego szczęście. Straciwszy naprzód syna Jana, któremu zaledwie rok życia upłynął, pogrzebał niebawem i miłą małżonkę. W najwyższej jednak boleści, poeta podnosi myśl do nieba, i z tklivem poddaniem pragnie serce *zranione Bożą strzałą* uleczyć *maścią pokory*, pod wpływem niedoli, czuje on rozrost ducha, gotów do walki z ziemskim bólem:

Nie tenci żeglarz co płynie po wodzie,
Nieporuszonej niewiatrem w pogodzie,
Ale kto wały gdy biją najtężej,
Wiosłem zwycięży.

Po tylu ciosach i niedolach, po stracie ojca, matki, żony i dziecięcia, po zgonie brata Balcera i wielu przyjaciół młodości, sposepniała i spoważniała na zawsze dusza poety. Do prywatnych strat i cierpień, łączyły się nie mniej dotkliwe nieszczęścia publiczne: które trapiły kraj podówczas i ciężkie na przyszłość rokowały klęski. Pobożny śpiewak szczerze bolał widząc jak różnowierstwo śmiało podnosi głowę, jak gaśnie w narodzie wiara, silnie wszczepiona niegdyś w polskie serca. jak się wilcy zakradają do Chrystusowej obory. Bolał ciężko, gdy po zgonie

kanclerza Jana Zamojskiego, widział pożar rokoshu, ogarniający włości ojczyste, widział groty bratnią ręką wymierzane w bratnie serca. Oburzała się na to pocziwa dusza Miaskowskiego; pragnął on naprawy rzeczypospolitej, ale na drodze prawnej. jak pragnął tego kanclerz, wszelki zaś gwałt przejmował go zgrozą. To też widzimy z jak gorącym sercem i prawdziwie obywatelską gorliwością usiłuje poeta zażegnać srogą burzę grożącą spustoszeniem, jak pisze Nenije ¹⁾, treny i radosne ody, w mniemaniu, że przywiedzie niemi serca ziomków do upamiętania i żalu; jak odpowiada gorzko na sypiące się gradem paszkwile, ubliżające dostojności tronu; jak okropne wróżby wyprawdza na przyszłość.

Ale za to jakże się weseli, gdy pogoda następuje po burzy, z jakąż radością wita różaną zorzę idącą w ślady po wronej ²⁾ nocy.

Zrzuc włosiennicę, strząśnij popiół z głowy
O płodna matko mężnej krwi Lechowej,
Czy widzisz jaki wieniec wije zgoda,
I następuje po burzy pogoda?

Niemniej ochoczo głosi tryumf, gdy Karol Chodkiewicz spłoszył w Inflantach hufce Sudermana; zato ze łzami opiewa klęski poniesione na Wołoszczyźnie i Ukrainie i srogi *pożar* gnieźnieński. Rzewnie opłakuje stratę, jaką poniósł kraj przez zgon Bernarda Maciejowskiego, Kochanowskiego i innych zasłużonych mężów. Nie śpiewa on

¹⁾ Rodzaj żałosnych elegij.

²⁾ Czarnej, ulubione wyrażenie Miaskowskiego.

pochwalnych rymów ku uczczeniu ziemskich wielkości, ale sam tylko jak pszczoła, zbiera wspomnienia pięknego życia:

Czyny godne cnoty,
Złotego pióra i litery złotej!

Najpiękniejszą też żałobną Neniją wyśpiewał na śmierć Jana Zamojskiego, W. kanclerza koronnego. Wyliczył w niej kolejno długi poczet zasług zmarłego męża, a nad jego trumną stawiając pół omdlałą Polskę, która targa włos od ciężkiej boleści i pije łyż gorzkie, tak przemawia jej usta:

Obrono, wodzu i strózu mój cały,
Przed tobą obce narody tak drżały,
On że to rozum co mnie i dziś wspiera,
Trumna zawiera?

Gdzie one słodkie wargi Nestorowe,
Z których płynęły rady zawsze zdrowe
Które mnie nie raz, dodawszy mi dłoni,
Wyrwały z toni!

Miał nasz poeta dosyć obszerne stosunki z ludźmi przeważnemi w swoim czasie, mimo cichego żywota jaki wiodł w Smogorzewie. Pisywał do Szczęsnego Herburtu z Dobromiła i poświęcał mu rymy, mimo, że ich dzieliła różnica mniemań religijnych i politycznych; nad nim to ubolewa, że zły wróg, który jak chmura wiesza się nad Polską, i jego zagarnął w swoje sieci. Zachowywał także ścisłe związki z Eustachym Wołłowiczem, opatem Benedyktynów w Lublinie i Jaroszem (Hieronimem Powodowskim,

którego przezwano toporem lub młotem kacerskim), autorem dzieła „Wędzidło na sprosne błędy Aryanów.“ Ów to prałat uczony czuwał nad pierwszym wydaniem rymów Miaskowskiego, i, jak mówi poeta, przykładając hebel do jego wierszy,łożył drogie godziny na tę pracę.

W późnym wieku, bo po sześćdziesięciu latach, wydał Miaskowski pisma swoje, *Zbiór rymów* r. 1612, przypisał je Władysławowi, podówczas królewiczowi, którego wzywał aby szedł w ślady przodka swego po kądzieli, Władysława Warneńczyka, a gdy dorośnie do zbroi, aby oblekł jego pancerz i w ślad naddziada zagnał bissurmany za krańce Europy. Na czele tych rymów umieścił pienia pobożne, o czem mówi w przypisaniu:

A że na pierwszym spraw potocznych progu,
Ten dobrze zaczął, kto co zaczął w Bogu,
Masz wprzód dzieciątka pieluszki i stopy
Pasterskie, zaraz do zbawiennej szopy,
Po nich szkarłatny krzyż na łysym wierzechu ¹⁾,
Idą swym rzędem długie poemata,
Jako te czasy dały i złe lata.

Wydanie pierwsze zeszpecone wielu błędami drukarskimi; ztąd Herburt wymawia poecie: „czemu ta panna nie wyszła do ślubu z dobromilskiej drukarni?“ Nad drugim więc wydaniem czuwał sam zgrzybiały poeta, siedmdziesięciokilko-letni starzec, a zaledwie że dokonał tej pracy, w tymże samym roku zakończył cnotliwy żywot w Smogorzewie i po długich trudach położył głowę

¹⁾ Kalwarya, znaczy Łysa góra.

w Strzelczu, gdzie obok grobu rodziców, małżonki i małego Janka, sam sobie grób wykuć rozkazał i taki wyrył na nim napis:

Kacper Miaskowski, co miał śmiertelnego
W tym grobie zawarł, aż do dnia owego
Gdy głuche ciała trąba budzić będzie,
A ogniem z nieba spłonie ziemia wszędzie,
Ale co dowcip dał mu był niepodły,
Słowiańskim bluszczem Muzy to obwiodły.

Umarł nasz poeta 1622 roku.

W religijnych hymnach dowiódł Miaskowski najwyższego poetycznego namaszczenia; w nich to prześcignął wszystkich współczesnych mu rodzimych poetów, nie wyłączając nawet i wzniosłego Jana z Czarnolasu, w nich zbliżył się najwięcej do szczytnych wzorów starożytnej liryki.

Kiedy opiewał Boga i Jego chwałę, wtedy niepojęta siła porywała ducha poety, a słowa jego stawały się jasne i przejrzyste jak kryształ, wtedy zrywał nieśmiertelne kwiaty natchnienia:

Jak one pszczołki,
Co w ule kwiaty z pól rozkwitłych niosą,
Za pierwszą rosą.

Boga-rodzięć dziwnie uroczeni opiewał słowy. Świeżość ich przypomina śliczne obrazki Bogdana Zaleskiego w „Przenajświętszej rodzinie.“

Najpiękniejsze z utworów Kacpra są: Jasełka, Szopa zbawienia, Historia gorzkiej męki Chrystusa Pana na go-

dziny rozdzielona, Pielgrzym Wielkanocny, Elegja pokutna, do Pana Boga i do Najświętszej Maryi Panny i hymn do Ducha świętego.

Obraz Narodzenia Pańskiego skreślił poeta z niepospolitym wdziękiem i prostotą godną wielkiego przedmiotu; chwile męki i śmierci oddał z wzniosłą powagą i serdecznym żalem; w elegji pokutnej mamy najszczytniejszą modlitwę godną chrześcijanina, modlitwę o rozwiązanie z pęt ciała, pod którymi miota się duch niewolnik.

Niżli mi słowo miłosierdzia zajdzie,
Niż się zasłona skrytych myśli spada,
I przetnie żywot jako nieć śmierć blada,
Niechaj obumrze we mnie grzesznik stary.
A z nim i łupież położę na mary,
A potem jako ptaszek złotopióry,
Żeby przebieżał górne myślą chóry,
I tam upadłszy usłał gniazdo sobie,
Przez krew zbawienną co ma źródło w Tobie.

W obec takich zalet, nikną małe skazy w utworach Kacpra Miaskowskiego. Brak jasności, który w nich spostrzegamy niekiedy, pochodzi ztąd, że używa czasami przestarzałych wyrażeń. Piękności jednak rozsiane w jego pieśniach, duch podniosły, nagradzają sowiec pomniejsze uchybienia.

Cześć śpiewakowi, który przeżył dni żywota z pieśnią, i z pieśnią sędziwej dobiegł starości, który w ciszy i osieroceniu umiłował krzyż swój i wyrabiał stale ducha, aż w końcu rozwiązał go z pęt ziemskich, a nie trwoniąc słowa na próżne skargi i żale, w największej boleści słał

ku niebiosom błagalną modlitwę. Cześć poecie, który
cierpiał, wierzył, ufał, miłował zbłąkanych braci ludzi,
a w czasach ogólnego odstępstwa, wsparty o kotwicę wi-
ary, czczył starym obyczajem i chwalił pieśnią nieśmiertel-
nego Boga.

Wspomnienie świątobliwego żywota.

W eichą uroczą noc letnią, kiedy stary Kraków niby drzymiąc migał rzadkiem na poddaszu świećką, a Wiśła w milczeniu przewijała około murów niebieskawą wstęgę; w otwartem oknie ubogiej izdebki siedział pogrążony w tęsknej zadumie młodzieniec... Wsparłszy głowę na rękę utkwiał wzrok w obłoki zasiane blademi gwiazdy. Srebrzyste ich światło oblewało jakimś tajemniczym blaskiem piękne jego rysy i wzniosłe, pełne głębokich myśli czoło. Szata wskazywała ucznia Jagiellońskiej wszechnicy. O czemże tak marzył? Czy o mądrych słowach mistrza Długosza, który doglądając pilnie Kazimierzowych synów, znajdował zawsze chwilę na rozmowę z odznaczającemi się między szkolną rzeszą? Czy też myśl jego bujając w przestworze, rozważała objawione wówczas światu uczonego toruńczyka odkrycie? Nie, lubo najpilniej przysłuchiwał się poważnym wykładom, najlepiej zapisywał je w pamięci; w tej chwili nie ludzka zajmowała go wiedza. Dusza

jego pałała miłością mądrości Najwyższej i rad był przełać we wszystkie serca uczucia któremi był przejęty. „Przyjdź królestwo Twoje! — powtarzał ze łzami patrząc w niebo. O Panie daj, aby ludzie ukochali Cię miłością, która sprowadzić je może na ziemię! Daj aby naukę twoją, którą wielu przyjęło a mało pojęło, wszyscy wyznawali sercem i czynem!“ — „Amen!“ — ozwał się głos rozlegający na pustej ulicy, jak niemiły krzyk puszczyka i kilku młodych ludzi z hałasem przesunęło się około okna. Odzieżą podobni byli modłącemu się w izdebce, aliści z wyrazu oblicza widać, że inne zajmowały ich dzieła.

— Czemuż nie pominiesz go nigdy bez szyderczej zaczepki? — rzekł jeden z przechodniów, chmurnie spoglądając na towarzysza który dorzucił „Amen.“

— Bo mu przebaczyć nie mogę, że śmie się wtrącać w moje sprawy! Żeby mi chociaż sprostął mieniem lub klejnotem! Ale gdzież tam! ubogi na mnicha przeznaczony szlachetka! Niby to pokorne i stroniące od ludzi, a zawsze się znajdzie gdzie bójka lub kłótnia, żeby przeszkodzić zapaśnikowi!

— Poprzestałbyś takiej mowy Wszeborze. Ładysław z Gielniowa nie zamąci wody nikomu; jeżeli podaży z dobrą radą, to tak słodko, tak łagodnie przemówi, że nie należy złem sercem przyjmować słów jego.

— Prawdę wyrzekł Stefan — ozwali się wszyscy.

— Oczarował was widzę — ciągnął z niechęcią Wszebor — miłujcież go sobie kiedy możecie, a mnie nie wspominajcie o nim, bo gdy pomyślę, że wczoraj jeszcze przeszkodził mi w ukaraniu zuchwałego pachotka, czuję, że niezadługo braknie mi cierpliwości, a wtedy nauczę tego śmiałka siedzieć cicho w odartej izbie, w której widzieliśmy go przed chwilą.

Towarzysze ruszyli ramionami, a Wszebor wymówiwszy te słowa, wyprostował dumnie wysoką postać i rozłożył drzwi swego mieszkania, przed którem się właśnie znajdował. Znać z przyrzędu komnat, że do możnej należą rodziny, pozbawiony był rodzicielskiej opieki, bo w owych czasach stateczniejszego dopiero wieku ludzie pozwalali sobie podobnego zbytku. Ściany od dołu do góry uturecka powlekała makata, w około nich złociste porozstawiano krzesła, bogate rzędy i broń szacowna, świetnym blaskiem uderzały oko. Na dębowym stole przysłoniionym kosztownym kobiercem, potężne roztruchany wzywały wesółych biesiadników. Nie opierali się też długo milczącej jego proźbie i zasiadłszy, późno w noc przeciągali ochotę.

Ładysław tymczasem po krótkim odpoczynku zabierał się do pracy.

Nikt pilniej od niego nie korzystał z wykładanej nauki i nikt zarazem mniej nie wzbudzał zawiści, bo ludzie wtedy tylko darować nie mogą wyższości, gdy ta upokorzyć ich pragnie. Skromność i pokora prawdziwie wzniosłego ducha, zawsze pociąga do oddania mu należnego hołdu. Jeden tylko Wszebor z Pilicy niechętnie spoglądał na młodego towarzysza szkolnej ławy. Otoczony pochlebcami sierota, dumny ze swych rozległych włości, nie rozumiał jak ubogi, nic nieznaczący młodzieniec, śmie prostować jego ścieżki.

W celi warszawskiego klasztoru braci Minorytów, księży Bernardynów, dwaj zakonnicy wiedli cichą rozmowę. Snać żywo ich poruszała; bo oczy to oburzeniem błyszczały, to zwilżały się łzami, niby rosą niebieską, ga-

szącą gorętsze uczucia. Tak więc bracie Ładysławie, mówił starszy, skoro już wiemy z pewnością, że obelżywe za-
wiści wyrazy, miotane przeciw zgromadzeniu naszemu,
doszły uszu Ojca świętego, nie ma innej rady, jak udać się
do Rzymu i samemu zdać sprawę ze złośliwej obmowy.
Bóg świadkiem, że radbym bronił mej owczarni przeciw
okrutnym wilkom, szarpiącym jej sławę, ale stargane wie-
kiem siły nie pozwalają mi tak dalekiej wędrówki; ty zatem
zastąpić mnie musisz.“ — „Ależ wielebny ojciec — zawołał
z obawą Ładysław — czyż podołam ważnej sprawie? Czyż
nie znaleźlibyście sposobniejszego odemnie? błagam was,
naradźcie się z braćmi.“ — „Błogosławiona twoja pokora
mój synu, bo błogosławieni ubodzy w duchu, lecz lubo tak
wątpisz o swych siłach, wszyscy w nich pokładamy na-
dzieję; chodź ze mną, a przekonam cię o prawdzie mej mo-
wy.“ I powstawszy z żywością szedł przez długie kory-
tarze do sklepionej komnaty, w której na głos dzwonka
przełożonego, zwykli się gromadzić posłuszni zakonnicy.
Niebawem zebrali się wszyscy. „Najmilsi bracia w Chry-
stusie — przemówił wtedy sędziwy starzec — wiecie już, że
wypada niezwłocznie, aby ktoś młodszy i ważniejszy ode-
mnie udał się za wspólną sprawą do Rzymu. Osądźcież
sami, komu z was ma się dostać przełożęństwo, które
składałam w ręce wybranego posłannika?“ Wszystkie oczy
zwróciły się na Ładysława, wszystkie usta wymówiły jego
imię. Nie wiele lat upłynęło od czasu, jak okrył głowę
mnichów kapturem, a już zjednał serca zakonnych braci.
Hojnie Bóg uposażył duszę służebnika swego, aliści z cnot
którymi jaśniała, łagodność i słodycz aniołów najwięcej
pociągała umysły.

Zasłynął już był szeroko świątobliwemi dzieły, gdy
się wieść rozbiegła, że jako przełożony wysłanym został

do stolicy apostolskiej. Można panowie, a wreszcie sam nawet Kazimierz Jagiellończyk powagą swoją przyrzekł go wspierać u Ojca świętego.

Powiodły się szczęśliwie zamysły cnotliwego kapłana. Wysłuchawszy go, poznano fałsz czynionych zaskarżeń na biednych zakonników, powrócono wydartą sławę niewinnym.

Uradowany Ładysław odprawił naprzód modły dziękczynne w kościele Galilejskiego rybaka, potem zwiedzał drogie wiernym pamiątki, które starożytniej pogańskiej Romie, miano świętego zjednały grodu.

Oblał łzami schody, którei wśród obelg i boleści wstępował w dom Piłata Zbawiciel, szczątki żłobu i drzewo krzyża, kolebki i grobu jaśniejącego życiem.

Padł na twarz przed wizerunkiem tkwiącym na zasłonie Weroniki i ucałował krwią przesiąkniętą Kolosseum ziemię. W końcu zapuścił się w pieczary Kolumbaryi. W tem domowem ognisku a zarazem grobie męczenników wiary, błagał ich, aby swą miłością ogrzeli oschłe dusze wątpiących grzeszników.

Gdy zakończywszy modlitwy, zabierał się do wyjścia, uderzył wzrok jego wysokiej postaci pielgrzym, który zapewne uciśniony zgryzotą, ciężko wzdychał uderzając się w piersi. Na zakręcie podziemia, blask lampy żywiej oblał oblicza przechodniów.

— Ładysław z Gielniowa! — Wszebor z Pilicy! — zawołali jednocześnie, zdziwieni niespodziewanem spotkaniem.

— O jakże rad jestem z twego widoku — zagadnął żywo Wszebor. Dzięki niebu które wysłuchało tajemnych pragnień mego serca. Wszak nie odmówisz mi chwili rozmowy, gdy wyjdziemy na świat Boży?

— Chętnie przychylę się do twego żądania—odparł Ładysław—bo z czoła okrytego przedwczesną zmarszczką, równie jak z wyrazu oblicza widzę, że gorzka troska na twem sercu?

— O tak—mówił smutnie Wszebor—prawica Pańska ciężko mnie dotknęła, zbolała dusza tęskni do słów, które by jej ulgę przynieść mogły. Jako kapłan Boży nie chowaj urazy za me dawne przewinienia! nie pomnij na błędy młodości!

— Uspokój się miły bracie; zdawna już zapomniane. Pokój Boży niech będzie z tobą po wszystkie dni żywota i wymawiając te słowa, pobożny zakonnik skreślił krzyż po nad głową żałującego towarzysza.

— Wiadomo ci—mówił Wszebor—gdy zasiedli w podróżnej gospodzie, jak za młodu znaczną odziedziczyłem ojcowiznę, ale przywyktemu do próżniactwa, nie chciało się zająć gospodarką, ani rolą.

Burzliwe zjazdy, gawędy i pohulanki zabierały czas źle użyty, nie szło też jakoś ni w domu, ni w polu. Ościen-na uboga szlachta nie lubiła żeby jej deptać po karkach, to też ciągle z nią miałem zatargi, bo u mnie w głowie jeno rej wodzić wszędzie, jeno zawstydząć mniej zamożnych. Każdy z nich za to, czem mógł dokuczał niemiłemu sąsiadowi.

Kilka lat zbiegło mi na ciągłych sporach. Pojąłem żonę; nie skarżyła się nigdy, aliści pewien jestem, że nie zaznała przy mnie szczęścia, bo pocziwa niewiasta rada była świat cały przytulić do serca, a moja szalona duma odpychała wszystkich. Bóg dał nam syna, zamiast coby błogosławieństwo takowe. zmieniło miało serce, większa jeszcze ogarnęła je próżność. Rad byłem pozyskać temu dziecięciu skarby i godności, o jakich nie marzyłem pier-

wej. Starałem się o zaszczyty i urzędy ziemskie, które tylko poszanowanie i miłość ludzka rozdają. Tu doznałem pierwszych upokorzeń, bo nie mając przyjaciół, otrzymać ich nie mogłem. Zacząłem tedy rozważać jak to czasem najpyszniejszy potrzebuje maluczkiego pomocy!

W domu widocznie ubywało dostatku, bo sam nie umiałem się zająć niczem, a nie było przychylniej duszy, któraby się uzaliła niedoli! Na domiar zgryzoty, jedyne dziecko moje, nadzieja przyszłej świetności rodu, ciężko zaniemogło.

Zakupywałem msze, rozsyłałem bogate datki po klasztorach i kościołach, jeden nawet odbudowałem! ale nie nie pomogło; daremnie modlili się księża, daremnie leczyli znachory i baby, umarło dziecko! Poszła za niem niedługo rozżalona matka. Opuścili pochlebcy, zauważywszy zmniejszone dostatki.

Pozostawszy w tak ciężkiem osamotnieniu, czas jakiś wlokłem nędzny żywot, wreszcie nie mogąc już dłużej ostać w pustym domu, przywdziałem suknię pielgrzymią i poszedłem szukać pociechy w świętem mieście, aliści i tu ciąży moje strapienie i nie wiem co począć dalej.

— Przedewszystkiem odmienić serce mój synu—odrzekł wysłuchawszy opowiadania zakonnik.

Nie znajdziesz pociechy w datkach i pielgrzymkach pobożnych póki do wiary nie dołączysz miłości, a miejsce jej w twej duszy zajmowała próżność, dziś zaś zniechęcenie ogarnęło umysł; odepchnij je, staraj się o zbieranie nieśmiertelnych bogactw, gdy Bóg dał ci poznać znikomość ziemskiej pomyślności. O wierzaj mi, skoro pozyszczesz wiarę i miłość, nadzieja ulży twemu strapieniu, bo wskaże ci lepsze wiekuiste życie!

Ukończywszy chlubnie swe posłannictwo, powrócił Ładysław do rodzinnego kraju. Przełożony licznych zakonników, nauczał ich słowy i czynem. Troskliwy o kształcenie umysłów, którym powierzony kierunek dusz ludzkich, pilną dawał baczność, aby nabywały potrzebnych im wiadomości. Niezmordowany w pracy, niektóre dłuższe modlitwy i pieśni sam codziennie odmawiał z ludem. wiele ich także sam ułożył i spisał. Porywającą kaznodziejską wymową nawrócił niemałą liczbę grzeszników. Według słów Chrystusa: „brzemie moje jest lekkie, a jarzmo słodkie,“ nigdy ostrą nagana nie jątrzył dusz występnych, lecz napominał łagodnie i najlepsze otrzymywał skutki.

Aby zrozumieć jak wielkie być musiało uczucie świętej miłości w tem pobożnem sercu, trzeba posłuchać słów ówczesnego pisarza jego żywota. „Gdy razu jednego w Wielki Piątek kazał z ambony, a liczni słuchacze różnego wieku i stanu napełniali świątynię, zatopiony w gorzkiej męce ukrzyżowanego za nas Zbawiciela, z wielkim zapalem ducha objaśniał tę świętą tajemnicę, aliści gdy doszedł do srogiego i okrutnego ubiczowania, podniosłszy w rękach krucyfiks, zawołał głosem rzewliwym i przejmującym: „O Jezu! Jezu mój najmilszy!“ i natychmiast odszedł od zmysłów żalem ściśnięty, i więcej już i słowa wymówić nie mógł, ale stało onego cudownego zachwycenia nad ubiczowanym Jezusem, za najzbawienniejsze kazanie.“

Ale jak złoto w ogniu, świątobliwa dusza świetniejszego nabiera blasku w cierpieniach; przy końcu życia Ładysław ciężką został dotknięty niemocą. Nie zajmowało go już wtedy nic prócz rzeczy Boskich, w nieustannej modlitwie i w cudownych widzeniach poszedł po wieniec chwały niebieskiej, a było to w roku 1505, w dniu czwar-

tym maja. Z początku ciało jego złożono we wspólnym braci grobie, lecz później dla licznych cudów, uroczyscie podniesione, spoczywa w ołtarzu oddzielnej kaplicy.

Papież Benedykt XIV-ty potwierdził cześć mu oddawaną i uważać go rozkazał jako patrona Warszawy, miejsca w którem mąż święty spędził życie w pokorze, miłości i pracy.

A. B.

NIZKA TRAWKA.

(Z ANGIELSKIEGO).

Rosnę sobie, rosnę wszędzie,
Rosnę listki drobniuchnemi,
Gdy mnie słońko wydobędzie
Po roztopach z chłodnej ziemi.

Ściełę miedze i ugory.
Trwam bez rosy pod kurzawą;
Łakę zsiecze kosiarz skory,
Ona świeżą puści trawą!

Rosnę sobie w progu chaty,
Gdzie otoczon dziatwą małą
Siadł na przyzbie dziad brodaty,
Z twarzą słońcem ogorzałą.

Starzec duma — dziatwa gwarzy.
Jej okrzyki tak radosne,

Depcą po mnie młodzi, starzy,
A ja rosnę... zawsze rosnę!

Rosnę w mieście między brukiem,
Kędy krążą ludu chmary,
Niespłoszone młotów hukiem,
Szumem kotłów, gwizdem pary,

Gdy wyrobnik mnie dostrzeże,
Pełną piersią lżej oddycha,
Czuje łąki wonie świeże,
Staje przed nim wioska cicha.

Rosnę sobie, rosnę wszędzie,
Gdzie dosięgniesz tylko wzrokiem,
Ściełę strome gór krawędzie,
Rosnę w dole nad potokiem.

Skwar mnie letni nie wysuszy.
Ni jesienne zbiją deszcze,
Nawet zimą w leśnej głuszy,
Bez słoneczka rosnę jeszcze.

Rosnę z cicha, rosnę sobie
Na cmentarzu w ziemi czarnej,
Umarłemu tam na grobie,
Kładę całun z miękkiej darny.

Zwiędły kwiaty, pamięć kona,
Oschły w oku łzy żałosne,
A murawa wciąż zielona,
Bo ja rosnę, wiecznie rosnę.

Rosnę zmrokiem i o świetle,
Moje listki wciąż się mnożą,
Cud mi Boży daje życie,
Więc na chwałę rosnę Bożą.

Ten co stworzył trawkę małą,
Niech pochwalon przez nią będzie,
Ja też zdobię ziemię całą,
Rosnę zawsze, rosnę wszędzie!

OBRAZEK DAWNYCH CZASÓW.

Zniknęła w grobie lepsza część przeszłości;
owi wielcy mężowie, owe czyste i święte nie-
wiasty, do których dzisiaj modliłbyśmy się po-
winni. Ach! to nie byli dziadowie nasi, bo my
do nich nie podobni!

J. I. Kraszewski.

Wiele już, bardzo wiele upłynęło wieków od cza-
su jak na krańcu ziemi Pomorze zwanym, wznosił się
potężny zamek, gniazdo możnej Segerzhausenów rodziny.
Tysiące burz przesumiało nad rozkołysanemi bałwany
Bałtyku, miliony ziarn bursztynu i drobnych muszelek za-
ginęły w piasku morskim od epoki, w której szlachetny
Wilfridgson na Sagerzhausen osłaniał przeważną opieką
swych wiernych lenników i ubogich mieszkańców wybrze-
ża; niepokieszony po stracie bogobojnej małżonki, pobo-
żnym żywotem gotował się do chwili mającej go z nią po-
łączyć.

Do ziemi przywiązywały go tylko pozostałe dzieci.

Z nich, syn najstarszy obrał sobie rycerski i pobożny zawód żołnierzy krzyża, którym później przewodniczył w wielkiego mistrza płaszczu. Drugi był dziedzicem licznych włości i cnót swego rodu, córka zaś, dwunastoletnia Juta, już w dziecięcych latach świątobliwą rokowała przyszłość. Powierzona staraniom wiernej ochmistrzyni, nie odstępowała ojca; on nie rad też opuszczał zamek i znowu z utęsknieniem powracał do lubej dziewczeczki. Pewnego razu, gdy dłuższą niż zazwyczaj odprawił wędrówkę, Juta nie zbiegła na powitanie z kamiennych schodów, nie uściskała najpierwsza kolan jego. Gdzież córka moja? — pytał niespokojny pahołków zawieszających na ścianie kurzem okrytą zbroję. Przyzwano ochmistrzynię. Zafrasowana pani Dorota zdała sprawę, że dziewczeczka przed chwilą wyszła do sadu polewać ulubione grządki, aliści teraz nie ma jej tam i w daremnych poszukiwaniach przebiegają wszystkie zakątki zamku. Rozesłano w różne strony dworskich, lecz echa tylko odpowiedziały ich wołaniom. Gdzież była Juta?

Mała wieśniaczka przychodząca niekiedy po wsparcie i leki dla chorej matki, przybiegła do niej zalana łzami. Ratuj nas dobra panienko! — wołała zdala — matka moja umiera, pragnie pojednać się z Bogiem, a ja nie wiem co pocznę, bo sąsiedzi wszyscy w polu, do kościoła daleko, jakże ją samą zostawić? — Uspokój się — odrzekła żywo — poruszona smutnem opowiadaniem dziewczynki, idź zaraz po księdza, ja pod ten czas zastąpię cię w chacie, i rzuciwszy polewaczkę, zabierała się do drogi.

Choć Juta posłusznem była dziecięciem, gorąca chęć ulżenia niedoli bliźniego nie dozwoliła jej zastanowić się, że działa mimo wiedzy ochmistrzyni. Mała Anna tak rzewnie płakała, chora wyglądała pewno niecierpliwie jej po-

wrotu, nie było zatem czasu do namysłu. Wkrótce biedna Giertruda z błogim uśmiechem przyjmowała starania panienki. Anna biegła ku wzgórzom, kędy lśniły zdala wieże kościoła. I cóż dało słabej dwunastoletniej dziewczeczce odwagę pozostania samotnie z chorą, której często boleść konwulsyjnie wstrząsała usta? Kto nauczył ją dla niej słów niebieskiej pociechy? Święta chrześcijańska powinność, miłosierdzie zalecane tylokrotnie przez samego Zbawiciela. „Nie trwoż się o twą Annę—mówiła do chorej wieśniaczki—ojciec mój dozwoli, aby zamieszkała z nami, sama uczyć ją będę bojaźni Bożej, zamiłowania pracy. Przrzekam ci, że nie odstąpi mnie nigdy.“ W chwilach wolniejszych od cierpień odmawiała głośno modlitwy, którym biedna kobieta cichym wtorowała szeptem. Nadszedł wreszcie oczekiwany kapłan, Juta wraz z Anną usunęły się, dopóki ich nie przywołał głos dzwonka.

Tymczasem, pani Dorota badając napotykanych wieśniaków, dowiedziała się od małego chłopięcia, jako widziano Jutę idącą ku chacie Giertrudy. Natychmiast oboje z ojcem skierowali tam swe kroki; pan na Sagerzhausem chmurny zniknięciem córki, ochmistrzyni zaś gniewna, że dziewczę właśnie w chwili powrotu ojca uszło pilnej jej baczości. Aliści wszelkie niechętnie uczucia zniknąć musiały, przed widokiem który się przedstawił ich oczom. W głębi izby, Giertruda już przyobleczona cieniem śmierci, obok niej obumarła z żałości Anna; nieco opodal klęczała Juta; z oczu dziewczeczki świecił tak jasny promień miłości, że łatwo zeń było odgadnąć obecność Utajonego. Zanim jeszcze kapłan wymówił: „Oto Baranek Boży,“ już ojciec i ochmistrzyni cześć mu oddali, dotykając czołem prochu ziemi.

W sześć lat po śmierci biednej wyrobnicy, młoda jej opiekunka, zamiast grzmotu wałów morskich, daleko od ojców gniazda, słuchała spokojnego Wisły szemrania.

Szlachetny pan z Konopat Konopacki zaślubił Jutę z Sagerzhausen.

Z płaczem żegnali oddalającą się domownicy, ze łzami błogosławił sędziwy ojciec, a tłumy ubogich zasyłały w niebo gorące modły o szczęśliwą dla niej dolę.

Bóg wysłuchał westchnień serc prostych i pobożnych. Po kilku latach pożycia, Jutta ze swym małżonkiem przedstawiali tę doskonałą jedność Chrystusa z kościołem, którą wyobraża ustanowiony przez Niego Sakrament. Dom ich, jak dom Eleazara i Delfiny, świętych hrabiów Prowaneyi, jaśniał cnotliwym przykładem możliwym i prostaczkom, uczyli się w nim wszyscy zbierać skarby, których, jak mówi pismo, ani mól, ani rdza nie zepsuje. Anna, córka biednej Gertrudy, zawsze nieodstępna była młodej niewiasty, zwano ją raczej przyjaciółką niż służebną. Postępując według wzniosłego prawodawstwa Boga-Człowieka, można i szlachetna pani nie wahała się przytulić do serca równego jej pobożnością i cnotą ubogiego dziecięcia ludu.

Cicho i spokojnie, jak szeroka rzeka do morza, płynęły do wieczności, krańca trosk i zabiegów naszych, dni bogobojnych mieszkańców nadwiślańskiego zamku. Ale i doskonałe szczęście na ziemi nie może być udziałem synów ludzkich, serca ich i tak zbyt przylegają do miejsc swego wygnania, cóżby było wtedy gdyby w nich raj znalazły? Smutna pomroka zaciemniła jasny widnokrąg panów na Konopatach, gdy wspomnieli, że brak im młodej latorośli, pod której opiekuńczem dziecięcej miłości cieniem, spocząćby mogli błogo przy schyłku żywota. Razu

jednego. Jutta wracając od swoich ubogich, napotkała płaczące pacholę, lubo nie umiało wypowiedzieć łez przyczyny, łatwo odgadła, że głodne i opuszczone; zdjęta litością ujęła je za rękę i poprowadziła z sobą. Usłyszała wtedy jakoby głos z nieba powtarzający słowa Chrystusa: „Ktokolwiek w imię moje przyjmie jedno z tych opuszczonych, mnie przyjmie.“ „O Panie i Mistrzu mój! rozumiem Cię, zawołała padając na kolana, nie dałeś mi własnych dzieł, lecz wskazujesz zarazem, że wszystkim sierotom matką być mogę, spełni się więc wola Twoja.

Niezdługo kilka opustoszałych komnat napełniło się drobną rzeszą. Jutta sama jej przewodniczyła. Nie była to łatwa sprawa. Człowiek od młodości pochopniejszy do złego. Często bardzo dobre słowa przesuwają się mimo serc dziecięcych, rzadko kiedy wdzięczność zakwita na nieurodzajnych niwach.

Pracownica pańska nie upadała na duchu, choć ostre były kamienie i ciernie obranej przez nią ścieżki. Jeżeli zniechęcenie chciało się niekiedy wkraść do serca, odpychała je pomnąc, że Zbawiciel z wielu powołanych mało znalazł wybranych, a przecież nie uchylił się od wielkiego dzieła. Bóg umiłował szczególnie tę błogosławioną duszę, to też po kilku latach szczęścia ciężko doświadczać ją zaczął. W jeden z owych jasnych dni lata, w których serca ludzkie zdają się usposobione do przyjmowania samych radosnych wrażeń, kurzem i znojem okryty dworzannin przyniósł wieść żałosną, że pan na Sagerzhausen śmiertelną złożony niemocą. Jakkolwiek pośpieszną była podróż Juty do rodzicielskiego zamku, ubiegła ją śmierć i żałoba. Powitaną została przez ciężko strapionych braci. Ojciec zaś z lepszej tylko krainy mógł jej błogosławić, a przecież tak usilnie błagała o życie i zdrowie dla niego?

Wszak sam Zbawiciel powiedział, proście a dane wam będzie? Gdy w chwili pierwszej załości takowa myśl niby zwątpienie ścisnęła jej serce, głosy niebieskie uspakajającemi słowy ozwały się w duszy. Pomnij—mówiły one—że Zbawiciel wyrzekł także: królestwo moje nie jest z tego świata! ażalić przez to rozumieć się nie ma, że tylko proźby o zbawienie, proźby poparte uczynkami niby kołataniem, niewątpliwie wysłuchane będą. Odrzucenie zaś innych, jest owym symbolicznym krzyżem, który miłośnicy Chrystusa i dzieci Kalwaryi mężnie dźwigać powinni! Jutta powróciła do męża, kornie uchylając głowy przed wyrokami nieba. Pan Konopacki nie rad był nigdy opuszczać cnotliwej żony, mimo to ważne sprawy często go za dom powoływały. W czasie takowych wydaleń, Jutta obyczajem wielu świętych niewiast, zrzucała ozdobniejsze szaty i wyłącznej jeszcze poświęcała się usłudze cierpiących. Kalectwa nieuleczone, wzbudzały w niej zawsze tkliwe politowanie, umyśliła przeto wznieść przytułek dla ociemniałych, gdzieby staraniami swemi mogła uczynić lżejszym ciężar ich żywota. Zjawiająca się ciężka morowa zaraza, zmusiła ją odłożyć na później pobożne dzieło. Umierający potrzebowali gorliwego ratunku, pozostali opieki i pociechy. Silni wiarą i świętą miłością bliźniego, Jutta i pan na Konopatach nie ulekli się śmierci—poświęcenie ich dla nieszczęśliwych było bez granic. Lecz któżby wyliczyć zdołał czyny podobnych im bohaterów chrześcijańskiego miłosierdzia? Podczas, gdy wiara i miłość walczyły z okrutną plagą, na ołtarzach i grobach męczenników Chrystus za lud swój umierał, rany Jego krwawo się otwierały, a uroczysty śpiew i *Salvum fac* płynął przed tron Przedwiecznego. I ulitował się Pan nad uciśnionemi i skinnieniem wszechmocnem odwołał anioła niszczyciela. Kie-

dy niekiedy pojawiała się już tylko straszna choroba, niby przypominając grzesznikom karzącą prawicę.

Ostatnie promienie słońca zagładając wązkim oknem tworzyły ognistą koronę nad skronią młodej niewiasty. Stała wsparta o stół dębowy, spozierając na rozwinięty pargamin. Obok niej, mąż niewielu laty starszy, wskazywał zarysy obszernej budowy.

— Tak więc, miła moja Juto, kiedy już mijają ciężkie dni żałoby, zajmijmy się schronieniem dla niewidomych, twoja opieka ulży wreszcie ich niedoli. Tu masz oznaczone sypialnie, tu izbę dla ręcznych zatrudnień, możliwych ich kalectwu, tu znów kaplicę, w której przytomni będą świętej ofierze, wszystko według twej myśli.

— O dzięki ci panie mój, że dopomagasz słabej niewieście, która sama nie wiele podołaćby mogła, odrzekła Juta składając ręce.

— Ja to raczej, miła żono, winienem ci podziękę, za podaną mi sposobność wykonania świętobliwego czynu. Nie darmo mówi pismo, że przez żonę wierną, mąż nawet niewierny zbawionym być może.

— O nie mów tego, nie mnie należy się nagroda, ażaliż nie miałam zawsze w tobie najlepszego przykładu żywota po myśli Bożej? Ale wiesz mój miły, że gdy już wszystko gotowe, radabym w dniu jutrzejszym założyć pierwszy kamień naszej budowy?

— Zgadza się na to — odrzekł pan Konopacki — wszak dziś oczekujemy wielce nam miłego brata, nie możemy lepiej uczcić pierwszego dnia pobytu jego z nami, jak poświęcając go dla chwały Bożej i pożytku bliźnich.

— O jakże odgadłeś myśl ino! — zawołała radośnie Juta, do jutra zatem, dodała wskazując na chowające się po za drzew wierzchołki słońce.

Jutro! — ileż łzawych tajemnic spoczywa w tem słowie! Czemże jest dla nas radosna jutra nadzieja? wątłą tkanką z pajęczyny, którą lada wietrzyk z nieba zesłany rozerwie! Raz tylko ziemia okryła się nocną pomroką i znów toż samo co i wczoraj słońce błyszczało po nad Konopackim zamkiem, lecz jakże odmienny obraz oświecały jego promienie! Bogobojny pan na Konopatach leżał śmiertelnie dotknięty ostatnim ciosem znikającej zarazy. Sędziwy kapłan wlewał w serce jego balsam pociechy na drogę żywota. Juta z obliczem w prochu, z rękoma rozciągnionemi w kształcie krzyża, błagała o siłę wyrzeczenia: Bądź wola Twoja! i o łaskę dla ukochanej duszy, mającej stanąć przed tronem Boga! Opodał, mistrz von Sagerzhausen, mężny żołnierz Chrystusa, spoglądał łzawym boleści wzrokiem, to na opuszczającego ziemię przyjaciela, to na nieszczęsną pozostającą siostrę. Anna i domownicy tłumiąc łkania w piersiach, rzewne zasyłali modły w niebo. I była żałobna uroczysta cisza w komnacie, w której anioł śmierci zaświecił białym skroniem, zaszeleścił czarnym jak noc skrzydłem. Gdy następca apostołów starł płamy duszy obryzganej ziemską pielgrzymką, gdy jej rozkazał opuścić cielesną lepiankę, Juta uczuła jakoby jej serce gwałtem wydzierano z piersi.

Błagalnemi proźby chciała niby wstrzymać grom mający uderzyć, a nie mogąc wymodlić łaski, cierpiała morze boleści. Straszną choć krótką była walka ducha opierającego się wyrokowi Bożemu. Chrystus przyszedł wreszcie w pomoc męczennicy swojej, dał jej siłę wychylenia kielicha z Getsemańskiego ogrójca i rozpaczająca małżonka pozostała wdową chrześcijańską, zgadzającą się z wolą nieba, umarłą dla ponęt świata.

Gdy tak raptownie zerwany został najmilszy węzeł wiążący ją do ziemi, Jutta umyśliła oddać się cała usługę Boga i bliźnich. Aby wedle swej woli rozporządzać czasem, nie wykonywała zakonnych ślubów. Przywdziała tylko suknię reguły Ś-go Ojca Franciszka z Assyżu. Młodej jeszcze, pięknej i znacznego mienia dziedzicze, bracia i krewni długo nie pozwalali spełnić pobożnych zamiarów, pragnąc, aby choć czas jakiś nie wyrzekała się świata. Ludzie zazwyczaj nie pojmują tej małej liczby istot, dla których rozdział doczesny z ukochanemi jest wieczną, do końca życia trwającą boleścią; nie rozumieją rany, której czas zagoić nie może i dla tego często do męczeńskiego kielicha strapionych dolewają goryczy lekceważeniem ich nieszczęścia. Ale też za to, brak współczucia świata hojnie nagradza im współczucie samego Boga, bo Chrystus gdy łyzy wylewał nad umarłym Łazarzem, nie bolał nad przyjacielem, którego za chwilę miał wrócić do życia, lecz przedstawiła się Boskiemu wszechwidzącemu oku wdowa, jak Joanna de Chantal lub Elżbieta z Turyngji, matka, jak Paola Rzymianka, córka miłująca rodziców, i zapłakał nad niepokieszonemi. Pomnąc zapewne na te łyzy święte, dopomógł nieszczęsnej miłującej go całą duszą niewieście, do spełnienia mimo trudów i licznych przeszkód, upragnionego dzieła. Dokonała wreszcie przemiany obszernego zamku na schronienie tysiąca nędzy i boleści, a według pierwszej myśli zostawiła dogodne miejsce dla ociemniałych. Pragnąc, aby pozbawieni dziennego światła, jasno przejrzeć mogli oczyma duszy, zajęła się niemi gorliwie. Niezadługo miała słodką pociechę zjednania Bogu wiele z tych dusz dotkniętych srogiem kalectwem. Jeżeli wiara jest szczęściem oglądających świat widomy, o ileż błogą być powinna nie mogącym podziwiać wszyst-

kiego co głosi chwałę i mądrość Stwórcy, nadzieja dnia bez pomroki.

Trudząc ciało ciągłemi umartwieniami i posty, błogosławiona Juta Konopacka miewała chwile zachwytu, w których dusza jej w cudownych widzeniach unosiła się ku niebu. Znaczne mienie nie wystarczało jej często na wspieranie i utrzymywanie tylu biednych, musiała wtedy udawać się o pomoc do obcych, błagała jałmużny dla miłości Chrystusa, którego widziała zawsze w swych ubogich.

Przeszedłszy mężnie wyznaczoną sobie drogę, otoczona przybraną nieszczęśliwych rodziną, z błogim uśmiechem powitała śmierci godzinę, i nie dziw, powierzała jej wszystko co utraciła na ziemi. Zasnęła w Bogu około roku pańskiego 1264. Ciało jej pochowano w Chełmży, a pamięć długo trwała między ludem.

Kościół potwierdził powszechnie nadaną jej nazwę błogosławionej, nie wątpiąc, że gdyby nawet w tej cnotliwej duszy znajdowała się jakowa ziemską niedoskonałość, zmazaną została wielkimi czyny miłości bliźniego, według słów Chrystusa: „Błogosławieni miłosierni, bo oni miłosierdzie otrzymają.

A. B.

WDZIĘCZNOŚĆ SYNOWSKA.

(Z rękopismu Antoniego Magiera).

Kompozytor muzyki w orkiestrze króla Augusta III-go, był ten, który uszczęśliwił syna pewnego cyrulika warszawskiego, będąc bowiem w Krakowie w kościele na zamku, gdy słyszał biednego jedne go młodzieńca śpiewającego podczas litanji, podobał mu się jego głos, kazał mu iść potem za sobą i słysząc go w domu śpiewającego, uznał takowy głos za osobliwy, potem rzecze: „Jadę teraz do Włoch, biorę cię jako opiekun, a pewno będziesz szczęśliwym.“

Jakoż dokładał starania w uczeniu go muzyki. a gdy się głos młodzieńca zupełnie ukształcił. oddał go do Opery w Neapolu, z warunkiem, aby przyjął jego nazwisko, gdyż nie miał potomstwa. Młody ten dzieciak miał ojca w Warszawie, który nienawidził go z tej przyczyny tylko, iż twarz miał zeszepeconą przez ospę, która go nawet jednego oka pozbawiła; brat zaś jego, pięknej urody chło-

piec, miał wielkie łaski u tegoż ojca, który na niego tracił swój majątek, a syn rozpieszczony nie umiał żadnego rzemiosła.

Wkrótce powstał pożar; spalił się dom cyrulika z wszystkimi sprzętami, przyczem przez spadnięcie palącej się belki złamał rękę. Ta chwila stała się początkiem nędzy cyrulika. Najboleśniejszy cios dotknął ojca, gdy ulubiony synal ustawicznie mu wyrzucał, że jest biednym przez zbytne pieczyoty i we własnym ojeu znajduje przyczynę swego nieszczęścia.

Gdy obadwa zostając w nędzy łzy wylewają, wchodzi gospodarz do domu, każąc im natychmiast oddalić się z mieszkania, bo komornego nie mają czem zapłacić. Stroskani wychodzą na ulicę, a w tej chwili dwóch lokai zaprasza ich do karety, oświadczając, że mają polecenie zawieźć obudwóch do pewnego cudzoziemca dziś przybyłego do Warszawy, który dowiedziawszy się o ich biednym stanie, pragnie ich ile możności wesprzeć. Zdziwieni, z początku nie śmieli zbliżyć się do pojazdu, lecz w końcu przyjmują ofiarowaną łaskę. Przybywają do pięknych pokoiów, lokaje ubierają ich w przyzwoite suknie, poczem wchodzi dobroczynny cudzoziemiec.

— Witam was — rzecze po polsku — jesteście dla mnie pożądanymi gośćmi, odtąd nie będziecie zostawać w nędzy.

Cyrulik chce upaść do nóg nieznajomemu dobroczyńcy, ale kto opisać zdoła zadziwienie, gdy wzniosłszy oczy poznaje w nim ślepego, dziobatego, wypędzonego syna.

— Tyżes to JW. Panie? czy zostaję w marzeniu?

— Nie jestem jaśnie wielmożnym, jestem artystą — odpowie cudzoziemiec. Gdym doznał nieszczęścia być oddalonym od oblicza ojcowskiego, udałem się pieszo bez

szeląga do Krakowa i opowiada rzecz całą, jakim sposobem pomyślnym przez swą pracę i przykładanie się do muzyki, a szczególnie do śpiewu, doszedł do tego stopnia doskonałości, iż mimo pozbawionego oka i twarzy nie powabnej, przecież na scenie wydawał się bez odrażania. Przez lat czternaście mego oddalenia się z ojczyzny, jako celujący śpiewak, mówi, znajdowałem się w Neapolu, Wenecyi, Rzymie i Medyolanie, wszędzie przyjmowany z oklaskami, i zawsze pomnażając majątek. Teraz z Modeny zapisano mnie do dworu króla polskiego. Ociągałem się przyjąć to korzystne miejsce, bom się obawiał obrazić ojca mą obecnością, lecz nakoniec chęć widzenia rodzinnego kraju i nadzieja, że może ojciec teraz nie odrzuci mnie od swego łona, skłoniła mnie, iż tu przybywam właśnie w porę, abym moim talentem zabezpieczył los lubej rodziny.



PRZYSŁOWIA.

*Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz,
Jak zasiejesz, tak będziesz żał.*

Błądzą tacy, co dowodzą,
Życie ślepą mieniać jazdą,
Że się jedni w czepku rodzą,
Drudzy pod fatalną gwiazdą,
Jest to starych bab zasada,
Niedołężnych jeremiada.

Jeśli ci się to lub owo,
Niepowiodło przyjacielu,
Radź czyś sam nie podrzył głowę,
Czyś nie zmierzył źle do celu,
Z własnej winy to najczęściej,
Szczęści nam się lub nieszczęści.

Zamiast się na losy zżymać
I na ludzi, radź w potrzebie.

Chcąc od drugich coś otrzymać,
Trzeba drugim coś dać z siebie
Miarą zasług jest zapłata,
Prawem świata kompensata.

Chcesz-li mieć obfite żniwo?
Działaj, pracuj nie leniwo.
Chcesz-li mieć przyjaciół wielu?
Kochaj ludzi przyjacielu.
Chcesz-li zyskać łaskę nieba?
Czynem, służ mu tak jak trzeba.

*Nie śmiej się dziadku z cudzego upadku,
Co mnie dziś, tobie jutro.*

Któż uniknie przypadków?
Szło raz sobie dwóch dziadków,
Jeden, czy go kij zdradził,
Czy też o coś zawadził,
Dosyć, że padł jak długi,
Nuże nad nim w śmiech drugi,
Że koziołki przewraca,
Obyczajem pajaca.
„Ej, grzech, grzech to kolego,
Śmiać się z biedy bliźniego,
Ozwie się ten co upadł,
Człek na nogi podupadł.
Na to co mnie w tej dobie,
Jutro może przyjść tobie!“

Powstał z zbitem kolanem,
Związał goleń łachmanem,
I ów raźnie, ten z biedą
Oba dziadki znów idą.
Zaszli, na noc, przespali,
I znów idą w świat dalej,
Mróz po drogach ściał błoto,
„Dzisiaj skakać nie pora,“
Ozwie się ten, co wczora
Śmiał się z biedy bliźniego,
„Dzierz się jak ja kolego,
Abyś szwanku uniknął,
I jak wczoraj nie fiknął.“
Ledwie wyrzekł te słowa,
Odurzała mu głowa,
Pada na lód wśród drogi,
Złamał nogę ubogi.

Józef Paszkowski.

KONIEC TOMU CZWARTEGO I OSTATNIEGO
SERII I-ej.

T R E Ś Ć

Tomu IV-go.

Ż y c i o r y s y.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa (dokończenie). 7.

Wspomnienia i opowiadania historyczne.

Wspomnienie świątobliwego żywota. 270.
Obrazy dawnych czasów 282.

P o w i e ś c i i o p o w i a d a n i a.

Pamiętnik rodzinny (dokończenie). 37.
Wdzięczność synowska przez A. Magiera 293.

P o e z y e.

Sierota 1.
Król Robert Brucy (z podań szkockich). 94.
Obrazy przeszłości. Kacper Miaskowski, poeta z epoki Zy-
gmuntów (Dokończenie). 229
Niska trawka (z angielskiego) 279.

Zarysy literatury zagranicznej.

Bremer Fryderyka. Życie domowe w Ameryce (dokończenie). 109

Rozmaitości.

Przysłowia 295.





WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

115998

Biblioteka WSP Kielce



0154060